

SIECI

**KOSINIAK-KAMYSZ
NIE POTRAFI
OBRONIĆ
BUDŻETU
MON**

**JAK BODNAR
STAŁ SIĘ
CHŁOPCEM
NA POSYŁKI
GIERTYCHA**

**DLACZEGO GDY
TUSK RZĄDZI,
ZAWSZE BRAKUJE KASY**

**CO NAPRAWDĘ
OZNACZA NOWE
PRAWO O GWALCIE**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

29 (607) 2024
15-21 lipca 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

KŁĘSKA KOMISJI ŚLED CZYCH

NIEUDANA ZEMSTA KOSZTUJE MILIONY



Indeks 287393 ISSN: 2544-2694
29
9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 22 VII 2024 r.

edycja.pl 749606870

GOTOWI NA WSPANIAŁE...
WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?



GLINIARZ I PROKURATOR, PON.-PIĄT. OD 14:00

Sprawdź!



antena^{HD}

AUSTRALIJSCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. OD 18:00



KABARETOWY SZAL, SOBOTA I NIEDZIELA OD 20:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T

CANAL+

VECTRA

UPC

PLAY

INEA

TOYA

ORANGE

15

58

161

167/126

42

72/247

112

248

Wyroki tej władzy w sprawach politycznych będą nieważne. A w wolnej Polsce ofiary tej ekipy dostaną odszkodowania

W czasie wczorajszego protestu w obronie więzionego ks. Michała Olszewskiego i ogólnie w obronie praworządności prezes Jarosław Kaczyński ocenił, że celem władzy jest pacyfikacja społeczeństwa. Służą temu coraz ostrzejsze represje łącznie z torturami zastosowanymi wobec osób aresztowanych, otwarte łamanie prawa, brak poszanowania uprawnień poszczególnych instytucji państwowych, wreszcie budowa monopolu medialnego.

„To nie są akty szaleństwa. To próba z jednej strony odwrócenia uwagi od narastających dolegliwości zwykłego, codziennego życia, przede wszystkim drożyzny. Ale w jeszcze większym stopniu [...] – ta akcja, która trwa dzisiaj i będzie jeszcze nasilona, a wszystko na to wskazuje – jest po to, aby nasze społeczeństwo spacyfikować” – mówił prezes Prawa i Sprawiedliwości.

To prawda: chodzi o zastraszenie, rozbicie, zniszczenie tej tkanki społecznej i instytucjonalnej, która sprawia, że w Polsce w ogóle może istnieć alternatywa wobec linii obecnych władz. Celem jest likwidacja obozu politycznego, któremu należy na polskiej niepodległości i który pokazał, że wie, jak prowadzić Polskę do przodu, ku europejskiej i światowej elicie państw.

W czasie wiecu pod Sejmem prezes Prawa i Sprawiedliwości, jednocześnie wybitny prawnik, podniósł jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę. Chodzi o legalność wyroków, które będą zapadały w ramach prześladowania opozycji. Czy w sytuacji, w której prokuraturą rządzą nielegalni nominaci, w sądach trwają ostre czystki, istnieją podejrzenia ustawiania składów sędziowskich w taki sposób, by wyroki były właściwe, a władze nie szanują ani ustaw, ani kon-

stytucji, można uznawać prawomocność procedur karnych w sprawach politycznych? Jarosław Kaczyński tak odpowiada na to pytanie:

„Te wszystkie procesy w obecnym stanie działań wymiaru sprawiedliwości, bo nie oszukujmy się, bez decyzji prokuratorów takie akcje [...] jak torturowanie zatrzymanych – red.,] nie byłyby podejmowane, to jest, szanowni państwo, jedna wielka zbrodnia, używam tego słowa, która całkowicie dezawuuje wszelkiego rodzaju orzeczenia sądów, które by się odnosiły do tych spraw. Z góry można powiedzieć, że są one prawnie nieważne. Prawnienie nieważne, bo choć w Polsce nie obowiązuje tzw. doktryna owoców z zatrutego drzewa, obowiązuje zasada prawdy obiektywnej, ale to w żadnym wypadku nie oznacza, że tę prawdę można zdobywać przy pomocy tortur. Nawet gdyby to była prawda. Ale tu nie chodzi o prawdę”.

Sprawa jest oczywista w odniesieniu do tego, co się dzieje wokół Funduszu Sprawiedliwości, ale nie tylko. Właściwie legalność wszystkiego, co robią bodnarowcy w ramach szeroko rozumianego prześladowania opozycji, musi zostać zakwestionowana. Prokuratorzy mają nielegalnie powołanego szefa, re-

prezentują państwo, które uśmierciło własną konstytucję i które codziennie depcze własne ustawy, które najpierw stosuje przemoc, a dopiero później szuka podstawy prawnej. Do tego doszedł zarzut stosowania tortur, oznaczający przekroczenie czerwonej linii, niosący ze sobą delegitymizację całego wymiaru sprawiedliwości.

Wyroki tej władzy w sprawach politycznych będą po prostu nieważne. A w wolnej Polsce ofiary tej ekipy dostaną odszkodowania.

Jacek Karnowski



34

Tusk znajduje
pieniądze,
ale dla esbeków
*Jakub Augustyn
Maciejewski*



36

Chińscy żołnierze
na Białorusi
Marek Budzisz



66

Raj na wulkanie
Piotr Ostrowski

NA POCZĄTEK

- 5 FRANCJA, CZYLI EUROPA**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 „BOBAS” NA PREZYDENTA**
Krzysztof Feusette
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 STAJĘ W OBRONIE JACHIRY
I GRODZKIEGO**
Samuel Pereira
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 LIBERALNO-LEWICOWE
MECHANIZMY OSŁABIANIA EUROPY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA ANNY MARII BRZEZIŃSKIEJ**
Michał Korsun
- 17 HISTORIA KOŁEM SIĘ TOCZY?**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 18 ZEMSTA ZA MILIONY**
Marek Pyza

KRAJ

- 23 IDĄ CIĘCIA**
Konrad Kołodziejcki
- 26 WYKIDAJŁO GIERTYCHA**
Stanisław Janecki
- 29 SKUBANIE ARMII**
Piotr Gursztyn
- 32 KTO BĘDZIE NASTĘPNĄ OFIARĄ
KOALICJI 13 GRUDNIA?**
Goran Andrijanić
- 34 TUSK ZNAJDUJE PIENIĄDZE,
ALE DLA ESBEKÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 36 CHIŃSCY ŻOŁNIERZE NA BIAŁORUSI**
Marek Budzisz
- 39 MANEWR MACRONA**
Jan Rokita
- 42 FRANCUSKI CAUDILLO**
Aleksandra Rybińska
- 44 PRAWY DO LEWEGO**
Grzegorz Górny

OPINIE

- 46 BEZ ZGODY BĘDZIE GWAŁT**
Małgorzata Wolczyk

49 LICZĄ SIĘ TAKŻE MIASTA

Jan Parys

HISTORIA

- 52 OPOWIEDZ MI O SOLIDARNOŚCI**
Teresa Bochwic
- 54 KOP PRZECIWKO WOJNIE
HYBRYDOWEJ ZWIĄZKU
SOWIECKIEGO**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

- 57 WIZJA WIĘKSZA NIŻ ŻYCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 60 MITTELEUROPEJSKOŚĆ
JERZEGO STUHRA**
Maciej Walaszczyk
- 62 JAK WIATR CZY SKAŁA**
Robert Tekieli
- 63 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

NA WAKACJE

- 66 RAJ NA WULKANIE**
Piotr Ostrowski

PODRÓŻE

- 70 MOJE SZLAKI: CZESŁAW CZAPLIŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 ANGIELSKI FUTBOL,
NIEMIECKI BAŁAGAN**
Ryszard Czarniecki
- 74 PRZYKAZANIA NA WIDOKU**
Katarzyna Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Francja, czyli Europa

W Paryżu entuzjazm, w Moskwie rozczarowanie, w Kijowie ulga. To wystarczy, żeby być szczęśliwym w Warszawie” – tak Donald Tusk skomentował wybory parlamentarne we Francji. Już pierwsza uwaga polskiego premiera zdumiewa. Czy jeśli Francuzi wybraliby inaczej, to paryżanie pogrążeni byłiby w rozpacz?

Dalej jest jeszcze ciekawiej. Moskwa ma być rozczarowana, bo wygrał Nowy Front Ludowy, którego lider Jean-Luc Mélenchon wzywa Francję do opuszczenia NATO, jest wielbicielem komunistycznych dyktatorów i deklarował, że Krym należy się Rosji, która musi bronić się na Ukrainie przed USA?

Według Tuska i unijnego establishmentu promoskiewskie ma być jednak Zgromadzenie Narodowe. Dowodem na to jest kredyt, który pobrało ono z rosyjskiego banku w 2014 r. tudzież parę niefortunnych wypowiedzi jego liderki. Wspomniana operacja bankowa została wymuszona na ZN, które w świecie „wolnego rynku” zostało odcięte od jakiegokolwiek finansowania, pożyczkę spłaciło sześć lat temu, a Marine Le Pen potępiła agresję rosyjską i odcieła się od jakichkolwiek związków z Kremllem.

Poglądy Mélenchona nie wyznaczają pewnie zagranicznej polityki Francji, bo wprawdzie jest on szefem największej partii Nowego Frontu Ludowego i jego najważniejszą figurą, ale aby rządzić, sojusz ten potrzebuje koalicjanta, a jedynym teoretycznie możliwym, choć niezwykle trudnym, jest dla niego partia prezydencka. Macron może więc kontynuować swoją antykremlowską retorykę, która nie przekłada się na żadne konkretne działania, a pomoc dla Ukrainy pozostanie na tym samym żałośnie niskim poziomie tak ze strony Francji, jak i całej Unii. Niczego w tej mierze nie zmieniliby zwycięstwo ZN. Mogłoby prowadzić jednak do zablokowania centralizacji Europy, a także zablokowania jej imigracyjnej polityki, co stanowiłoby szansę dla Polski.

Wybory we Francji pokazują, jak bardzo oskarżanie prawicy o promoskiewskość ze strony unijnych elit ma instrumentalny charakter. Deklaracje Mélenchona nie przeszkadzały w akceptacji go jako partnera w „republikańskim” froncie, który zatrzymać ma „faszystów” ze ZN. Stosunek do tego stronnictwa, które stanowi kontynuację Frontu Narodowego jest dobitnym przykładem stanu europejskiej polityki od półwiecza.

Partia ojca obecnej prezes Jean-Marie Le Pena przez pierwszą dekadę swojego istnienia była formacją marginalną. To socjalistyczny prezydent François Mitterrand z całą premedytacją zmienił ordynację w wyborach samorządowych w latach 1982–1983, aby umożliwić wypłynięcie jej na szerokie polityczne wody. Wzmocnienie FN rozbijało głosy prawicy, a jego diabolizacja wykluczała jako sojusznika tradycyjnych, bojaźliwych konserwatystów.

Priorytetem partii Le Pena było ograniczenie masowej imigracji z Maghrebu, która zaczęła być postrzegana jako zagrożenie dla francuskiego państwa. Nazywając tę polityczną diagnozę rasizmem i tym samym blokując refleksję na jej temat, ośrodki opiniotwórcze zbudowały kordon sanitarny wokół FN, co pozwalało utrzymywać dominację lewicy, która z czasem kolonizować zaczęła spętana polityczną poprawnością dawną prawicę. Klasyczne racje konserwizmu, takie jak tożsamość cywilizacyjna i narodowa, zostały opatrzone stygmatem „fasyzmu”, co uniemożliwiało debatę wokół nich, obronę pryncypiów konserwizmu i w efekcie obumieranie tego nurtu.

Rasizm to uznanie nieprzekraczalnej biologicznej odmienności ras i ich hierarchiczne uporządkowanie. Uznanie kulturowych determinant zbiorowości jest jego zaprzeczeniem. Zgodnie jednak z poprawnością polityczną to wskazanie na konflikt zbudowanych na odmiennych zasadach cywilizacji został uznany za rasizm właśnie i egzorcyzmowany z przestrzeni publicznej. Analiza problemów zastąpiona została absurdalnym frazesem wielokulturowego społeczeństwa, co stanowi sprzeczność, gdyż kultura to porządek społeczny, a wspólnoty oparte na zasadniczo odmiennych regułach nie mogą funkcjonować. Istniały imperia, w których obok siebie egzystowały społeczeństwa o różnych kulturach, ale ład w państwie utrzymywała despotyczna władza. Wielokulturowa demokracja nie jest możliwa, gdyż dla jej funkcjonowania niezbędne jest poczucie elementarnej wspólnoty. Jeśli jej nie ma, nie ma demosu – współcześnie narodu, a poszczególne grupy walczą o dominację.

Rozmowa na ten temat stała się dziś tabu opatrzoną stemplem rasizmu, a ci, którzy usiłują ją podjąć, są wykluczani ze sfery publicznej i piętnowani jako faszyci. W ten sposób lewicowe elity zapewniają sobie trwałość rządów. To, że niszczą fundament europejskiego porządku, nie kłopotczy ich z ideologizowanych rozumów, dla których istotne są wyłącznie doraźne partyjne kalkulacje.

„Walka z faszyzmem” pozwoliła utrzymać we Francji *status quo* i wybrać koalicję, która przyspieszy samobójcze tendencje w tym kraju. Wprawdzie strategia ta wyczerpuje już swoją nośność i skutkuje być może po raz ostatni, ale i tak na uratowanie zachodniej Europy może okazać się za późno. 



Sygnalista nadaje

W saloniku VIP na warszawskim Okęciu przypadkowo spotkali się marszałek Sejmu **Szymon Hołownia** oraz świeżo upieczony europoseł, do niedawna szef komisji ds. pseudoafery wizowej **Michał Szczerba**. I zaczęli dialogować. Hołownia do Szczerby: „Dokąd lecisz?”. Szczerba do Hołowni: „Do Berlina, bo Kidawa coś tam załatwiła”. Hołownia: „A, to do naszych lecisz...”. Szczerba: „A ty?”. Hołownia: „Ja też do naszych, oni mają takie szersze spojrzenie”. Jarosław Kaczyński ma rację: nie jesteśmy już suwerennym krajem.

Z kolei w hali odbioru bagażu na Okęciu (w części dla zwykłych zjadaczy chleba) zdjęto plakaty ozdabiające wielkie słupy. Głosiły, że „jesteśmy dumni z Polski”, zarówno po polsku, jak i po angielsku, i prezentowały wielkich Polaków, m.in. Fryderyka Chopina, patrona warszawskiego lotniska. Co w zamian? Na razie nic, w przyszłości pewnie jakieś tęczowe bohemy. Przynajmniej szczerze: wiemy już oficjalnie, że obecna władza nie jest i nie chce być dumna z polskiego dziedzictwa.

Koncern ORLEN na swojej stronie internetowej poinformował, że nie przedstawi raportu zawierającego sprawozdanie finansowe za drugi kwartał 2024 r. Czyżby sytuacja była aż tak zła? Poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk komentuje: „Ponoć wyniki ORLEN za II kw. szorują po dnie, stąd ten komunikat”. Na pewno jest to sytuacja chyba bez precedensu. Za czasów PiS byłaby wielodniowa burza, dziś właściwie cisza. Polska gospodarka traci impet, wszędzie chaos, brak decyzji, zwijanie inwestycji, za chwilę dojdą bezrobocie

i emigracja. W sumie obraz jak po przegranej wojnie.

Podczas spotkania kanclerza Scholza z premierem Tuskiem w Warszawie zdecydowano o polskiej pomocy w dostarczaniu rosyjskiej ropy do niemieckiej rafinerii w Schwedt. Były prezes ORLEN, dziś europoseł PiS **Daniel Obajtek** alarmuje: „Czy zdają sobie państwo sprawę, jak to zagraża bezpieczeństwu? To tak zagraża bezpieczeństwu, że rosyjska ropa ma niższą cenę co najmniej o 24 dol., jeżeli są spełniane restrykcje komisji. Ktoś za rosyjską ropę płaci 60 dol., a dziś ropa, którą kupuje ORLEN, kosztuje ok. 85 dol. Jest to wykańczanie konkurencyjności polskiej rafinerii”. Bardzo smutne to wszystko. No i symboliczne: Polska w roli wspornika sojuszu niemiecko-rosyjskiego.

Europoseł Obajtek zeznawał przed komisją śledczą ds. pseudoafery wizowej. Było ostro. Posłanka Polski 2050 Aleksandra Leo uderzyła prosto w zęby. „Pan nie zna przepisów prawa karnego. I mnie dziwi, że pan chodząc sobie na mediach społecznościowych, błaznuje na komisji... Może pan dowolnie sobie szczerzyć te swoje słynne sztuczne zęby” – rzuciła. Obajtek ripostował: „A pani swój botox”. Może to i dobrze, że te żenujące komisje kończą jako czysty kabaret, i to nie najwyższych lotów. Ale jednej zaśluzi odmówić im nie można: w czasie przesłuchań kulturowa, państwowa i intelektualna nędba Platformy wybrzmiała w całej okazałości.

Wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz ma pomysł

Pracownicy biura prasowego PiS alarmują:
„W Sejmie przy stolikach dziennikarskich jest tablica, na której wpisywane są planowane konferencje klubów. Co robi biuro prasowe KO? Wykreśla nasze, wpisuje swoje. Słabo mega! Potem media mówią, że nie wiedzieli o naszych i nie obsługują ich”. Można się śmiać, ale dziwić się nie można: władza totalna nie cofnie się przed żadnym, nawet najbardziej żenującym numerem.

pomysł w sprawie granicy z Białorusią: „Policje i straże graniczne z państw sojuszników powinny wesprzeć ochronę polskiej granicy. To jednocześnie zewnętrzna granica UE i NATO, a jej naruszenie stwarza zagrożenie także w innych państwach”. Pomysł wyjątkowo niemądry i szkodliwy. Oznacza oddanie kontroli nad bardzo wrażliwą sferą, w tym nad ruchami ludności. Niczego nie rozwiąże, za to wykręci ręce władzom w Warszawie. Ale może właśnie o to chodzi, by bezradnie rozłożyć ręce i przestać bronić polskich granic?

🔊 Wiceszef MON z ramienia PO Cezary Tomczyk (w praktyce postać nr 1 w resorcie) rozesłał SMS do aktywów swojej partii: „Szanowni Państwo, serdecznie zapraszam na spotkanie samorządowców, parlamentarzystów, zarządu PO i gości z regionu łódzkiego. Spotkanie odbędzie się 11.07, godz. 18:30 w Pruszkowie, ul. Grodziska 1 w Ośrodku Reprezentacyjnym MON. Sekretariat MON będzie do Was telefonował w celu potwierdzenia obecności. Pozdrawiam, licząc na Waszą obecność! Cezary Tomczyk”. Tu jesteśmy: partyjne spotkanie w wojskowym obiekcie zorganizowane z pomocą urzędników MON. Szybko poszło.

🔊 „Gazeta Wyborcza” przekroczyła kolejną granicę postmodernistycznego limesu. Oto poeta i prozaik, a także felietonista Jacek Podsiadło „rozprawił się” z „Bogurodnicą”, którą MEiN miało czelność wprowadzić w podręcznikach szkolnych do kanonu edukacji. „Wystarczy najbardziej nieoryginalny jaki być może rym tautologiczny Maryja-Maryja nazwać »grą epifor« i już można śmiało, bez konieczności uzasadniania, uznawać za szczytowe wykwyty poezji ustępy utrzymane w poetyce pitu-pitu i pierdu-pierdu”. Droga do polskiej godności i niepodległości wiedzie przez głęboki zmiany na rynku medialnym.

🔊 Leszek Balcerowicz promuje nową tezę: albo zbrojenia, albo socjal. „Wydatki na zbrojenia, moim zdaniem słusznie, akurat w Polsce ze względu na sytuację geopolityczną są najwyższe w Europie, ale to jest 4 proc. PKB. Wydatki socjalne to jest grubo ponad 20 proc. Więc jeżeli chcemy unikać pelzającego kryzysu fiskalnego, a jednocześnie zachować to, co jest potrzebne, mianowicie te podwyższone wydatki zbrojeniowe, musimy szukać oszczędności w tych dużych pozycjach, czyli w wydatkach socjalnych” – mówił twórca terapii szokowej w neo-TVP. Jak to jest, że za czasów PiS było i na jedno, i na drugie?

🔊 Szef gabinetu prezydenta RP Marcin Mastalerek stwierdził w TVN 24, że gdy był współ-

szefem kampanii wyborczej PiS w 2015 r. i odpowiadał za ustalanie przekazów medialnych partii, to Mariusz Błaszczak „zawsze był prymusem”. Oceniał też, że był szef MON od 2015 r. „nie powiedział nic mądrego”. Błaszczak odpowiedział na zaczepkę tak: „Ten człowiek ma już 40 lat. Niczego w swoim życiu zawodowym nie dokonał. A że ma rozdętego ego, to tak się nieładnie zachowuje”. Czemu służy to uderzanie w Zjednoczoną Prawicę w tak trudnym dla niej momencie i w takim miejscu – trudno dociec. Lepiej dać temu spokój.

🔊 **Jan Krzysztof Ardanowski** myśli o założeniu nowej siły politycznej. „Liczę na to, że będę miał własny klub w Sejmie. Wielu posłów za mną chodzi: »Masz rację, masz rację. To logiczne, PiS się nie podniesie, będzie stagnowało, będzie się zmniejszało«. Część posłów mówi tak: »Wiesz, to ja w drugim kroku. Weź założ, to ja się wtedy przyłączę«”. I jeszcze: „Nie będę czekał dalej, bo uważam, że projekt polityczny pod nazwą PiS, choć miał wiele sukcesów, aktualnie to jest projekt trochę passé”. Szkoda, że nasze wady narodowe trwają, i to w niezmienniej formie. A PiS będzie, gdy po nowej inicjatywie nie zostanie nawet ślad.

🔊 Prezes PiS **Jarosław Kaczyński** ocenił coraz liczniejsze akty prześladowania opozycji. „To nie są akty szaleństwa. To próba z jednej strony odwrócenia uwagi od narastających dolegliwości zwykłego, codziennego życia, przede wszystkim drożyzny. Ale w jeszcze większym stopniu [...] – ta akcja, która trwa dzisiaj i będzie jeszcze nasilona, a wszystko na to wskazuje – jest po to, aby nasze społeczeństwo spacyfikować” – mówił w czasie protestu w obronie ks. Michała Olszewskiego. I dalej: „Bo przecież plan, dla którego realizacji tu został wysłany Tusk, to jest plan, którego finałem ma być w gruncie rzeczy likwidacja polskiego państwa”. Stawka jest rzeczywiście bardzo wysoka. Każdy, kto w tej sytuacji wybiera własne ambicje i nakręca podziały, pomaga agresorom.

🔊 Smutne słowa padły podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektów ustaw dotyczących prawa do przerywania ciąży. Jedna z działaczek organizacji Dziewuchy Dziewuchom stwierdziła: „Pięć lat temu miałam aborcję i to była najlepsza decyzja, jaką podjęłam w całym moim życiu”. Za wcześniej na takie wyznania. Za parę, paręnaście, parędziesiąt lat perspektywa będzie zupełnie inna. Żadne mody nie zmieniają sprawy zasadniczej: aborcja to morderstwo. To przerywanie życia, które mogło być piękne, pełne, mądre, użyteczne.

„Bobas” na prezydenta



Krzysztof Feusette

Tusk: To co, robimy prawyborzy?
Trzaskowski: Chyba „pre”? Że wcześniej?

Kierwiński: Nie poprawiaj przewodniczącego, bo za młody jesteś na Heroda. Już wystarczy, że krzyże zdjąłeś. A co to w ogóle jest?

Tusk: Krzyż? Matka kreśliła na chlebie coś takiego...

Kierwiński: Prawyborzy.

Tusk: No, że dwóch się bije...

Sikorski: A trzeci korzysta.

Tusk: Czyli że kolega jest „za”?

Sikorski: A co ja mogę? Ja już uczestniczyłem w takiej ustawce.

Tusk: Pamiętam. Dobrze koledze szło.

Sikorski: Jak krew z nosa. Przecież jak tylko dwa słowa krytycznie o Bronisławie powiedziałem, to on mi od razu: „Ochłoń, Radku” i było po prawyborach. Potem też porażka.

Kierwiński: Co kolega ma na myśli?

Sikorski: Prawyborzy z Kidawą-Błońską. Nikt się nie chciał zgłosić, to przywieźli Jaśkowiaka. Jakie to jest upokorzenie dla Poznania, że prezydent miasta przegrał nawet z Kidawą?

Tusk: Wyraźnie nie rozumie kolega idei prawyborów. Trzeba się było zgłosić, a nie zostawiać partię na pastwę tej... Czy jest z nami Małgosia? No, więc tej... no, wiadomo, kogo. Gdyby nie moja przenikliwość...

Trzaskowski: Chciałbym przypomnieć, że to ja wtedy uratowałem notowania partii, a nie Rada Europejska.

Tusk: Słucham?

Trzaskowski: Mówię o wyborach prezydenckich, w których, jeśli dobrze pamiętam słowa pana przewodniczącego, byłem osobą wygraną. I wtedy te prawyborzy...

Kierwiński: Pra...

Tusk: Zostaw „Bobas”, bo tylko zaogniasz sytuację...

Kierwiński: Gasisz pozaaa...

Tusk: Zabierzcie mu mikrofon. Zwłaszcza, że on na pewno nie wystartuje.

Kierwiński: Suuucham?

Tusk: Mówię tylko, że kolega sekretarz generalny naszej partii raczej do Belwederu się nie wybiera...

Kierwiński: A szemu?

Sikorski: Marcinie, połóż się...

Kierwiński: O szepaszam, nawet ostatnio prezydent Komorowski, to znaczy Komorowski, mówił, że pan premier

jest trzeźwo myślący i mierzy siły na zamiary, więc nie wystartuje...

Tusk: Ja już to nawet oficjalnie potwierdziłem. Że nie będę. A co będzie, to co ja będę potwierdzał albo zaprzeczał, skoro nie wiem? Ale mamy tu dwóch świetnych kandydatów z Warszawy i Chobieline. Mnie chodzi tylko o to, czy robić z tego finał, czy półfinał.

Kierwiński: Chyba świerś... świerszcz... świerćfinał, bo ja też się liczę. Jeśli Bronisław mówi, że trzeźwo myślący się nie nadaje, to mnie się otwiera furka w głowie... To snaszys... Tak, w głowie... Że ja... ani trzeźwo... ani myślący, więc...

Tusk: Więc?

Kierwiński: Proszę mnie uzg... uze... wglendniś... w tych preprawyborach...

Sikorski: Nie, to jest kpina. Ja miałem być sekretarzem generalnym NATO, komisarzem Unii Europejskiej do spraw obronności, kandydatem na prezydenta...

Trzaskowski: I co z tego? Trzeba było nie robić resetu z Putinem.

Tusk: Hola, hola. Tak nie możemy rozmawiać.

Trzaskowski: Chciałem tylko dodać, że prezydent Komorowski stwierdził także, iż tylko jeden z potencjalnych kandydatów umie zjednywać sobie ludzi...

Kierwiński: Szylis so?

Trzaskowski: Szylis... czyli że ludzie go lubią.

Kierwiński: Mnie lubią. Na maksa. Szczególnie, jakby nie lubili, to by na mnie „Bobas” nie mówili. „Bobasek”, „Bobasunio”, „Bobasiulek”...

Sikorski: Ale oni się śmieją. Kolega nie ma powagi stosownej do urzędu.

Trzaskowski: Odezwał się ten, co ma...

Sikorski: Do czego kolega pije?

Kierwiński: Ja? Ja, k...a, znowu ma się tłumaczyć?! Wyzywam cię na pojedynek! Pojedynek?

Sikorski: Pytałem Rafalka.

Trzaskowski: Tylko nie „Rafalka”, Radku. I ochłoń, dziadku. Ty coś o powadze mówisz? Już taśm nie pamiętasz? Kogo byś z czego ściągał i co ambasador powinien zrobić z urzędniczką NIK?

Sikorski: No i?

Tusk: No i sami widzicie, że idea prawyborów wymaga jeszcze dopracowania. Zwłaszcza że i kolega Kierwiński też chce wystartować, i może kolega Bodnar, żeby siebie samego ulaskawić, chociaż mu powtarzam: „Adamie, wyluzuj, przecież nikt z naszych cię nie skaże”. Reasumując – trzeba to jeszcze przemyśleć.

Trzaskowski: Ale ty nie startujesz?

Tusk: W prawyborach? No coś ty. Jak by to wyglądało. Co ja, strażnik zyrandola jestem? Prawdziwa polityka dzieje się w rządzie, dlatego nigdy bym nie zostawił funkcji polskiego premiera dla kiejś, powiedzmy, europejskiej synekury...

Sikorski: Powiedzmy...

Tusk: Przecież mówię, żebyśmy powiedzieli. Zauważyłem u kolegi pewną nerwowość, gdy tylko wspominamy o wyborach prezydenckich...

Sikorski: Umnie? Gdzie? Skąd? Absolutnie. Ja mam co robić. Przecież. Jako szef dyplomacji.

Tusk: Czego?

Sikorski: Spraw zagranicznych.

Tusk: Czego tak się kolega trzęsie, jak to mówi? Może naprawdę zrobimy półfinały?

Kierwiński: Już wygrałem. A kto będzie desydował, kto przechodzi dalej?

Tusk: Kolektyw.

Sikorski: Czyli?

Trzaskowski: Czyli obowiązują wewnętrzpartyjne ustalenia i kandydat może być jeden. J...ć prawyborzy, prawyborzy i inne pierdoły. O czym my w ogóle rozmawiamy? Wchodzę do drugiej, robię muz d...y funky, funky i przenoszę się do pałacu.

Tusk: Brzmi dobrze. Z drugiej strony, jeszcze kupa czasu i kupa rzeczy może się wydarzyć. Na razie powiemy, że mamy więcej kandydatów niż miejsc i trwa... no, jak to się nazywa...

Kierwiński: Dyskusja... wewnątrzpartyjna... Ale szefie, szanse mam, so?

Tusk: Na wiceprezydenta. Miasto sobie wybierzesz, jak ci pogłos minie.

Przedsiębiorcy z sektora MŚP wybierają franczyzę

Według najnowszych danych opracowanych przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości aż 97,2 proc. działających w Polsce biznesów to mikroprzedsiębiorstwa. Szukając przewag rynkowych, coraz więcej z nich działa w oparciu o model franczyzy. Z Żabką, jedną z największych sieci, obecnie współpracuje już 9 tys. przedsiębiorców, a ich liczba stale rośnie



Z „Raportu o stanie sektora małych i średnich przedsiębiorstw w Polsce”, przygotowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości w czerwcu 2024 r., wynika, że MŚP wytwarzają blisko połowę wartości polskiego PKB (45,3 proc.), a mikroprzedsiębiorstwa, czyli podmioty zatrudniające do 10 osób, stanowią aż 97,2 proc. wszystkich firm działających w Polsce i generują 28,2 proc. kwoty polskiego PKB. Jednym z najdynamiczniej rozwijających się sektorów jest obecnie franczyza – ponad 83 tys. polskich przedsiębiorców to franczyzobiorcy, z czego już ponad 9 tys. z nich działa w popularnej w całym kraju sieci Żabka. Zgodnie z Raportem Odpowiedzialności Grupy Żabka za 2023 r. franczyzobiorcy tej sieci zapewniają w Polsce ponad 63 tys. miejsc pracy, płacą podatki oraz angażują się w działania na rzecz lokalnych społeczności. W prowadzonych przez nich placówkach rozlicza się ok. 1 mld transakcji rocznie. Całkowita kwota wartości dodanej do PKB wytworzonej przez Grupę Żabka i współpracujących z nią franczyzobiorców wyniosła w 2023 r. aż 9,1 mld zł, czyli o 30 proc. więcej niż rok wcześniej. Jako jeden z liderów rynku franczyzy w Polsce Żabka oferuje gotowy model biznesowy dla przedsiębiorców. Dla wielu z nich, szczególnie tych z małych miejscowości i wsi, franczyza Żabki staje się realną szansą na prowadzenie własnego biznesu i stabilne zarobki.

– Franczyza to najlepsza szkoła przedsiębiorczości, a Żabka z dumą wspiera jej rozwój, nie tylko w dużych miastach, lecz także na terenach wiejskich. Dzięki elastycznemu formatowi, wdrażanym innowacjom i ofercie dopasowanej do potrzeb klientów nasze sklepy zapewniają przewagę konkurencyjną na lokalnych rynkach. Ponadto gwarantujemy franczyzobiorcom prowadzącym sklepy wszechstronne przeszkolenie i stałą możliwość pod-

noszenia kompetencji przedsiębiorczych – mówi Przemysław Kijewski, dyrektor ds. operacyjnych Żabka Polska.

DLACZEGO FRANCZYZA?

Franczyzę Żabki wyróżnia na rynku wsparcie merytoryczne i szkoleniowe udzielane zarówno przedsiębiorcom rozpoczynającym działalność, jak i tym, którzy już działają w sieci. W 2023 r. firma wspólnie z Wydziałem Zarządzania Politechniki Warszawskiej oraz ekspertami uruchomiła Akademię Przedsiębiorczości. Jest to program skierowany do kandydatów oraz obecnych franczyzobiorców Żabki, który ma na celu rozwój umiejętności menedżerskich oraz poszerzenie wiedzy, w tym z zakresu finansów, organizacji i zarządzania placówką. Oprócz tego w 2024 r. powstał wspierany przez Żabkę portal Studium Przedsiębiorczości, którego zadaniem jest edukacja Polaków z zakresu wiedzy potrzebnej do prowadzenia własnej firmy.

Dzięki wsparciu ze strony Żabki franczyzobiorcy mogą korzystać z rozpoznawalnej marki, sprawdzonego modelu biznesowego oraz szerokiego wsparcia logistycznego i marketingowego. To wszystko pozwala im na skuteczne konkurowanie na lokalnym rynku. Nie bez znaczenia jest fakt, że franczyza Żabki umożliwia start od kwoty ok. 5 tys. zł. Do tego franczyzobiorcy mogą liczyć na benefity, takie jak karta Multisport, karta paliwowa oraz unikatowe na rynku ubezpieczenie „Polisa na biznes”, które chroni ich od różnych nieprzewidzianych sytuacji mogących pojawić się podczas prowadzenia własnego biznesu na zasadach określonych z zakładem ubezpieczeń. Niewątpliwie argumentem są także finanse – od stycznia do maja 2024 r. 86 proc. franczyzobiorców Żabki osiągnęło 27 tys. zł lub więcej przychodu miesięcznie. 

Więcej informacji o franczyzie z Żabką: <https://www.zabka.pl/franczyza>

Z danie ekspertów z Rosyjskiej Akademii Nauk, którzy opublikowali analizę „Rosja 2050 – obraz przyszłości”, w połowie stulecia Federacja będzie zamieszkiwać 135 mln ludzi, co oznacza ubytek ludności o 9 mln osób.

Analitycy brali również pod uwagę dwa inne, bardziej optymistyczne scenariusze, według których Rosja skurczy się demograficznie do poziomu 140 albo 145 mln ludzi, ale za najbardziej prawdopodobny uznali wariant pesymistyczny. Oznaczałoby to średni roczny spadek liczby ludności na poziomie 400 tys. osób, co i tak jest niższą wartością niż realnie notowana w ostatnim czasie. Według Rosstatu, odpowiednika naszego GUS, w 2022 r. liczba ludności Federacji Rosyjskiej zmniejszyła się bowiem o 600 tys., rok później spadła o 495 tys., a w ciągu pierwszych czterech miesięcy br. było to już 226 tys. osób. Co więcej, te oficjalne dane i tak są zaniżone, bo nie uwzględniają tych, którzy opuścili kraj w obawie przed wojną. Latem ub.r. jeden z opozycyjnych portali emigracyjnych po zebraniu danych z państw, w których osiedlali się emigrujący Rosjanie, szacował, że od początku wojny z kraju wyjechało na stałe od 800 do 920 tys. osób.

Długoterminowe prognozy Rosstatu idą dalej, niż założyli eksperci Rosyjskiej Akademii Nauk i przewidują



zmniejszenie liczby ludności Rosji w 2046 r. do 131 mln osób. Analizy te nie uwzględniają jednak demograficznych skutków przedłużającej się wojny – zarówno spadku liczby mężczyzn, jak i wpływu zespołu stresu pourazowego na decyzje prokreacyjne rosyjskich rodzin.

Dane te pokazują, że prowadzona przez lata polityka prorodzinna Kremla nie daje oczekiwanych efektów. Ubytek ludności notuje się w Rosji już od dziecięciu lat, a wskaźnik liczby narodzin na 1 tys. mieszkańców w 2023 r. spadł do poziomu 1,41 i jest najniższy od 17 lat. Aby następowała prosta zastępowalność pokoleń, musiałby on wynosić przynajmniej 2,1. Deputowani Dumy zaproponowali więc ograniczenia w do-

stępie do aborcji i wprowadzenie podwyższonego podatku dla bezdzietnych, ale Kreml jest sceptyczny wobec takich postulatów.

Jak argumentują eksperci Rosyjskiej Akademii Nauk, i to jest w ich raporcie najciekawsze, nie uda się utrzymać wzrostu gospodarczego, jeśli Moskwa nie zgodzi się na szeroką imigrację zarobkową. Najprawdopodobniej chodzi o muzułmanów z Azji Środkowej, bo stamtąd pochodziła jak dotąd największa liczba rosyjskich gasterbaiterów. Jeśli władze obiorą ten kierunek, to być może liczba ludności w Federacji Rosyjskiej w 2050 r. pozostanie na wyższym poziomie, ale za to mocno wzrośnie w niej udział muzułmanów.

Marek Budzisz

Co zdaniem chińskich władz jest „najniebezpieczniejszym nowotworem współczesnego społeczeństwa”? Otóż owym złośliwym guzem, sądząc po oficjalnych deklaracjach Pekinu, jest POGO.

Nie chodzi o taniec popularny w subkulturze punkowej, lecz o zjawisko ukrywające się za nazwą Philippine Offshore Gaming Operators. Tak nazywane są internetowe kasyna znajdujące się na Filipinach. Ich głównymi klientami są obywatele Chin, gdzie hazard jest surowo zabroniony. Ten zakaz postanowiły obejść władze w Manili, otwierając w swoim kraju wielką sieć domów gry online przeznaczonych głównie dla chińskich internautów. Operatorom postawiono jeden warunek: hazard mogą uprawiać jedynie osoby mieszkające poza Filipinami.

Działalność POGO stała się przyczyną dyplomatycznych starć między Manilą a Pekinem. Chińczycy skarżą się, że wirtualne kasyna drenują ich rynek z pieniędzy i wpędzają mieszkańców w uzależnienie od hazardu. Dla Filipinczyków jest to jednak źródło łatwego i stale rosną-



Groźny hazard

cego zarobku, dlatego stanowczo odmawiają ich zamknięcia.

Ostatnio jednak także oni mają problemy z POGO. Oprócz oficjalnie działających i licencjonowanych firm hazardowych powstała bowiem szara strefa złożona z nielegalnych kasyn online, które nie płacą podatków. Zatrudniają na czarno dziesiątki tysięcy ludzi znających język chiński, którzy są przetrzymywani w niehumanitarnych warunkach i zmuszani do pracy dla internetowych gangów. W tym celu stworzono olbrzymią podziemną strukturę utrzymującą nie tylko ukryte kasyna, lecz także tajne szpitale, w których leczeni są nielegalni pracownicy. Niedawno taka placówka została odkryta podczas nalotu filipińskiej policji. Podczas innego przeszukania odnaleziono z kolei doskonale zakonspirowaną salę tortur. Władzom w Manili sytuacja wymknęła się więc spod kontroli – chcieli stworzyć łatwy biznes, a umożliwili powstanie mafii zajmującej się nielegalnym hazardem, oszustwami podatkowymi i handlem ludźmi.

Grzegorz Górny

**Szwecja**

Martwe dusze i wyłudzone zasiłki

Szwedzki urząd skarbowy doszedł do wniosku, że w rejestrze ludności figuruje od 74 tys. do nawet 158 tys. osób, których nie powinno w nim być. To imigranci posługujący się fałszywą tożsamością, dzięki czemu pobierają świadczenia ze szwedzkiego systemu opieki socjalnej, do których nie są uprawnieni.

Patologiczne zjawisko odkryła skarbowka, weryfikując dane posiadane przez Szwedzką Agencję ds. Migracji. Prowadzone w ub.r. kontrole wykazały bardzo wiele nieścisłości. Ich skutkiem był ponad 50-proc. wzrost liczby imigrantów usuniętych z systemu.

W Szwecji jest zarejestrowanych ok. 10,5 mln obywateli. Oprócz nich ok. 480 tys. osób ma aktywny numer koordynacyjny. To obowiązujący od ponad 24 lat 10-cyfrowy kod pomagający w kontaktach ze szwedzkimi urzędami i instytucjami. Jest on potrzebny, gdy dana osoba chce pracować lub płacić podatki, posiadać konto w banku, a także zaciągać kredyty w tym kraju. Jest przyznawany m.in. pracownikom sezonowym, studentom, azylantom lub tym, którzy ubiegają się o azyl, osobom mieszkającym za granicą, ale prowadzącym na terenie Szwecji działalność gospodarczą – wszystkim, którzy nie kwalifikują się do uzyskania numeru personalnego, będącego odpowiednikiem polskiego PESEL. Co ciekawe, otrzymujące go osoby podają urzędnikom migracyjnym jedynie adres do kontaktu. Kontrole wykazały jednak, że tylko połowa z tych adresów znajdowała się w Szwecji.

Posiadanie numeru koordynacyjnego nie wiąże się z równoczesnym prawem do świadczenia socjalnego, jednak system jest dziurawy i błędne numery koordynacyjne, formalnie uśpione i używane jedynie przez krótki czas, można wykorzystać jako podstawę do wyłudzeń świadczeń i oszustw. W związku z tym Anders Klaar, koordynujący działania skarbowki, wezwał instytucje odpowiedzialne za wypłatę świadczeń i różnego rodzaju pomocy do aktualizacji swoich systemów informatycznych i weryfikacji tożsamości wnioskodawców. Chodzi m.in. o rozszerzenie możliwości stosowania biometrii w celu identyfikacji poszczególnych osób.

Od pewnego czasu Szwecja, po kilku dekadach forsowanej przez socjaldemokratów polityki otwartych drzwi, zaostrza politykę migracyjną. Wzrost bezrobocia oraz przestępczości doprowadziły bowiem do zmiany nastawienia Szwedów do masowej imigracji.

Maciej Walaszczyk

**Niger**

Afrykańskie junty łączą siły

Przywódcy junt wojskowych, które w latach 2020–2023 przejęły władzę w trzech państwach Afryki Zachodniej, łączą teraz siły we wspólnej organizacji. Sojusz Państw Sahelu (AES), do którego przystąpiły Mali, Niger oraz Burkina Faso ma z pomocą rosyjskich najemników zwalczać rebelię dżihadystów w regionie.

Spotkanie założycielskie AES odbyło się ponad tydzień temu w stolicy Nigru. Trójka afrykańskich generałów, którzy zdobyli władzę w swoich krajach w wyniku zamachów stanu, zapowiedziała, że ich głównym celem będzie „utrzymanie suwerenności” oraz dalsza integracja – łącznie z przyjęciem wspólnej waluty.

Pojęcie suwerenności, którym posługują się przywódcy trzech zachodnioafrykańskich junt, należy rozumieć w podobny sposób, w jakim używa go Moskwa i inne państwa rewizjonistyczne. W tym znaczeniu oznacza ono zerwanie z zależnością od Stanów Zjednoczonych i Europy. Naszymi „szczerymi partnerami” są Rosja, Iran i Turcja – deklarują zbuntowani generałowie. To dlatego ich reżimy wkrótce po zdobyciu władzy zerwały współpracę z Zachodem, likwidując francuskie i amerykańskie garnizony wojskowe, które wcześniej wspierały ich kraje w walce z islamistyczną rebelią. Zaledwie tydzień temu poinformowano o opuszczeniu Nigru przez ostatnie oddziały amerykańskie. Wiele zresztą wskazuje na to, że zamachy stanu we wszystkich trzech państwach tworzących AES były inspirowane przez Moskwę dążącą do destabilizacji Afryki i ograniczenia wpływów Zachodu.

Nie powinno więc zaskakiwać, że miejsce Francuzów i Amerykanów we wspomnianych krajach szybko zajęli Rosjanie. Oprócz instruktorów wojskowych pojawili się tam również najemnicy z dawnej Grupy Wagnera. Według wielu doniesień w marcu byli wagnerowcy wraz z oddziałami malijskiej armii dokonali rzezi cywilów we wschodniej części Mali. W ataku na wioskę Abeibara miało zginąć 46 osób – wśród nich osoby starsze i dzieci. Napastnicy mieli również dopuścić się gwałtów i rabunków. Władze Mali zaprzeczają tym oskarżeniom, potwierdzając jednak, że w regionie trwa „operacja wojskowa” przeciwko rebelii Tuaregów.

Rządy pozostałych państw regionu, skupione we Wspólnocie Gospodarczej Państw Afryki Zachodniej (ECOWAS), obawiają się, że sojusz trzech reżimów wojskowych wspieranych przez Rosję i Iran może doprowadzić do zaostrzenia lokalnych konfliktów i wywołać nową falę imigracyjną w kierunku Europy. Niewykluczone zresztą, że właśnie taki jest plan Moskwy.

Konrad Kołodziejewski

Staję w obronie Jachiry i Grodzkiego

Szczerość nie jest zbyt częstą cechą u polityków. Im bardziej są doświadczeni, tym rzadziej można usłyszeć z ich ust słowa prawdy, a przynajmniej wypowiedzi, które ujawniałyby trudną prawdę o nich czy ich obozie politycznym. Dlatego szczerość u polityków należy doceniać, niezależnie od tego, jak głupie bądź skandaliczne byłyby słowa, które wypowiadają.

Np. Klaudia Jachira została zaorana w mediach społecznościowych za swoją deklarację: „Jestem dumna z tego, że dwa lata temu głosowałam przeciwko reparacjom. Była nas tylko czwórka, a jednak czuliśmy, że postępujemy słusznie”. Chcę stanąć w jej obronie, bo wszyscy wieszają na niej psy, a ona ma poglądy dokładnie takie jak premier Donald Tusk. Co więcej, jeśli przeanalizować sygnał, który wysyła w świat swoimi słowami, jest on jasny i czytelny: patrzcie, najwyższe kierownictwo PO teraz przyznaje mi rację. Jako jedna z nielicznej grupy już w 2022 r. miałam odwagę zagłosować w zgodzie z linią partii, która jednak wtedy ze względów politycznych była ukrywana.



**Samuel
Pereira**

Podobną szczerością wykazał się niedawno senator Tomasz Grodzki, który pytany o sprawę nowelizacji prawa autorskiego, powiedział, że on i jego koledzy mają żal do mediów, że nie odnotowały obchodów 35-lecia Senatu. „Żadna z większych redakcji nie zająknęła się nawet jednym zdaniem o święcie Senatu. Senat czuje się lekceważony, a jak trzeba, to raptem teraz wszyscy do nas przychodzą” – stwierdził Grodzki. Zobaczcie, jak ważna w swojej prostocie jest to deklaracja. Nieważne jest meritum sprawy, czy zapisy nowelizacji są dobre dla obywateli, czy nie – ważne jest ego pana senatora i jego kolegów. Wystarczy je zaspokoić, żeby głosowali jak trzeba.

Jakie świadectwo wystawiają sobie tymi wypowiedziami Klaudia Jachira i Tomasz Grodzki? Najgorsze. Czy są jednak gorsi od tych, którzy uważają dokładnie to samo, co oni, tylko oszukują obywateli? Nie. Ich bezpośredniość nawet dodaje im jednego punktu, który każe może nie tyle ich bronić, ile powiedzieć: „Dziękujemy za waszą szczerość, róbcie tak dalej!”

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wydalić

Chciałbym napisać o czymś, na czym się dokumentnie nie znam. I znać się nie chcę, a dlaczego, napiszę za chwilę.

Chodzi o coś, co się nazywa Fundusz Sprawiedliwości. Liznałem trochę informacji. Zdaje się, że pewna gazeta twierdzi, iż w ten sposób „ziobryści” wyprowadzali pieniądze do związanych ze sobą organizacji. Trudno wprowadzić ocenić, czy legalnie, czy nielegalnie, ale ogólnie oskarżyciele dają do zrozumienia, że jakiś smród był. Przeczytałem kilka tekstów na ten temat – nic z nich nie rozumiem, mam wrażenie, jakby je pisali spin doktorzy obecnej koalicji rządzącej dla przekonanych politycznych aktywistów, którzy mają się dowiedzieć, co myśleć.

Ale ja nie o tym, nie przesądzam: winni czy niewinni. Może winni. Chciałem wystąpić w imieniu ludu, który nie jest ustawiony i zindoktrynowany, lecz otrzymuje od was jakieś mętne informacje. I musi się do tego ustosunkować.

Otóż drodzy koledzy (osoby koleżeńskie) indoktrynatorzy, którzy wszystko wiecie lepiej i zakładacie, że tacy sami są wasi czytelnicy – tracicie czas. Chyba piszecie te enigmatyczne informacyjki do swoich wyznawców, którzy jak wy uważają, że nie muszą wiedzieć, o co naprawdę chodzi, tylko wierzyć, że było, jak wy podpowiadacie.



**Dominik
Zdort**

Gdybyście chcieli przekonać kogoś myślącego inaczej, to musielibyście się jakoś wysilić, poszukać argumentów, wytłumaczyć... Ale sami wiecie, że nie przekonacie nikogo prócz waszych zwolenników, więc się nawet nie staracie.

Co więcej, autorami tych waszych tekstów są osoby, którym nie zaufa nikt spoza waszej sekty. Czy ktoś normalny, obiektywny uwierzy w pisaninę Wojciecha Czuchnowskiego czy Agnieszki Kublik (nie śmiem nazwać ich dziennikarzami, tę profesję porzucili dawno), znanych nie z wiarygodnych informacji, ale z ostrej propagandy politycznej, którzy

są skrajnie jednostronni?

Najwyraźniej naprawdę nie zależy wam na tym, żeby ktoś wam uwierzył, skoro pozwalacie takim osobom pisać teksty na tematy, które ponoć są dla was ważne. Poszukalibyście jakiś mniej skompromitowanych autorów, może to by przemówiło do kogoś obiektywnego...

Jeśli ktoś odpowiada za upadek polskich mediów, jeśli ktoś zasługuje na to, żeby big tech za darmo przejmował ich materiały, to na pewno wy. Bo wasze teksty są propagandowym chlamek bez wartości, który internetowi giganci powinni przetrawić i wydalić. Bo tylko na to zasługują te teksty i ich autorzy.

Liberalno-lewicowe mechanizmy osłabiania Europy



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Polityczna rozgrywka zaserwowana Francji przez prezydenta Emmanuela Macrona przyniosła wynik zaskakujący dla wielu obserwujących scenę polityczną nad Sekwaną. Po pierwszej turze wyborów wygranych przez Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen wydawało się, że Paryż zmierza ku weryfikacji dotychczasowego kierunku polityki i czekają nas konserwatywne rządy, a Francja, podobnie jak kilka miesięcy temu Holandia, stanie się głosem sprzeciwu wobec dotychczasowego stracącego kursu wyznaczonego państwom członkowskim UE przez Niemcy.

Za sprawą sojuszu ugrupowania prezydenta Macrona m.in. z antyunijnymi i antynatowskimi trockistami pod wodzą Jeana-Luca Mélenchona to właśnie komuniści słusznie mogą uważać się za zwycięzców ostatnich wyborów we Francji.

Konglomerat partii lewicowych, w którego skład wchodzi ugrupowanie Mélenchona, nie uzyskał bezwzględnej większości, więc bardzo prawdopodobne, że przez najbliższy rok (francuska konstytucja zabrania przeprowadzenia wyborów wcześniej niż rok po ostatniej elekcji) Francja naprawdę będzie nieujarzmiona i Europę, strudzoną problemami nielegalnej migracji, tonącej gospodarki i wojną na Ukrainie, czeka dalsze osłabienie w postaci destabilizacji i postępującej lewackiej radykalizacji wewnętrznej jednego z jej najważniejszych graczy.

Jaki to będzie miało wpływ na kondycję NATO? Co się stanie, gdy wyborów w USA nie wygra Donald Trump, europejscy członkowie NATO nadal będą snuć wizję konstrukcji systemu bezpieczeństwa opartego o Niemcy, które opornie wspierają Ukrainę, a Chiny w ramach działań grupy Szanghajskiej Organizacji Współpracy dopną transport swoich towarów via południe z pominięciem terytorium Rosji, Ukrainy, a także Polski?

Wygrana lewicowych ugrupowań, w tym otwarcie antyizraelskich komunistów, to zapewne, poza skutecznym czarnym PR zastosowanym względem Le Pen, także efekt mobilizacji elektoratu mającego w swych szeregach uprawnionych do głosowania imigranckich obywateli Francji, wiernych swoim muzułmańskim środowiskom, nieasymlujących się, pragnących kształtować Republikę wedle swoich często ekstremistycznych wizji świata. Czyżby stopniowo miała się spełniać wizja, tak realistycznie opisana przez Michela Houellebecqa w powieści „Uległość” i to migranci stają się *vox populi*?

Przejmowanie władzy przez migrantów następuje już m.in. w szwedzkich lokalnych samorządach. Szwecja, kiedyś inspirujący przykład skandynawskiego państwa opiekuńczego, z dobrze prosperującą gospodarką zorientowaną na eksport, najwyższej klasy opieką zdrowotną i edukacją, o niskim wskaźniku przestępczości, dziś ma najwyższy w Europie wskaźnik zabójstw dokonywanych przez gangi, najniższą średnią wieku poważnych przestępców, a morderstwa coraz częściej popełniają dzieci. Prezes Banku Szwecji Erik Thedén powiedział „Financial Times”, że narastający problem strzelanin i zamachów bombowych jest tak poważny, że może zaszkodzić długoterminowemu wzrostowi gospodarczemu kraju. Szwedzcy socjaldemokraci opublikowali

raport, w którym uznali, że dwie dekady imigracji i nieudanej integracji doprowadziły Szwecję do kryzysu narodowego. Z populacji wynoszącej 10,61 mln ludzi w 2022 r. ogółem 2,14 mln było zarejestrowanych jako osoby urodzone za granicą, co stanowi ponad dwa razy więcej niż w 2000 r. Jeśli w tych obliczeniach uwzględni się osoby urodzone w Szwecji i mające dwoje rodziców urodzonych za granicą, to liczba obywateli nieposiadających szwedzkich korzeni wzrasta do 26 proc. Niewykluczone, że jeszcze w obecnym stuleciu w tym kraju ludność muzułmańska będzie stanowić większość.

Duża liczba muzułmańskich migrantów legitymujących się szwedzkim obywatelstwem może doprowadzić do sytuacji, w której już w 2026 r. do parlamentu dostanie się radykalna partia islamiistyczna Nyans. Warto zwrócić uwagę, że podobnie jak we Francji czy w Polsce w Szwecji ugrupowania konserwatywne są uznawane za rasistowskie i prorosyjskie, a debata publiczna jest silnie spolaryzowana, co powoduje, że obecnie w szwedzkich sondażach opinii publicznej znowu zwyciężają partie lewicowe i podobnie jak nad Wisłą strojące się w patriotyczne i konserwatywne hasła.



DANUSIU,

brak nam słów by nazwać ból po nagłym odejściu

Twojego syna Juliana.

*Tak niedawno na Jego weselu cieszyliśmy się z Wami
jego szczęściem i pięknym życiem przed nim.*

Tak trudno się z tym pogodzić.

Przesyłamy Ci wyrazy miłości i siły.

Jesteśmy z Tobą i najbliższymi.

Jacek i Joanna Kurscy

Walizka

Anny Marii Brzezińskiej

fotografki, fotoedytorki, kuratorki wystaw, członka Związku Polskich Artystów Fotografików, bylej szefowej działu fotograficznego „Rzeczpospolitej”, redaktor naczelnej i dyrektor redakcji fotograficznej PAP

Moja podróż zawodowa zaczęła się w 1980 r. W roku następnym współpracowałam z „Tygodnikiem Solidarność”, aż do grudnia. Podczas stanu wojennego znalazłam swoją niszę w pismach katolickich. Kiedy po okrągłym stole Tadeusz Mazowiecki znów stanął na czele tzw. Tysola, było dla mnie naturalne, by znaleźć się w jego zespole. Jednak kiedy Mazowiecki został premierem RP i mianował Dariusza Fikusa redaktorem naczelnym dziennika „Rzeczpospolita”, uległam jego namowom i zostałam kierowniczką działu fotograficznego tej gazety. Pracowałam tam kilkanaście lat, po których na kolejnych kilkanaście zostałam redaktorem naczelnym, dyrektorem redakcji fotograficznej PAP. Ważnym okresem zawodowym była dla mnie również kilkuletnia współpraca z Agence France Presse (AFP); moje zdjęcia ukazywały się na całym świecie, m.in. w „The New York Times”, „Chicago Tribune”, „Corriere della Sera”, „Die Welt”, „FAZ”, „La Stampa”, „Liberation”, „New York Herald Tribune”, „The Daily Telegraph”, „The Times”, a nawet w japońskiej „Asahi Shimbun”. Doświadczenie, które zdobyłam podczas współpracy z tą światową agencją prasową, zaowocowało zarówno w „Rzeczpospolitej”, jak i PAP.

PREZENT OD SYNA

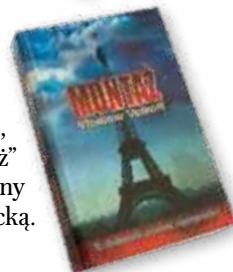
Aparat fotograficzny Kodak Junior Six-20 produkowany w latach 30. ub.w.

LUPKA

Do oglądania negatywów. Praca w gazecie codziennej charakteryzuje się nieustanną presją czasu. Zdjęcia wybiera się wprost z negatywów za pomocą specjalistycznej lupy.

„MONTAŻ” VLADIMIRA VOLKOFFA

Książka, która zaimponowała mi perfekcją ujawniania mechanizmów najbardziej wyrafinowanych działań Kremla na Zachodzie. Mało tego, sam plan jej wydania stał się celem operacji KGB, która na szczęście się nie powiodła. „Montaż” odniósł duży sukces i został nagrodzony najważniejszą francuską nagrodą literacką.





Jedyny taki album najbardziej znanych fotografów agencji Magnum Photos wydany w Polsce. Jestem autorką koncepcji i wyboru zdjęć. To zbiór prawie 100 zdjęć wykonanych w latach 1948–1981.

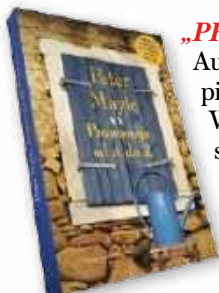
Palac prezydencki, 1995 r. Drugie wybory prezydenckie
Lecha Wałęsy. Bardzo ważne zdjęcie reporterskie

w mojej karierze – jako jedyna sfotografowałam Włosę w momencie, gdy dowiaduje się o swojej przegranej.



1992 r. Zdjęcie wykonane
w osadzie cygańskiej zlokalizowanej na
wysypisku śmieci pod Szczecinem.

Autorstwa Petera Mayle'a, angielskiego pisarza od 20 lat mieszkającego w Prowansji. W 170 hasłach opisuje on to, co wydało mu się najciekawsze i najzabawniejsze w tej części Francji. Mam nadzieję, że marzenie o zobaczeniu Prowansji się spełni, z pewnością zabiorę tam książkę Mayle'a.



Roland Barthes jest teoretykiem kultury, a studium nowej dziedziny sztuki dokonuje na podstawie zdjęć swojej zmarłej matki

Moje ulubione zdanie: „Fotografia może być spektaklem doskonałych iluzji, może też jednak być misterium spojrzenia twarzą w twarz nieprzejdanej Rzeczywistości”.



Zdjęcie wykonałam w 1991 r.
podczas spotkania papieża
z dziećmi z telewizyjnego
programu Ziarno.



Należał do mojej prababki, która była z
Florentyny. Wydany w 1900 r. i oprawiony w skórę
zawiera codzienne modlitwy po polsku.
Na pierwszej stronie znajduje się informacja
pisana cyrylicą o dopuszczeniu do druku
przez cenzurę zaborcy.



Święta Góra Grabarka, 1980 r.



Figurki, które przywiozłam z podróży służbowej do Meksyku w 1996 r. Od tego czasu podczas Bożego Narodzenia ta szopka u mnie stoi.



Figury pary reprezentują boginię ryżu Dewi Sri i jej małżonka Sadhono. W Indonezji są uważane za symbole płodności, zapewniają urodzaj, szczęście i pomyślność.

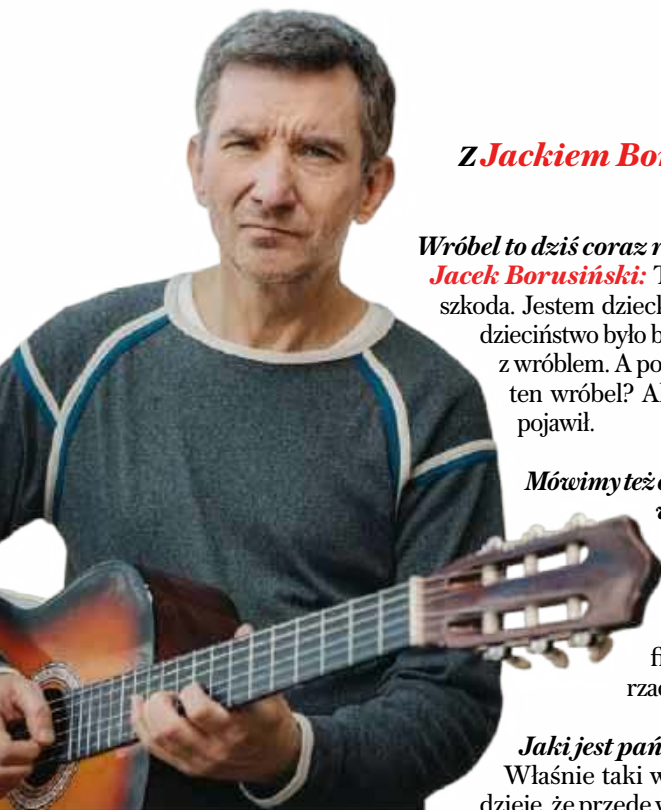


Czasy, w których przyszło mi pracować jako fotoreporterka, były niezwykle interesujące. Jako obserwatorka uczestniczyłam z aparatem fotograficznym w najważniejszych wydarzeniach w Polsce. Jeździłam po świecie. Najbardziej wstrząsającym dla mnie przeżyciem były wydarzenia 13 stycznia 1991 r. na

Litwie, gdy od kul i pod gaśnienicami sowieckich czołgów zginęło 14 osób, a kilkaset zostało rannych. Dużo zdjęć robiłam w Sejmie, gdzie działo się niemal tyle, co teraz.



Wystuchał i zapisał **Michał Korsun**



Gdzie ten Wróbel?

Z Jackiem Borusińskim, aktorem i autorem tekstów grupy Mumio, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wróbel to dziś coraz radszy ptak.

Jacek Borusiński: Tak słyszałem. I wielka szkoda. Jestem dzieckiem blokowym. Moje dzieciństwo było bardzo mocno związane z wróblem. A potem, faktycznie... gdzie ten wróbel? Ale podobno znowu się pojawił.

Mówimy też o tytułowym „Wróblu” w pańskim wykonaniu, który trafi na kinowe ekrany pod koniec sierpnia.

Mam nadzieję, że ten filmowy nie będzie taki rzadki i wielu go dostrzeże.

Jaki jest pański bohater?

Właśnie taki wróblowaty. Mam nadzieję, że przede wszystkim prawdziwy,

narysowany w światłocieniach, jeśli tak mogę powiedzieć. Bez strachu przed swoją szarością, słabością, delikatnością.

Życie Remka Wróbla wywiera się w pewnym momencie do góry nogami. Mamy słodko-gorzką historię z rysem Mumio?

Najbardziej lubię i cenię kino tragikomiczne, gdzie w sekundę potrafimy przejść z tonacji buffo w serio. To jest w tej produkcji. Myślę, że „Wróbel” to zdecydowanie bardziej realistyczna propozycja, jednak można dostrzec pewne cechy wspólne ze światem Mumio.

Będzie pan czekał z napięciem na moment, w którym film „pofrunie” do widzów?

Jestem spokojny o tyle, że widziałem wersję montażową. To świat i jakość, z którą się identyfikuję. Podpisuję się pod filmem Tomka Gąssowskiego obiema rękami. 

Fot. Jarosław Sochański

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

WEDŁUG MINISTRA KLIMATU PAULINY HENNIK-KŁOSKI OBOWIĄZKOWA TERMOMODERNIZACJA BUDYNKÓW TO TAKA „KURTECZKA DLA DOMU”. SKĄD LUDZIE MAJĄ WYSUFLAĆ 200-400 TYS. ZŁ NA TEN OSTATNI KRZYK EKOMODY JESZCZE NIE WIADOMO.



Historia kołem się toczy?

P przed nami kluczowe cztery lata, w czasie których Europa zawała się pod ciężarem wdrażanych w życie absurdów. Całe zło, które przy tej okazji spadnie na Polskę, obciąży Prawo i Sprawiedliwość. Dlaczego? Bo partia Jarosława Kaczyńskiego przegrała wybory parlamentarne! Gdyby jesienią ub.r. udało się skleić prowizoryczną prawniczą koalicję, wysłabymy z tego upadku obronną ręką.



Zablokowalibyśmy nasyłanie uchodźców. Utrzymalibyśmy stabilną walutę. Spowalnialibyśmy klimatyczną histerię na ile się da. I na potęgę dozbrajalibyśmy armię. A tak już za chwilę „ubogaci” nas V kolumna migracyjnych utrzymanków. Wejdziemy do strefy euro drenującej polskie finanse, rozbroimy swe wojsko, a Zielony Ład, ratując planetę, do cna zdemoluje naszą gospodarkę. I tak unijny Titanic pociągnie nas na samo dno.

Zawinił brak zdolności koalicyjnych PiS. Nie było pomysłu na patriotycznie-historyczną edukację młodego pokolenia. Szkolnictwo i popkulturowy rząd dusz młodzieży przejęli lewacy. A stare pokolenie wraz ze swoim doświadczeniem i zdroworozsądkowością wymiera.

Tak było przed rozbiorami: zdemoralizowana Rzeczpospolita, targana wewnętrznymi sporami, sukcesywnie rozbrajana, z władcami wybieranymi przez obce mocarstwa zrzekła się swej suwerenności, licząc na to, że jacyś obcy zapewnią nam bezpieczeństwo i będą lepiej zarządzać krajem. Nie będą!

II wojna światowa pokazała, jak bardzo zależy naszym sojusznikom na niepodległości Polski. Dziś Francuzi i Anglicy również nie zechcą (nie będą w stanie!) walczyć o nasze granice. Co najwyżej Niemcy, stając w obronie swych „ziem utraconych”, obejmą protektorem zachodnią część Polski. Nie zrealizują tego siłami militarnymi, raczej zawrą z Putinem odpowiednik traktatu Ribbentrop-Mołotow, wytyczając linię demarkacyjną np. na Wiśle. Tym samym pozbędą się problemem z tzw. patriotyczną Polską. A Rosja ma już historyczne doświadczenie w pacyfikacji opornych Polaków. Fikcja?

Lech Makowiecki

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIEL, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WÓŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECIprawdy.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, K. J. T. JASTRZEBOWSKI/REPORTER, P. MOLEK, K. P. WODZIŃSKI,
D. WOLSKA/STOCK NEWS, SHUTTERSTOCK, G.



Komisją śledczą ds. Pegasusu kieruje była policjantka Magdalena Sroka

Zemsta za miliony

Komisje śledcze miały być szybkim sądem kapturowym nad politykami opozycji. Okazały się potwornym niewypałem. Bezradni przeszukujący wiedzę zastępują chamstwem i pałąką. Ten marny polityczny teatr już kosztował nas wszystkich krocie. Nawet elektorat Koalicji Obywatelskiej, marzący każdego dnia o wiadrze świeżej pisorwskiej krwi, doszedł do wniosku, że jego pupile się kompromitują

Już w marcu z wewnętrznych, tajnych badań zleconych przez Platformę Obywatelską wynikał jeden wniosek: zamknijcie ten cyrk! W partii nie wywołało to żadnej refleksji. Wręcz przeciwnie – postanowiono docisnąć i w dwóch kolejnych kampaniach wyborczych mieliśmy do czynienia z festiwałem polowania na politycznych przeciwników.

Dziś znamy już kilka sondaży, które pokazują, że te komisje nie podobają się Polakom. Z ankiety United Surveys dla Wirtualnej Polski sprzed miesiąca wynika, że 56,1 proc. pytanym negatywnie ocenia pracę śledczych, a ledwie 25 proc. ma pozytywną opinię. Tylko wśród wyborców obozu rządzącego można znaleźć zwolenników mściwych spektakli – 62 proc. elektoratu koalicji jest zadowolonych z tych „śledztw”, ale aż 18 proc. badanych się one nie podobają, a 20 proc. nie ma w tej sprawie zdania.

PAN PŁACI, PANI PŁACI

Być może te wyniki byłyby jeszcze gorsze dla ekipy Donalda Tuska, gdyby wszyscy badani mieli świadomość, ile płacą za ten cyrk. Jak podała „Rzeczpospolita”, na działalność każdej

z komisji, płacimy – lekko licząc – co najmniej 200 tys. zł miesięcznie. Komisje są trzy, a działają już siedem miesięcy (komisja ds. Pegasusu sześć). A zatem do tej pory kosztowały budżet państwa ponad 4 mln zł.

Większość tych pieniędzy jest przeznaczana na pensje doradców komisji, w sumie to kilkadziesiąt osób.

Koszt pracy każdej z nich wynosi 18 tys. zł brutto miesięcznie.

Niemal jedną czwartą kosztów generują specjalne dodatki dla posłów zasiadających w prezydiach. Warto zapytać, dlaczego w komisji pegasusowej musi ono liczyć aż 5 z jej 11 członków? To grono miało być jeszcze szersze, bo sześciuosobowe, ale ostatecznie przedstawiciele koalicji nie zgodzili się, by wpuścić doń posła PiS Marcina Przydacza. Prezydium pozostało więc homogeniczne.

Dodajmy jeszcze, że każda z tych komisji została powołana wbrew dotychczasowym zwyczajom i doktrynie prawnej. Do tej pory zasadą było bowiem, iż Sejm uruchamiał swoje śledztwa w sprawach, którymi nie zajmowały się inne organy



MAREK PYZA



państwa (przede wszystkim prokuratura i policja) lub gdy one zawodziły – pracowały przewlekłe bądź efekty ich działań były niewspółmierne do powszechnych oczekiwań.

Tak było w sprawie afery Rywina, ORLEN, Amber Gold czy morderstwa Krzysztofa Olewnika.

W obecnej kadencji politycy nie dali prokuratorom nawet szansy wykazania się, a przecież postępowania prokuratorskie toczą się w każdej ze spraw badanych przez komisje. Rozpoczęły się jeszcze za poprzedniej władzy (z wyjątkiem postępowania dotyczącego zakupu i wykorzystywania systemu Pegasus – to wszczęto w marcu br.), lecz dziś pełną kontrolę nad nimi ma obecna większość parlamentarna, a konkretnie jej przedstawiciel na czele resortu sprawiedliwości – Adam Bodnar.

W uzasadnieniu do uchwały o powołaniu komisji ds. afery wizowej mamy wręcz do czynienia z kłamliwym passusem: „Sprawą miało zajmować się Centralne Biuro Antykorupcyjne oraz prokuratura, jednak brak jest efektów ich prac w postaci postawienia w stan oskarżenia sprawców oraz organizatorów przedmiotowego procederu”.

To nieprawda, bo CBA natomiast po pierwszych publikacjach na temat nieprawidłowości przy wydawaniu wiz (w lipcu 2022 r.) podjęło działania, a ich efektem było m.in. postawienie latem 2023 r. zarzutów siedmiu osobom.

KŁAMSTWO JAKO FUNDAMENT

Warto też pamiętać o stanowisku Trybunału Konstytucyjnego z 2006 r., który uznał: „Komisja śledcza nie może być tworzona dla zbadania jakiegokolwiek kwestii, lecz tylko takiej, która ma szczególne znaczenie dla państwa”. I tu musi paść pytanie: czy tzw. afera wizowa jest sprawą o szczególnym znaczeniu dla państwa? Można by się pokusić o odpowiedź twierdzącą, gdyby rzeczywiście dotyczyła setek tysięcy nielegalnie wydanych wiz, jak przekonywali politycy koalicji

13 grudnia w kampanii wyborczej. Jednak nawet oni krótko po wyborach przyznali, że było to kłamstwo i rzecz polega na ledwie kilkuset przypadkach.

Tego typu manipulacje legły u podstaw narracji, która miała przygotować opinię publiczną na pozostałe sejmowe śledztwa.

Komisje śledcze są trzy, działają już siedem miesięcy (komisja ds. Pegasusza sześć). Do tej pory kosztowały budżet państwa ponad 4 mln zł

W kwestii wyborów korespondencyjnych do dziś słyszymy, że „wyrzucono w błoto 70 mln zł”, za co chcą ścigać Morawieckiego, Kaczyńskiego, Sasina i kilku innych wysokich rangą polityków PiS. A przecież gdyby wiosną 2020 r. rząd nie wydał tych pieniędzy – podejmując przygotowania do przeprowadzenia wyborów prezydenckich w czasie pandemii – naraziłby się na zarzut złamania konstytucji.

Przez pół roku działalności komisji pod przewodnictwem Dariusza Jońskiego politykom obozu rządzącego nie wystarczyło odwagi, by wezwać przed swe oblicze tych przedstawicieli Platformy Obywatelskiej, którzy publicznie chwalili się stordowaniem wyborów.

Chodzi tu zwłaszcza o Małgorzatę Kidawę-Błońską, której kampania okazała się tak upokarzająco słaba, że partia zmusiła ją do rezygnacji i postawiła na Rafała Trzaskowskiego. Obecna marszałek Senatu tłumaczyła swoją decyzję z charakterystyczną swadą: „To jest taka sztafeta, my te wybory musimy wygrać. Będę bardzo dumna, jeżeli Rafał wygra, jeżeli będę mogła powiedzieć, że miałam w tym swój udział, że wywalałam wybory majowe i doprowadziłam do nowego otwarcia”.

Có więc mogli zrobić posłowie, by rzekome największe afery PiS nie zostały zamiecione pod dywan? Jeśli nie ufają prokuraturze pod wodzą Bodnara, mogli skorzystać z instrumentów, jakie daje im parlamentarny mandat. Istnieje wszak instytucja interpelacji do ministerstw, a przede wszystkim stale komisje sejmowe, które są forum służącym do kontrolowania działania np. prokuratury czy nadzoru ministra nad nią.

Nie to jednak było ich celem. Chodziło wyłącznie o publiczny spektakl. O wyposażenie się w wygodne narzędzie, jakim jest komisja śledcza – z uprawnieniami niemal prokuratorskimi, możliwością wzywania dowolnego świadka i grillowania go przez długie godziny.

Przy potężnej przewadze medialnej, jaką siłowo wyrąbała sobie koalicja 13 grudnia, teatrzyk wyżywania się na opozycji był łakomym kąskiem dla uśmiechniętych siepaczy. Każdy z nich chciałby zostać nowym Rokitą lub Ziobrą, którzy jako polityczne gwiazdy rozbłyśli w czasie prac komisji Rywina.

Lecz to marzenia żaby, która chce zostać koniem. Dlatego igrzyska zamieniły się w festiwal chamstwa, niekompetencji i siłowego łamania praw opozycji. Jego końcówka może być jeszcze bardziej niestrawna.

ZMIANY NA (JESZCZE) GORSZE

Po emigracji Dariusza Jońskiego do Parlamentu Europejskiego szefową komisji ds. wyborów korespondencyjnych została Magdalena Filiks. Tyle dobrego, że kierowane przez nią ciało zakończyło już przesłuchania, więc pani poseł nie będzie mogła wyładowywać się na świadkach. Wcześniej dała się poznać jako mistrzyni obcesowego przerywania zeznań.

Gdy Paweł Kukiz tracił nerwy przy jej docinkach zaburzających niemal każdą jego wypowiedź, rzucił: „Jezus, Maria, przecież ja nie mogę z tą panią [...]”, na co Filiks z satysfakcją dopowiedziała: „Jezus Maria panu nie pomoże – ani Jezus, ani Maria”.

Tego samego dnia najpierw wielokrotnie nie dała dokończyć wypowiedzi Jarosławowi Sachajce, by wreszcie wypalić: „Szczere mówiąc, nawet nie można by tego nazwać pieszczotliwie, że pan pająkuje. Pan jest po prostu niewyobrażalnie bezczelny”. Psychologowie mają na takie zachowanie jedno słowo: projekcja.

Do posła Mariusza Krystiana zwróciła się zaś na jednym z posiedzeń niezbyt wyszukany: „Zamknij się, chamie”.

Tak się kończy wynoszenie na eksponowane stanowiska ludzi rozsmakowanych w rynsztokowej poetyce debaty publicznej. Poseł Filiks i jej działalność uliczna jest tu przykładem modelowym.

Już w marcu „Gazeta Wyborcza” piórem Agnieszki Kublik konkludowała w tekście o komisjach: „Za dużo w tym szarpaniny, złośliwości, uszczypliwości, pretensji, oskarżeń. I tak, niestety, ordynarnego chamstwa. Śledczy i świadkowie prześcigają się, kto będzie bardziej żenujący. Chamstwo nie wymaga żadnych umiejętności, więc każdy może w to grać”. Napisane to tak, jakby obie strony miały

tu coś za uszami. Ale jeśli „GW” na siłę szuka równowagi, wiedz czytelniku, że nawet przy Czerskiej dostrzegli, iż politycy koalicji 13 grudnia posuwają się zdecydowanie za daleko. Zwłaszcza że dalej Kublik pytała: „Dziś śledzenie obrad zwyczajnie boli. Nieudolność posłów w zadawaniu celnych pytań poraża. W większości wygłaszają niezborne komentarze, ciągle oceniają świadków, wręcz ich upokarzają. Nikt nikomu nie pozwala dokończyć myśli. Czemu ma to służyć?”.

W tym samym czasie „Newsweek” przestrzegał: „Komisyjnym rozliczeniom z PiS grozi kompromitacja”. Zarzucał śledczym koalicji „brak podstawowego przeszkolenia”, przesłuchania nazywał „kłótniami przekupiek na targu” i alarmował, że „wyborcom kończy się cierpliwość”.

Kilka dni później ten sam „Newsweek” w tekście zatytułowanym „Komisja śledcza oblewa egzamin. Krąży nad nią widmo klęski” pisze: „Badająca aferę Pegasusa komisja śledcza zaliczyła drugą z rzędu porażkę w starciu z przedstawicielem rządu PiS. A przecież to właśnie ona miała być jednym z najważniejszych narzędzi obnażania bezprawnych działań poprzedniej władzy. Jeśli tak dalej pójdzie, może stać się symbolem bezradności nowej”.

Publikacje wspomnianego tygodnika to konsekwencja dwóch posiedzeń komisji pegasusowej, na których zeznawali Jarosław Kaczyński i Michał Woś.

Kibicujący zamordystycznej władzy dziennikarze tłumaczyli klęski sejmowych śledczych obstrukcją ze strony służb specjalnych. Miały one nie przekazywać materiałów, o które wnosili posłowie. Jak to jednak możliwe, by podobno kluczowe rozliczenia poprzedników były sabotowane przez specsłużby znajdujące się w rękach tej samej opętanej żądzą zemsty władzy, która rozkręciła sejmowe śledztwa?

A może w służbach stwierdzono, że parlamentarzyści z komisji nie dają gwarancji należytego obchodzenia się z materiałami i z ich przekazania będzie więcej szkód niż pożytku? Jest jeszcze jedno wytłumaczenie – dokumentów będących gwoździem do politycznych trumien pisowców po prostu nie ma. Jak mają być, skoro sam sędzia Igor Tuleya przyznał, że podpisywał wnioski o kontrolę operacyjną Pegasusem?

NALEŚNIKI, BOTOKS, ZĘBY

Pierwsza godzina przesłuchania prezesa PiS zamieniła się w jałową dyskusję pomiędzy nim a Magdaleną Sroką o... przysięgę. Były premier wielokrotnie powtarzał, że nie może przyrzec, iż powie „wszystko, co jest mu wiadome”, bo wiąże go tajemnica służbowa i jeśli tylko komisja wystąpi do premiera o jej uchylenie, odpowie na każde pytanie. W efekcie szef

Nawet przy Czerskiej dostrzegli, iż: „Dziś śledzenie obrad [komisji śledczych] zwyczajnie boli. Nieudolność posłów w zadawaniu celnych pytań poraża. W większości wygłaszają niezborne komentarze, ciągle oceniają świadków, wręcz ich upokarzają”

Prawa i Sprawiedliwości złożył niepełną przysięgę, następnie zeznawał kilka godzin, wyczerpująco odpowiadając na te pytania, na które mógł przed kamerami, później nastąpiła dogrywka na posiedzeniu niejawnym, a przewodnicząca i tak wystąpiła do sądu o ukaranie świadka 3 tys. zł grzywny. I choć 11 lipca sąd przychylił się do tego wniosku (co jest absurdem samym w sobie), nie zatrze to już złego wrażenia, jakie pozo-

Jak traktować poważnie raporty końcowe komisji, skoro np. poseł Szczerba 6 maja ogłosił, że sprawozdanie jego komisji już się pisze – zanim przesłuchano świadków i zapoznano się z dokumentami?

stawiała po sobie pani przewodnicząca.

Nawet wśród gorących zwolenników koalicji w mediach społecznościowych dominowały opinie, że były premier „zaoral” bezradną komisję. Na długo pozostaną nam w pamięci jego wymiany „uprzejmości” z Witoldem Zembaczyńskim, tytułowanie się „proszę świadka” vs. „proszę członka” czy wtręty rozbawionego prezesa o naleśnikach.

Innym ważnym pisowskim świadkiem, którego sejmowi śledczy chcieli upolować, był Daniel Obajtek. Były prezes ORLEN unikał jednak stawienia się na przesłuchanie, które miało się odbyć w ostatnich dniach eurokampanii. Nie chciał dawać Michałowi Szczerbie możliwości organizowania przedwyborczej hucpy na posiedzeniu komisji. Zapowiadał, że stawi się po wyborach.

Doszło więc do kuriozalnego serialu, w ramach którego ani poseł Szczerba, ani wykonująca jego polecenia policja przez wiele dni nie były w stanie ustalić miejsca pobytu Obajtka i skutecznie wręczyć mu wezwania, choć ten w tym samym czasie prowadził kampanię na Podkarpaciu, wielokrotnie publicznie pokazywał się z wyborcami i udzielał licznych wywiadów.

Gdy w ub. tygodniu pojawił się przed komisją, był już europoseł, podobnie jak Michał Szczerba, którego wygrane wybory uchroniły przed blamażem na oczach całej Polski. Wziął więc to na siebie Marek Sowa, nowy szef komisji ds. wiz.

Świetnie przygotowany Obajtek dziwił się, że posłowie nie dysponują żadnymi dokumentami, a opierają się wyłącznie na przekazach medialnych i udzielił parlamentarzystom wyczerpującego wykładu o funkcjonowaniu paliwowego giganta, sposobie załatwiania wielomiliardowych interesów z zagranicznymi kontrahentami czy obszarach odpowiedzialności poszczególnych instytucji państwowych. Posłowie koalicji przez kilkadziesiąt minut próbowali przekonać

opinię publiczną, że za warunki zakwaterowania azjatyckich pracowników przy powstającej w Płocku inwestycji Olefin III odpowiada ORLEN. Chwilami sugerowali, że to sam Obajtek kazał umieścić robotników w kontenerach i zorganizował im warunki niczym w obozie pracy – jak stwierdziła jedna z posłanek koalicji.

Były szef koncernu do znudzenia powtarzał, że za miasteczko dla pracowników odpowiadał kontrahent wykonujący inwestycję, czyli Hyundai, a organem mającym kompetencje, by sprawdzić, w jakich warunkach są zakwaterowani przybysze jest Państwowa Inspekcja Pracy, nie zaś ORLEN.

Czy na koalicyjnych śledczych spłynęła jakaś refleksja? Nie za bardzo. Najlepiej pokazała to runda pytań zadawanych przez Aleksandrę Leo z Polski 2050. Ta była pracownica śniadaniówki TVN postanowiła świadka po prostu obrazić: „Dziwi mnie, że pan chojraczy sobie w mediach społecznościowych, błaznuje na komisji... Może pan dowolnie sobie szczerzyć te swoje słynne sztuczne zęby [...]”. Obajtek wpisał się więc w konwencję: „A pani swój botoks”. Parlamentarzystka brnęła: „To pan miał botoks za publiczne pieniądze. Ja na pana miejscu przeklinałabym dzień, w którym pan opuścił Pcm”.

Chyba jednak pcimianie mają więcej powodów do dumy z Obajtka (który chwytający się po rządach PO ORLEN podźwignął do pozycji międzynarodowego silnego gracza) niż warszawiacy z Leo.

REKLAMA



Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolicę"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

16/0524/F

Magdalena Filiks, nowa szefowa komisji ds. wyborów korespondencyjnych, już wcześniej dała się poznać jako mistrzyni obcesowego przerywania zeznań. Do posła Mariusza Krystiana zwróciła się na jednym z posiedzeń niezbyt wyszukany: „Zamknij się, chamie”



I jeszcze jedna scena z tego posiedzenia. Piotr Kaleta z PiS pyta świadka, czy inwestycja ORLEN w olefiny mogła zagrażać niemieckim interesom. „Oczywiście, że tak” – odpowiedział przesłuchiwany. W tym czasie interweniował już przewodniczący Marek Sowa: „Uchylam to pytanie”. „Na to czekaliśmy – czyli dałeś się podejść, Marek” – podsumował Kaleta. Szach i mat.

WYKLUCZANI

Majowe przesłuchanie Macieja Wąsika przez komisję wzywają też zamieniło się w chaos, a świadek po zakończeniu zeznań konkludował: „Pierwszy raz spotykam się z takim przesłuchaniem, że przesłuchujący mówi zdecydowanie więcej niż osoba przesłuchiwana”. Styl prowadzenia przesłuchania przez Michała Szczerbę określił jako „prymitywny i pałkarski”: „Kiedy moja odpowiedź szła nie w tym kierunku, w którym on chciał, to przerywał w brutalny sposób”.

To akurat stały element niemal każdego przesłuchania, niezależnie od komisji. Dodatkowo posłowie opozycji mają na swoje pytania dużo mniej czasu od tych z koalicji (choć przecież w każdej z komisji jest ich i tak mniej), ich pytania masowo są uchylane, regularnie jest im wyłączany mikrofon, zwłaszcza gdy wskazują na łamanie regulaminu przez przewodniczących. Trudno też już zliczyć bezceremonialne wykluczanie z posiedzeń przedstawicieli PiS.

Na szczęście dwa z sejmowych śledztw już się kończą. To w sprawie Pegasusa ma niestety trwać jeszcze rok (czyli wydamy na nie kolejne kilka milionów złotych). Co znajdziemy w raportach? To jest akurat jasne od momentu, gdy powstawały komisje. Tezy są dawno ustalone, wyartykułowane, teraz mają być tylko ujęte w formę pozornie ważnego dokumentu.

Ale jak traktować poważnie te raporty, skoro np. poseł Szczerba 6 maja ogłosił, że sprawozdanie jego komisji już się pisze – zanim przesłuchano świadków i zapoznano się z dokumentami?

Komisje zapowiadają też liczne zawiadomienia do prokuratury na wierzchuszkę obozu odsuniętego od władzy. Tyle że takie ruchy mają służyć jedynie pozorowaniu przydatności sejmowych śledztw. Przecież prokuratorzy samodzielnie badają te sprawy i bez oglądania się na sejmowych cyrkowców będą podejmować decyzje, którym urzędnikom stawiać zarzuty. W niektórych przypadkach już to zresztą zrobili.

Pisma z Sejmu nie będą więc miały żadnego wpływu na przebieg tych postępowań.

Najgorsze, że Tuskowych mścicieli nic nie jest w stanie otrzeźwić. Z lubością wyznaczają nowe granice niskich standardów sejmowych postępowań śledczych, kompromitując samych siebie, szkodząc w ten sposób sprawie, która jest ich jedynym spoiwem – anihilacji PiS.

Ale nie zamierzają schodzić z raz obranej drogi. Dlatego Magdalena Sroka ponawia wezwania przed komisję Zbigniewa Ziobry, nie zważając na zwolnienia lekarskie i ciężki stan zdrowia byłego ministra, o czym powszechnie wiadomo. Lider Suwerennej Polski leczy się z choroby nowotworowej, walczy o życie, a rokowania lekarzy nie są najlepsze. Sroka z Zembaczyńskim przebiegają nogami, by go wziąć w krzyżowy ogień pytań nawet w szpitalu.

Dla tej ekipy nie istnieją jakiegokolwiek zasady, świętości. Nie zna ona pojęcia skrupułów, nie ma nawet sensownych kadr, które bez wstydu można by wystawić na publiczne pojedynki. Zafundowano nam rządy ludzi o mentalności kompradorsko-dresiarzkiej.

Taka jest uśmiechnięta Polska Tuska, która kiedyś doczeka się rozliczenia.

Idą cięcia

Pienędzy nie ma, bo Tusk nie zamierza ich szukać. Zatrzymuje dochodowe inwestycje i wszystko tnie. Być może nie potrafi inaczej, być może ktoś go przymusza, a może po prostu mści się na tych, którzy kiedyś oddali władzę Zjednoczonej Prawicy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy jesienią ub.r. Donald Tusk ogłaszał swoje „100 konkretów”, nie wszyscy mu uwierzyli. Przy najmniej dwie grupy wyborców wiedziały bowiem od samego początku, że polityk nigdy nie zrealizuje swoich obietnic. Pierwszą z nich – co zrozumiałe – byli wyborcy PiS. Drugą zaś stanowili najbardziej zagorzali fanatycy Tuska, którzy otwarcie twierdzili, że władzę można zdobyć jedynie za pomocą kłamstwa.

Pomiędzy tymi dwiema grupami znalazła się cała masa ogłupionych propagandą naiwniaków, niepomnych doświadczeń z przeszłości i gotowych brać słowa Tuska w dobrą wiarę. Udało im się bowiem wmówić, że wymiana PiS na Platformę nie tylko niczego nie zmieni w ich życiu, lecz także iż będzie im się żyło lepiej i bezpieczniej niż dotąd. Bo przecież Tusk to sprawny polityk z szerokimi kontaktami w Europie.

Dziś, po kilku miesiącach urzędowania nowej ekipy, naiwniacy zaczynają powoli przeglądać na oczy. Ich życie wcale się nie poprawiło, pieniędzy w portfelu jest coraz mniej i nic nie wskazuje na to, że w nadchodzącym czasie cokolwiek zmieni się na lepsze. Pojawia się frustracja i apatia.

Tymczasem Tusk jest na swój sposób konsekwentny. Od samego początku obie-

cywał przecież „demontaż państwa PiS”. I tylko tę jego obietnicę należało traktować poważnie, cała reszta to przecież didaskalia – „metafory” i „przenośnie”, które miały mu utorować drogę do władzy. Sekciarze spod znaku ośmiu gwiazdek doskonale rozumieli tę grę.

Przy czym „demontaż państwa PiS” należy rozumieć szeroko. Nie tylko jako represję i hucpę „rozliczeń” z byłą ekipą, lecz także jako przywracanie dawnego porządku – odwrócenie transferów finansowych, cięcia w programach społecznych i rozwojowych, tak aby „roszczeniowa horda” powróciła wreszcie do szeregu, najlepiej gdzieś daleko, na zapomnianej przez wszystkich zatęchłej prowincji. Według tej wizji Polska ma być wygodnym miejscem do życia jedynie dla wąskiej bogatej elity. To tam mają pójść największe strumienie finansowe. Pozostali powinni zadowolić się tym, co spadnie (o ile w ogóle spadnie) z pańskiego stołu. „Piniendzy” przecież – jak to mawiał Jan Vincent Rostowski – „ni ma i nie będzie”.

TEMPEROWANIE CHAMA

Demontaż państwa PiS doskonale widać na przykładzie programów rozwojowych, takich jak CPK. Lotniska prawdopodobnie nie będzie, a jeśli nawet, to powstanie

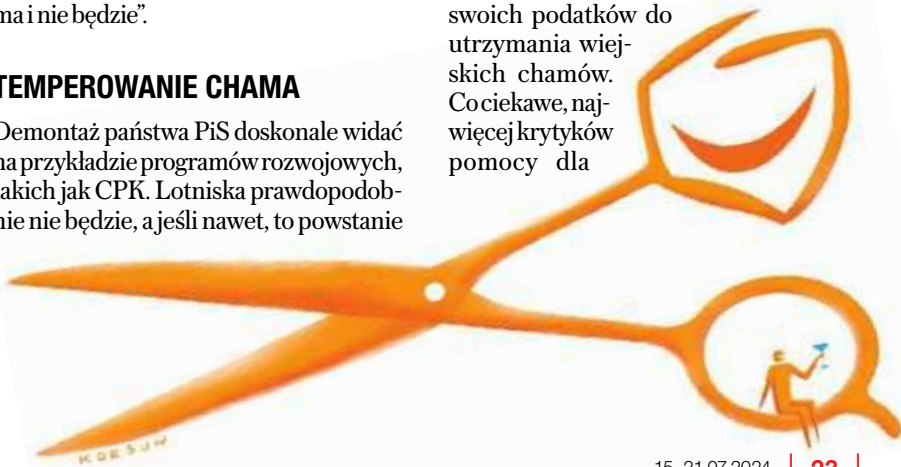
w bardzo okrojonej skali. Z linii kolejowych, które miały wreszcie połączyć i zintegrować ze sobą całą Polskę, pozostały tylko te łączące największe miasta.

To oznacza, że nowoczesne koleje będą budowane tylko dla bogatej klienteli z największych ośrodków. Kto to bowiem słyszał, aby cham ze wsi podróżował wygodnym pociągiem do miasta albo – co już zupełnie niewyobrażalne – na lotnisko i stamtąd leciał samolotem na zagraniczne wojaże?

Do pewnej części uwiedzionych wyborców obecnej koalicji już dotarło, że tymi „chamami” są właśnie oni. Zapewne wkrótce otrzeźwieją kolejni. Zwłaszcza gdy wysokie ceny energii wydręnią im kieszenie. Wtedy rzeczywiście dalsza podróż, nie mówiąc już o lataniu samolotem za granicę, dla wielu zwykłych ludzi stanie się nieosiągalna.

Sztandarowym programem PiS i zarazem wielkim sukcesem tej partii była Rodzina 500+. Nic więc dziwnego, że program ten od początku kłuił w oczy wyznawców Tuska. Wiadra pomyj, jakie wylano na 500+, można chyba liczyć w hektolitrach. Dzięki temu udało się ostatecznie doprowadzić do tego, że – zwłaszcza w wielkich miastach – ludzie wprawdzie pobierali pieniądze (bo ktoś by nie brał), ale robili to bez entuzjazmu. Coś jak Krystyna Janda biorąca dotacje od ministra Glińskiego na swój teatr.

Mówiło się, że program pomnaża „patologię”, która zamiast pójść od pracy, rodzi kolejne bachory i wydaje pieniądze na wódkę, że wåsaci Janusze okupują bałtyckie plaże, zakłócając spokój spracowanym elitom, np. Agacie Młynarskiej trenującej jogę. Najbardziej zdegrustowani byli wielkomiejscy, bezzdietni single obojga płci – że muszą dopłacać ze swoich podatków do utrzymania większych chamów. Ciekawe, na więcej krytyków pomocy dla



najbiedniejszych było – jak wskazywały wyniki badań – wśród wyborców tak rzekomo wrażliwej społecznie lewicy.

Jednak z programem 500+, przemianowanym potem na 800+, jest trochę jak z CPK. Nie da się go tak po prostu zlikwidować z dnia na dzień. Zbyt wielu ludzi przyzwyczaiło się bowiem do stałych wpłat na ich konto. Każde obcięcie dochodów, choćby niewielkich, sprawia wrażenie regresu, cofania się w rozwoju, a Polacy w latach rządów PiS przywykli już do perspektywy lepszego życia. Jej zachwianie, nawet jeśli nie w pełni uzasadnione, było zapewne jedną z przyczyn utraty władzy przez Zjednoczoną Prawicę (ZP) w 2023 r.

Dlatego obecna ekipa, nauczona już doświadczeniem CPK, dość ostrożnie zaczęła grzebanie przy 800+. W tej chwili mówi się o ograniczeniu wypłat dla dzieci ukraińskich, które nie korzystają z polskiego systemu edukacyjnego, co zostało przyjęte przez ogół społeczeństwa z aprobatą. Nie ma jednak wątpliwości, że na tym się nie skończy.

Oswajanie Polaków z obcinaniem 800+ wziął na siebie Ryszard Petru, wsparty przez Trzecią Drogę. Proponuje on wprowadzenie kryterium dochodowego albo ograniczenie wypłat wyłącznie dla pracujących rodziców. Obie propozycje wydają się sprzeczne ze sobą, bo w pierwszej wersji świadczenie miałoby zostać ograniczone do najbiedniejszych, a w drugiej dla osób pracujących, a więc posiadających środki do życia.

Jak więc widać, nie chodzi tu o rzekomą racjonalizację wydatków, lecz po prostu o stopniowe wygaszanie programu, co zdaniem wielu komentatorów nastąpi najpóźniej po wyborach prezydenckich w przyszłym roku, gdy, po spodziewanym zwycięstwie kandydata PO, nie będzie już trzeba przejmować się pomrukami opinii publicznej. Podobny los ma spotkać 13. i 14. emeryturę. Demontaż państwa PiS będzie więc szczególnie bolesny dla najuboższych.

KWESTIA ŻYCIA I ŚMIERCI

Polityka społeczna Platformy wspierana przez Lewicę i Trzecią Drogę polega – i zawsze polegała – na dojeniu zwykłych ludzi. To rodzaj politycznego chuligaństwa, które polega na biciu słabszego. I choć

tego rodzaju strategia jest wspólną cechą całej liberalnej oligarchii na Zachodzie, przecież niewiele się to różni od obyczajów azjatycko-moskiewskich, gdzie o pozycji społecznej decyduje kasa i mięśnie. Jedyna różnica polega na tym, że u nas operuje się lancetem, a u nich siekierą.

Weźmy choćby służbę zdrowia. To rodzaj usług publicznych wymagających od polityków szczególnej empatii, tu bowiem jak w soczewce skupia się ich stosunek do najsłabszych i najbardziej potrzebujących. Jakość służby zdrowia jest świetnym miernikiem społeczeństwa, pokazującym, czy jest ono cywilizowane, czy też dzięki i barbarzyństwu byłoby pozostawiać go na pastwę losu.

Kondycja polskiej służby zdrowia jest powszechnie znana i nie trzeba jej tu opisywać. Jasne, że wymaga ona znacznych nakładów finansowych zarówno z powodu niedoinwestowania, jak i ze względu na starzenie się społeczeństwa. Każdy z nas wraz z wiekiem i bez względu na dochody wymaga coraz większej opieki medycznej i barbarzyństwem byłoby pozostawiać go na pastwę losu.

Oczywiste więc jest, że jednym z podstawowych zadań rządu powinno być zapewnienie dostępu obywateli do jak najszerszych usług medycznych. Tymczasem w Polsce rządzonej przez Tuska resort

Efekty tej polityki już są widoczne. Zamiast inwestycji w publiczną służbę zdrowia czeka nas prawdopodobnie jej zapaść i prywatyzacja. „Nie lubię słowa »likwidacja«, ale mamy taką propozycję dobrowolnej reorganizacji szpitali i będę o tym rozmawiała ze starostami, z marszałkami i dyrektorami szpitali” – powiedziała na początku lipca minister Leszczyna w radiowej Trójce.

Słowo „reorganizacja” też nie wygląda dobrze i bardzo przypomina niesławną „komercjalizację” z czasów pierwszych rządów PO-PSL, gdy Tusk postanowił „oddłużyć” szpitale, przekształcając je w spółki i przekazując samorządom, co musiało oznaczać faktyczną likwidację wielu placówek. Dzisiaj następuje powrót do tamtej koncepcji, która niezależnie od nazwy i szczegółów również będzie prowadzić do ograniczenia dostępu do opieki medycznej, zwłaszcza dla najuboższych i mieszkających na prowincji.

Platforma tak jak kilkanaście lat temu tłumaczy swoje pomysły trudną sytuacją finansową państwa. Pojawiają się głosy, że NFZ jest na skraju bankructwa, a według niektórych wycieńczenie luki w budżecie funduszu może wynieść w najbliższych trzech latach ponad



zdrowia po-wierzone Izabeli Leszczynie, która, mówiąc delikatnie, nie wyróżnia się szczególną przenikliwością. To nam mówi, w jak głębokim poważaniu ma Tusk opiekę zdrowotną Polaków.

100 mld zł. Różnica między Platformą a PiS jest taka, że o ile Prawo i Sprawiedliwość zrobiłoby wszystko, aby ratować służbę zdrowia, o tyle PO proponuje „reorganizację” szpitali, a jej koalicjanci – obcięcie składki zdrowotnej. Gdyby bowiem przyjąć propozycje w tej sprawie zgłaszane przez Ryszarda Petru i Trzecią Drogę, to deficyt w publicznej służbie zdrowia mógłby wzrosnąć o dodatkowe 63 mld zł.

Można to oczywiście tłumaczyć niefrasobliwym stosunkiem Ryszarda Petru do otaczającej go rzeczywistości lub jego niekonwencjonalnymi umiejętnościami rachowania, ale rzecz jest o wiele poważniejsza. Otóż czołowi politycy obecnej koalicji najwyraźniej gotowi są zgodzić się na to, aby duża część społeczeństwa została faktycznie pozbawiona dostępu do opieki medycznej. To już nie tylko kwestia ubóstwa, wysokich cen, cięć w programach socjalnych lub emeryturach – to sprawa życia i śmierci.

Jeżeli zapaść w publicznej służbie zdrowia nie zostanie powstrzymana – a pod obecnymi rządami

to mało prawdopodobne – to za kilka lat przetrwa ona jedynie w szpitalowej formie, i to jedynie w największych miastach. Wiele zresztą wskazuje na to, że zamieszczenie wokół budżetu NFZ jest przyzwyczajeniem do prywatyzacji opieki medycznej. Wtedy na lekarza będzie stać tylko najbogatszych, bo leczenie poważnych, przewlekłych chorób pozostaje poza zasięgiem finan-

Demontaż państwa PiS jest w istocie demontażem państwa zmierzającego do dobrobytu i bezpieczeństwa. Pod rządami Tuska czeka nas kurs przeciwny, w stronę ubóstwa i niestabilności

sowym przytłaczającej większości Polaków. Jednak mało kto zdaje sobie z tego sprawę, szczególnie młodzi i w pełni sił, którzy najchętniej zrezygnowaliby z opłacania składki zdrowotnej. Ich najłatwiej ogłupić banialukami o prywatnych szpitalach.

W tych polityczno-finansowych kalkulacjach człowiek, zwłaszcza starszy, chory lub mniej zamożny w ogóle się nie liczy. Pod obecną władzą stajemy się, jak widać, dzikim i bezdusznym społeczeństwem.

DEMONTAŻ PAŃSTWA PIS

Fundamentalne pytanie, jakie powinniśmy sobie postawić, brzmi następująco: czy obecna koalicja naprawdę – jak twierdzi – nie ma pieniędzy, czy po prostu skąpi ich Polakom?

Nauka z nie tak dawnej przeszłości wskazywałaby, że mamy raczej do czynienia ze skąpstwem lub nieudolnością. Przecież w 2014 r. „pieniędzy” też nie było, ale jednak znalazły się – i to zaledwie rok później, gdy PiS przejął władzę. Dzisiaj może być podobnie, zwłaszcza że jeszcze w marcu – według zapewnień mi-

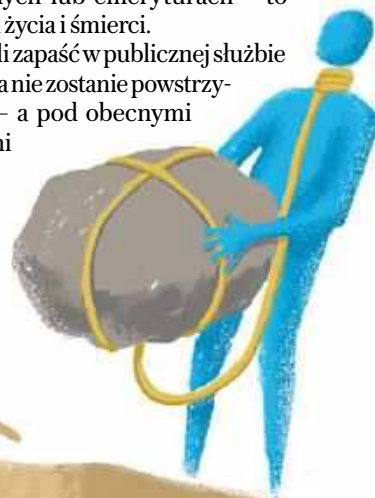
nistra finansów Andrzeja Domańskiego – sytuacja budżetowa kraju miała być dobra. Jednak minęły zaledwie trzy miesiące i nagle mamy do czynienia z katastrofą.

Co się więc stało z naszymi pieniędzmi? Pieniądze nie znikają tak niespodziewanie, a jeśli już, to tylko w czyichś kieszeniach. Pewną podpowiedzią może być szybko rosnąca luka VAT, ale ona nie wyjaśnia wszystkiego. Miesiąc temu Komisja Europejska uruchomiła przeciwko Polsce procedurę nadmiernego deficytu. Okazało się bowiem, że mamy za wysoki dług publiczny. Nie jest on niczym nadzwyczajnym, co więcej, jest konieczny, aby utrzymać poziom życia Polaków na stałym lub rosnącym poziomie. Gdy będziemy bogatsi, to go spłacimy.

Jednak Unia ma inny plan i domaga się od nas natychmiastowych cięć. Dla przeciętnego Polaka oznacza to, że będzie mu się żyło gorzej. Może być też tak, że popadniemy w długotrwałe ubóstwo. Procedura nadmiernego deficytu jest więc narzędziem politycznym, które najpierw dusi państwo, a potem zmusza je do uległości. Rząd Tuska podporządkowuje się temu, tnie co popadnie, nie tylko pakując w ten sposób Polaków w tarapaty finansowe, lecz także odbierając zarazem całemu państwu perspektywę wyjścia na prostą w przyszłości.

Demontaż państwa PiS jest więc w istocie demontażem państwa zmierzającego do dobrobytu i bezpieczeństwa. Pod rządami Tuska czeka nas kurs przeciwny, w stronę ubóstwa i niestabilności. Dotknie to przede wszystkim polską prowincję, gdzie już dziś masowo znikają miejsca pracy, a wkrótce może dojść do tego likwidacja szpitali, szkół oraz transportu. Gdy dorzucimy jeszcze wysokie ceny energii i obłąkane przepisy związane z Zielonym Łądem, to zarysuje się przed nami wizja gwałtownego regresu cywilizacyjnego Polski.

Wracając więc do pytania, czy pieniędzy naprawdę nie ma, odpowiedź wydaje się jasna. Pieniądzy nie ma, bo Tusk nie zamierza ich szukać. Zatrzymuje dochodowe inwestycje i wszystko tnie. Może nie potrafi inaczej, może ktoś go przymusza, a może po prostu mści się na tych, którzy kiedyś oddali władzę ZP. Każda z tych odpowiedzi, jak i wszystkie razem są równie prawdopodobne.



KORSUN

Wykidajło Giertycha

Wśród polityków całkiem powszechne jest przekonanie, że minister Adam Bodnar stał się chłopcem na posyłki i wykonawcą poleceń Romana Giertycha

Adam Bodnar został ograny przez Donalda Tuska i Romana Giertycha jak dziecko. A potem uznał, że sam tego chciał. Dlaczego? Bo Tusk potrzebował profesora prawa, byłego rzecznika praw obywatelskich jako idealnej przykrywkę do robienia czystek w sądach, prokuraturach i administracji jednostek wymiaru sprawiedliwości. Jednocześnie Bodnarowi zainstalowano kogoś, kto narzuca mu zadania, mobilizuje, radykalizuje i kontroluje. Czyli mamy powtórkę z czasów PRL z sekretarzem PZPR w roli głównej. W niej obsadzono teraz Romana Giertycha.

Obecny premier nie chciał zrobić ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym samego Giertycha, bo byłoby to politycznie kosztowne. Ale praktyka wygląda tak, jakby to on wyznaczał cele, które potem realizuje Bodnar. W dodatku minister sprawiedliwości daje się szantażować, że jeśli nie będzie radykalny i skuteczny, to zostanie zastąpiony przez kogoś innego. To oczywiście mało prawdopodobne, bo potwierdzałoby porażkę i premiera, i jego ministra, ale Adam Bodnar jest na tyle niedoświadczony w polityce, że kupuje podsuwane mu plotki i przecieki, których celem jest tylko urabianie i ugniatanie ministra sprawiedliwości na potrzeby obecnego, rewolucyjnego etapu sprawowania władzy (czystki, zemsta, odwet, nieliczenie się z prawnymi, w tym konstytucyjnymi ograniczeniami).



STANISŁAW JANECKI

W ten sposób dość łagodny i mało bojowy profesor prawa stał się swego rodzaju terminatorem. I całkiem łatwo daje sobą manipulować, co w polityce jest właściwie regułą, bo gdy ktoś niezaprawiony w knuciu, wewnętrznych wojenkach i podstępnych działaniach ma w ręku konkretne narzędzia wykonawcze, prędzej niż później ulega poczuciu siły, woli mocy i sam sobie imponuje tą daną mu sprawczością.

Przypadek Adama Bodnara jest klasycznym przykładem zamienienia profesora niezguły w radykała z barykady. A radykalizm sprawia, że osłabiają się zdolności krytyczne i analityczne, przez co profesor prawa faktycznie stał się pacynką w rękach bezwzględniego adwokata i jego politycznego patrona, czyli Donalda Tuska. A wręcz sprawia wrażenie, jakby był wykidajłą Romana Giertycha, który sam nie może i nie chce robić wielu rzeczy, mimo że kieruje „zespołem ds. rozliczeń PiS”.

NAGRODA ZA WIERNOŚĆ

Adam Bodnar nie może i nie chce odejść z rządu, gdyż Donald Tusk obiecał mu,

że będzie polskim sędzią w TSUE (po opuszczeniu tego miejsca przez Marka Safjana). Wiele wskazuje na to, że nieprawdziwe są medialne doniesienia, jakoby sam minister chciał od szefa rządu takiej nagrody za swoje poświęcenie i wierność. Otoczenie Tuska nie ma wątpliwości, że sam „kierownik” (a jeszcze bardziej prawdopodobne, że Roman Giertych) wymyślił, żeby trzymać Bodnara na krótkiej smyczy, tak by robił wszystko, czego życzą sobie jego mocodawcy.

Pierwszym testem dla Adama Bodnara po obietnicy Tuska, że zostanie posadą w TSUE, było siłowe wejście do siedziby Krajowej Rady Sądownictwa, gdzie urzędowali sędziowie – rzecznicy dyscyplinarni sądów powszechnych. Prawnicy, których stać na obronę zasad prawa, a nie obecnej władzy, np. prof. Ryszard Piotrowski, uważają, że minister złamał konstytucję i nadużył władzy wobec konstytucyjnego organu, który ma gwarantować niezależność sądów i niezawisłość sędziów oraz bronić władzy sądowniczej przed wykonawczą i ustawodawczą. Bodnar nadużył władzy wykonawczej podczas akcji w siedzibie KRS, czyli niezależnie od własnych deklaracji, że w tym przypadku wcale nie chodziło o Radę, działał przeciwko temu konstytucyjnemu organowi.

To, że Adam Bodnar zdał test bezwzględności i determinacji wobec KRS, nic nie znaczy, gdy chodzi o perspek-



tywy jego kariery w TSUE, ale oznacza wejście na kolejny stopień uzależnienia od Tuska i jego „bicia na PiS”, czyli Romana Giertycha. Pierwszym było usunięcie kierownictwa Prokuratury Krajowej i powołanie neoprokuratorów bez zgody prezydenta, czyli nielegalnie. To, że 28 czerwca 2024 r. Roman Giertych spotkał się z Bodnarem, żeby rozmawiać o agendzie własnej, a nie ministra, nawet w klubie Koalicji Obywatelskiej jest uznawane za pokaz tego, kto tu rządzi.

Później opinia publiczna dowiedziała się, że od września 2024 r. będą się odbywać cotygodniowe spotkania w resorcie sprawiedliwości dotyczące „afer PiS”. Jeśli faktycznie takie były ustalenia, to Adam Bodnar, jego ministerstwo i prokuratura zostały zaprzęgnięte przez Giertycha do realizowania jego planów, które politycy PiS nazywają obsesjami, a wręcz demonami. I miałyby się tak dziać po to, żeby podporządkować sobie Bodnara, upokorzyć go

(niby minister i prokurator generalny, ale nie dysponuje władzą, tylko ceduje ją na kogoś innego) i wskazać mu miejsce w szeregu. Z ustaleń, które zapadły 28 czerwca 2024 r., miało też wynikać to, że minister Bodnar właściwie został ustawiony przez posła-adwokata jako listonosz do przekazywania marszałkowi Sejmu projektów uchwał dotyczących „stwierdzenia niekonstytucyjności niektórych ustaw” przygotowywanych przez „zespół” Giertycha.

POMOCNIK I SŁUGA

Jeśli opinia publiczna otrzymała komunikat, że minister Adam Bodnar poprzez różne zobowiązania został ustanowiony w roli pomocnika i wykidajły, to uzasadniona była taka interpretacja tych wydarzeń, która wskazuje na upokorzenie profesora przez mecenasa. Opinia publiczna mogła to wszystko interpretować jako podporządkowanie się ministra i prokuratora generalnego oraz jego aparatu szefowi „zespołu ds. rozliczeń PiS”. Ważną przesłanką do wysuwania takich wniosków są zapowiedzi cotygodniowych spotkań „zespołu” z ministrem lub jego zastępcami (we wtorek o godz. 15.00). Że ów zespół będzie regularnie przedstawiał projekty uchwał w stylu tej o „stwierdzeniu niekonstytucyjności niektórych ustaw”. Że minister właściwie będzie miał obowiązek spotykania się z posłami przygotowującymi różne informacje, które można interpretować jako donosy, np. w sprawie tego, kogo wyrzucić z prokuratury.

W podobnym duchu pozostaje zapowiedź wyznaczenia grupy 100 prokuratorów, którzy będą się zajmować tylko „afetami PiS”. Zaufanych, gdyż „nie mogą się tym zajmować prokuratorzy, którzy zawdzięczają wszystko PiS”. Jeśli potwierdzi się życzenie Romana Giertycha, aby prokuratorska specgrupa działała w osobnym budynku – niby dlatego, żeby „zminimalizować ryzyko przecieków” – byłby kolejny dowód na to, kto komu wyznacza zadania i gra w tym wszystkim rolę sprawczą. A wtedy na pewno nie byłby to minister sprawiedliwości i prokurator generalny.

Wrażenie, że Adam Bodnar stał się chłopcem na posyłki Romana Giertycha wzmacnia to, iż minister wcale się nie buntuje. Dość powszechne jest przekonanie (także w klubie Koalicji Obywatelskiej), że dzieje się tak z tego powodu, by nie stracić szansy objęcia fuchy w TSUE. To zaś wcale nie jest pewne, gdyż premier może pogrążyć Bodnarem, a ostatecznie nie dotrzymać słowa. Tak przecież było w 2014 r. z Radosławem Sikorskim, któremu Tusk

miał załatwić jakieś ważne stanowisko w strukturach UE, po czym się okazało, że załatwił, ale sobie.

BEZPIECZNIK NA MECENASA

Podobno Adam Bodnar się tego obawia, więc zostawił sobie bezpiecznik (w sumie słaby), czyli kontynuowanie śledztwa dotyczącego spółki Polnord, a prowadzonego przez Prokuraturę Regionalną w Lublinie. Politycy PiS nie mają wątpliwości, że to minister jest odpowiedzialny za przeciek do Onetu o tym, że śledztwo trwa; stało się to po tym, jak pełnomocnik Romana Giertycha złożył wniosek o umorzenie wszystkich wątków śledztwa, w których wypowiedziały się sądy, w tym

Adam Bodnar nie może i nie chce odejść z rządu, gdyż Donald Tusk obiecał mu, że będzie polskim sędzią w TSUE. To ma być nagroda za poświęcenie i wierność

tych obejmujących adwokata i posła. Bezpiecznik Bodnara jest słaby, bowiem sądy wydawały rozstrzygnięcia korzystne dla Giertycha jeszcze za poprzedniej władzy, więc nie ma powodu, żeby sądzić, iż za obecnej coś się zmieni na niekorzyść posła-mecenas.

Trwające śledztwo dotyczy przywłaszczenia i wyprowadzenia w latach 2010–2014 ze spółki deweloperskiej Polnord ok. 92 mln zł. Zarzutami objęto 12 osób, poza Giertychem także Ryszarda Krauzego, właściciela spółki, byłego trójmiejskiego miliardera, członków zarządu Polnordu i współpracowników Giertycha z czasów Ligi Polskich Rodzin – Piotra Ś. z Młodzieży Wschepolskiej i ochroniarza Sebastiana J. Śledztwo ruszyło w lutym 2017 r. z zawiadomienia nowych władz Polnordu (90 proc. jego akcji ma węgierska spółka). Doniesienie dotyczyło

nabycia przez Polnord „bezwartościowych” wierzytelności spółki Prokom Investments SA (należącej do Ryszarda Krauzego) w kwocie 73 mln zł za przyłącza kanalizacyjne na terenie Miasteczka Wilanów (w latach 2004–2014 Polnord wybudował tam kilka tysięcy mieszkań i ok. 30 km infrastruktury wodociągowej, trzy przepompownie oraz oczyszczalnię wód deszczowych).

Zarzuty wobec Romana Giertycha dotyczą działania na szkodę spółki Polnord, przywłaszczenia mienia wielkiej wartości – w kwocie ponad 72 mln zł. Ale też działania na szkodę spółki i wyrządzenia jej szkody w wysokości 4,5 mln zł pod pozorem umowy na reprezentowanie tej spółki przez kancelarię prawną w postępowaniu przed Naczelnym Sądem Administracyjnym. Na koniec dotyczą też prania brudnych pieniędzy w kwocie ok. 5,2 mln zł. W maju 2024 r. Roman Giertych został wezwany w charakterze podejrzanego do stawienia się w Prokuraturze Regionalnej w Lublinie.

Jeśli Adam Bodnar faktycznie chciałby mieć jakieś „trzymanie” na Romana Giertycha, to wniosek Prokuratury Regionalnej w Lublinie o przedłużenie śledztwa do 16 stycznia 2025 r. byłby na to jakimś dowodem, choć to śledztwo wcale nie musi być dotkliwe dla posła-mecenas.

Politycy PiS nie mają złudzeń, że na życzenie Romana Giertycha albo nawet bez niego Donald Tusk mógłby doprowadzić do umorzenia sprawy dotyczącej Polnordu lub prokuratura mogłaby nic nie robić bądź pozorować działania. Podobno sam Giertych tego nie chce, żeby odgrywać rolę pokrzywdzonego i prześladowanego nawet w czasach, gdy zmieniała się władza, a prokuratorem generalnym jest Adam Bodnar. To ma mu ułatwiać funkcjonowanie w roli szeryfa walczącego ze „zbrodniami” PiS z obiektywnych pobudek, a nie dlatego, żeby zasłużyć na umorzenie postępowania w prokuraturze.

Mimo tych wszystkich manewrów opinia publiczna nie ma powodów, by sądzić, że prof. Adam Bodnar nie jest tylko wykidajką i wykonawcą poleceń mecenas Giertycha, lecz samodzielny i decyzyjny podmiot. 



Skubanie armii

Rząd zapewnia, że wydatki na wojsko i obronność będą wyższe. Deklaruje to szczególnie teraz – po aferze z wyciekiem korespondencji między Sztabem Generalnym a Departamentem Budżetowym Ministerstwa Obrony Narodowej. Ale szef tego resortu jest zbyt słaby, aby obronić swój budżet

Chodzi przede wszystkim (ale nie tylko) o 57 mld zł, które miały zniknąć z puli na modernizację wojska – głównie zakupy nowego sprzętu – z budżetów na lata 2025–2028. Po wycieku skanów oryginalnych dokumentów, które to potwierdzały, ruszyło tsunami deklaracji, że to nieprawda, sprawa dotyczy „dokumentów roboczych”, a rząd Donalda Tuska zwiększy nakłady na wojsko.

„Ogromne podziękowanie dla wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, dla ministra finansów, przede wszystkim dla premiera Donalda Tuska, bo to świadoma decyzja



PIOTR GURSZTYN

rządu, że budżet na obronę narodową będzie najwyższy w historii” – gorąco deklarował wiceminister Cezary Tomczyk, który uchodzi za prawdziwego rządcę w resorcie obrony. Zaprzeczenia nie dziwią: zagrożenie bezpieczeństwa kraju to

priorytet w ocenie obywateli, także najwierniejszych wyborców obecnego rządu. Potwierdzają to badania opinii publicznej, choćby najnowsze, dotyczące zadań dla rządu opublikowane przez CBOS, czyli instytucję bezpośrednio podległą władzy. Obronność i bezpieczeństwo kraju były na pierwszym miejscu, dystansując wiele innych oczekiwań.

SŁABY SZEF MON

Trzeba zatem zadać pytanie, dlaczego w ogóle pojawił się pomysł obcięcia pieniędzy armii. Przecież żaden rząd,

nawet najbardziej nieudolny, nie będzie dążył do samouniżenia. A problem cięć – wbrew zapewnieniom rządzących – zaistniał. Świadczy o tym sam fakt wycieku dokumentu. Skoro ktoś ze Sztabu Generalnego (najprawdopodobniej stamtąd) zdecydował się uciec do tego ostatecznego środka, to znaczy, że istniało niebezpieczeństwo oskubania wojska z pieniędzy. Decyzja będzie miała brutalne konsekwencje, bo wcześniej czy później Donald Tusk, o którym także zwolennicy mówią, że jest osobą szczególnie mściwą, podejmie próbę odpłaty za ten uderzający w niego przeciek.

Z wydarzenia na wydarzenie odpowiedź staje się jasna: MON można skubać z pieniędzy ze względu na porządek dziobania w obecnym rządzie. Albo uciekając się do innej przenośni: dlatego, że na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą.

Tym pochyłym drzewem jest oczywiście minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Politycy PiS od dawna mówią o jego braku „suwerenności”, drwiąc z niego, że został „wiceministrem u Tomczyka”, czyli własnego zastępcy. Widać jednak, że nie jest to bezpodstawa złośliwość ze strony opozycyjnej konkurencji, ale ocena oparta na wielu zdarzeniach. Dotyczących zresztą sytuacji związanych nie tylko z wysokością budżetu MON. Wspomnijmy choćby odwołanie w obrzydliwych okolicznościach gen. Jarosława Gromadzińskiego ze stanowiska dowódcy Eurokorpusu. Wykonawcą tej skandalicznej operacji była Służba Kontrwywiadu Wojskowego, na którą Kosiniak-Kamysz w ogóle nie ma wpływu. Nawet nie został poinformowany o tak ważnym posunięciu. Drugą spektakularną oznaką jego słabej pozycji był skandal z zatrzymaniem żołnierzy na granicy. Szczególnie ten drugi przypadek pokazał, że Kosiniak-Kamysz można lekceważyć. Także przy określaniu budżetu.

A ponieważ decyzją Komisji Europejskiej Polska została objęta procedurą nadmiernego deficytu, pozycja szefa MON jeszcze bardziej osłabła wobec mocy sprawczej ministra finansów. Socjal i wojsko – dwa miejsca, gdzie liberalom najłatwiej ciąć wydatki. Na dodatek ekipa Tuska, świadoma swoich „zdol-

ności” na polu polityki gospodarczej, zaczęła korygować prognozy wzrostu PKB. Oczywiście w dół. Plany wydatków wojska są oparte o słynne 4 proc. ogólnego PKB, więc stało się wiadome, że zaprojektowane sumy muszą być znacząco zredukowane.

Rząd został jednak złapany na gorącym uczynku. Dzisiejsze deklaracje zwiększenia budżetu MON to efekt strachu przed negatywną oceną z każdej strony, także własnego elektoratu. Może być więc tak, że wydatki w obecnym budżecie – przygotowanym jeszcze przez PiS i obserwowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę – zostaną na zaplanowanym poziomie lub nawet będą zwiększone. A dopiero w kolejnych latach, być może z własnym, niesprzeciwiającym się prezydentem, zostaną cięte.

Sprawa nie została zamknięta także z jeszcze jednego powodu oprócz strachu przed kompromitacją. Jest nim ogólny wzrost wszelkiego rodzaju kosztów. Początkiem są wyższe ceny energii, co przełoży się na całą resztę, nie tylko MON-owskie rachunki za prąd i ogrzewanie tysięcy obiektów wojskowych. Także zakup jakichkolwiek artykułów będzie dużo droższy – amunicji wykorzystywanej w szkoleniu, nowych mundurów czy żywności. Tym samym wzrosną bieżące wydatki. Rząd będzie chwalił się rozrostem armii pod względem liczby wojska. Zaznaczmy, że zwiększenie liczebności jest konieczne, ale wiąże się z wydatkami osobowymi. A jest już niemal pewne, że armia nie dostanie na to dodatkowych pieniędzy.

CPR I LOBBYŚCI

Jest jedno źródło, skąd będą czerpane środki do latania dziur. To tzw. centralne plany rzeczowe, czyli „skarbonka”, gdzie leżą pieniądze na zakup nowego sprzętu, innych środków materiałowych (czyli np. amunicji i mundurów), a także inwestycje budowlane oraz remonty sprzętu. Stamtąd najłatwiej jest zabrać i o to mogło też chodzić w awanturze z przeciwnikiem, którego celem była obrona CPR.

Uderzenie w CPR może pójść z dwóch kierunków. Pierwszy to „skąpcy”, którzy w ten sposób będą

próbować prowadzić kreatywną księgowość, by udowodnić, że nakłady na armię nie są cięte. Poprzesuwają pieniądze z CPR na wydatki bieżące i nadal będzie można chwalić się ogromnymi wydatkami na wojsko.

Drugi kierunek to lobbyści tych krajów, które nie załapały się na wielkie zakupy Mariusza Błaszczaka. Mowa przede wszystkim o Niemczech, a także Francji. Należy się spodziewać ataków na dotychczasowe zamówienia. Usłyszymy, że strona amerykańska lub koreańska nie zapewnia Polsce odpowiedniego offsetu i że traci na tym nasz przemysł. Jednocześnie pojawiają się głosy „ekspertów” orzekających, że plany Błaszczaka były zbyt wielkie na nasze potrzeby. Albo że zamówiony sprzęt to szmeln lub nie jest przydatny w polskich warunkach. Słychać to już w przypadku zakupu śmigłowców Apache. Było to też głośno podnoszone, gdy kupowaliśmy czołgi Abrams, rzekomo zbyt ciężkie na nasze mosty i bagna. Nie trzeba tłumaczyć, że owi „eksperci” nie odnajdą takich felerów w przypadku zamówień w przemyśle niemieckim lub francuskim.

Skoro trzeba oszczędzać i gdy zostały już złożone ogromne zamówienia w USA oraz Korei, po co premier i jego ministrowie mówią o „współpracy” z przemysłami krajów europejskich? Przecież nie chodzi o wymianę doświadczeń, bo nikt z tamtej strony tego od nas nie oczekuje. Jedyne, czego chcą od nas Niemcy i Francuzi, to lukratywnych zamówień, ratujących ich kulejące przemysły zbrojeniowe. A są one w nędznym stanie, więc presja na Warszawę będzie silna. Zwłaszcza że Donald Tusk nie słynie z asertywnej postawy względem Berlina i Paryża. Zerwanie choćby jednego wielkiego kontraktu z czasów Błaszczaka uwolniłoby środki gigantyczne z punktu widzenia europejskich manufaktur zbrojeniowych. Manufaktur, bo taka jest dzisiaj skala ich możliwości produkcyjnych.

NA OBRONĘ CYWILNĄ TAKŻE Z MON

Słabość prowokuje i zachęca do zdrady. W ostatnich dniach mamy kolejny dowód na ogrywanie Kosi-

niaka-Kamysza, a tym samym wojska. Do Sejmu niedługo trafi projekt ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej. Został przygotowany przez MSWiA, pod które będzie podlegała cała obrona cywilna, więc można powiedzieć, że resort Tomasza Siemoniaka stanie się beneficjentem nowego prawa. Szczególnie pod względem finansowym. Szef MSWiA zapowiadał już, że według nowego prawa na obronę cywilną ma być wydawana suma stanowiąca nie mniej niż 0,3 proc. PKB kraju. Czyli miliardy złotych każdego roku. Jednocześnie Siemoniak oznajmił, że połowa owych 0,3 proc. będzie pochodziła z budżetu jego resortu, a druga połowa z pieniędzy Ministerstwa Obrony Narodowej. Przy czym pieniądze z MON mają iść na część związaną z budową schronów i innej infrastruktury ochronnej. A to znaczy, że będą to środki pochodzące z CPR, bo tylko tam są pieniądze na prace budowlane.

Wszystko wskazuje na to, że MON nie uczestniczył w przygotowywaniu ustawy, która go mocno dotyczy. Wydaje się też, że przy konsultowaniu został pominięty Sztab Generalny, chociaż projekt ustawy wysłano np. do Związku Harcerstwa Polskiego, Polskiej Akcji Humanitarnej, Polskiego Związku Łowieckiego, a nawet dwóch fundacji. Tragikomiczne jest również to, że osobą odpowiedzialną za prace nad tą ustawą jest wiceminister z... PSL. Wiesław Leśniakiewicz okazał się lojalny wobec ministra z PO Siemoniaka, a nie wobec partii, która go desygnowała na wiceministerialne stanowisko. Leśniakiewicz był nieoficjalnie pytany o to, dlaczego chce zabrać pieniądze wojsku. Jediną odpowiedź, jaką dał, była taka, że MON otrzyma wyrównanie. To oczywiście bzdura, bo oznaczałoby to bezsensowne przekładanie pieniędzy z kieszeni do kieszeni. Jeśli ustawa przejdzie, po prostu silniejszy Siemoniak zabierze pieniądze słabszemu Kosiniakowi-Kamyszowi, a temu drugiemu nikt nic nie doda.

Przy okazji ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej MON zostanie oskubany z jeszcze jednego

deficytowego zasobu: rezerw osobowych. Projekt ustawy zakłada utworzenie Korpusu Obrony Cywilnej składającego się z personelu i krajowej rezerwy OC. W skład personelu wejdą osoby, który dostały przydział do OC lub zgłoszą się ochotniczo do służby w Korpusie Obrony Cywilnej. W rezerwie będą funkcjonariusze i żołnierze wszystkich polskich służb mundurowych, łącznie z tymi, którzy nie podlegają pod MSWiA – „funk-

MON można skubać z pieniędzy ze względu na porządek dziobania w obecnym rządzie. Albo uciekając się do innej przenośni: dlatego, że na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. Tym pochyłym drzewem jest oczywiście minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz

cjonariusze i żołnierze Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, Policji, Straży Granicznej, Służby Ochrony Państwa, Biura Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej, Służby Więziennej, Krajowej Administracji Skarbowej, Służby Celno-Skarbowej, Straży Ochrony Kolei, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Wywiadu Wojskowego, Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Centralnego Biura Antykorupcyjnego – którzy nie podlegają obowiązkowi służby wojskowej”.

W praktyce oznacza to, że w ograniczonych polskich zasobach demograficznych MSWiA pozbawi wojsko dużej części rezerw. W obliczu konfliktu zbrojnego spora grupa ludzi podlegających obowiązkowi służby wojskowej będzie wołała zgłosić się do Korpusu Obrony Cywilnej. Przecież bezpiecz-

niej i wygodniej przeczekać wojnę jako członek KOC w Szczecinie, niż ryzykować życiem i gnąć w okopach bezpośrednio na froncie. Może zdarzyć się tak, że służba w wojsku będzie dla „frajerów”, a KOC dla wszystkich, którzy mają odpowiednie doświadczenia i układy, aby zdobyć bezpieczny przydział z dala od frontu, za to blisko rodzinnego domu. Takiej „konkurencji” o ludzi wojsko nie wygra.

Nie jest to wydumany scenariusz. Coś podobnego dzieje się dzisiaj na Ukrainie. Gros poborowych Sił Zbrojnych Ukrainy to mężczyźni z małych miast i wsi, gorzej wykształceni i najczęściej w średnim wieku. Za to spora liczba młodszych, lepiej wykształconych, zamożniejszych i odpowiednio ustosunkowanych znalazła miejsce w instytucjach szeroko pojętej pomocy humanitarnej. Nawet bardziej wpływowe NGO potrafią masowo wyreklamować z wojska swoich pracowników. Pomoc humanitarna brzmi pięknie, ale oznacza, że owi mężczyźni z rzadka bywają w okolicach walk, a większość czasu spędzają w swoich rodzinnych miejscowościach. Czyli Kijowie i kilku innych wielkich miastach. Chyba nikt nie uwierzy w to, że skoro podobna możliwość bezpiecznej służby pojawi się w Polsce, to nie stanie się celem zabiegów ludzi, którzy mają znajomości i pieniądze.

Poprzedni minister obrony Mariusz Błaszczak był wyklinywany przez opozycję, jej klakierów i innych krytyków za wiele działań. Ale wśród powodów krytyki nigdy nie pojawił się zarzut, że jego ministerstwo ulega innym resortom albo jest przez nie oskubywane. Nawet nie pojawiło się oskarżenie, że „dyktator”, czyli Jarosław Kaczyński, sterował MON za plecami Błaszczaka. Ministerstwo miało wtedy jednego niekwestionowanego szefa, a i tak budowa zdolności bojowych armii była procesem znojnym i spawalnianym przez wiele okoliczności. Trudno sobie zatem wyobrazić, aby teraz, gdy obecny szef MON nie jest suwerennym kierownikiem swojego resortu, rozbudowa Wojska Polskiego mogła przebiegać szybciej i lepiej.

Kto będzie następną ofiarą koalicji 13 grudnia?

Nasi kościelni informatorzy uważają, że po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia w Polsce zapanowała atmosfera, w której bycie księdzem wystarczy, aby wzbudzić podejrzliwość lub pogardę. Wielu duchownych czuje się tak, jakby ktoś chciał ich „spacyfikować”



GORAN ANDRIJANIĆ

Ujawnienie przez nasz tygodnik szczegółów tortur, których ks. Michał Olszewski doświadczył w pierwszych dniach swojego aresztu, odbiło się w Polsce głośnym echem.

Jak państwo wiedzą, nasz dziennikarz Wojciech Biedroń w swoim tekście upublicznił fragmenty listu księdza zatrzymanego w związku ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości. Opisy są szokujące.

„Publiczne upokarzanie, nieludzkie traktowanie i esbeckie metody pod dyktando Prokuratury Krajowej rządzonej przez uzurpatorów Adama Bodnara... List wysłany do bliskich księdza to wstrząsający opis gehenny, którą skrzętnie ukrywa nadzorowana przez Tuska ABW oraz zarządzana przez Bodnara prokuratura” – tymi słowami dziennikarz „Sieci” zaczyna swój tekst o pierwszych 60 godzinach aresztu ks. Olszewskiego.

Odmawianie podejrzanemu wody i możliwości skorzystania z toalety, budzenie go w nocy, traktowanie bez szacunku, który należy się każdemu człowiekowi... Tak, to wszystko można określić jako tortury. I choć premier Donald Tusk twierdzi, że to „bzdura”, oskarżenia wobec funkcjonariuszy ABW nie wydają się żadną przesadą.

Pytanie brzmi – jaki był cel takiego zachowania wobec księdza? Prawdopodobnie chcieli go złamać psychicznie i zrobić z niego kolejnego świadka prokuratury, jakim jest dzisiaj Tomasz Mraz, były dyrektor w Funduszu Sprawiedliwości. Mraz, mały świadek koronny, jest dziś gotów powiedzieć wszystko, aby obciążyć jak najwięcej osób z Suwerennej Polski, partii, która miała swoje kadry w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Do momentu ujawnienia szczegółów dotyczących tego, jak ks. Olszewski był traktowany w areszcie, w nurcie lewicowo-liberalnym udało się przeforsować narrację, według której wszystko, co dzieje się z oskarżeniami wobec fundacji Profeto, to wyłącznie legalna działalność polskich służb. Jednak



Fot. Andrzej Wiktor

po dziennikarskim odkryciu Biedronia tej narracji nie da się obronić. Mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem państwa policyjnego łamiącego prawa obywateli.

Nieistotny jest w tej sprawie fakt, że większość oskarżeń ma znikomą wagę prawną lub nie ma jej wcale. W tej chwili trwają represje polityczne skierowane przeciwko Zbigniewowi Ziobrze oraz jego ludziom. To priorytet władzy. Wszystko inne jest na drugim planie, łącznie z elementarnymi ludzkimi prawami ks. Olszewskiego oraz dwóch urzędników, którzy, przypomnijmy, nadal mają status podejrzaných.

METODY ZAISTE TOTALITARNE

– Oczywiście nie jestem w stanie oceniać działalności ks. Olszewskiego od strony prawnej, bo nie mam wiedzy na ten

temat. Natomiast mam prawo oceniać sposób postępowania z człowiekiem podejrzanym, ale nie oskarżonym i nie skazanym żadnym wyrokiem – mówi nam ks. prof. Paweł Bortkiewicz TChr., wykładowca akademicki.

– Media informują nas o aferach korupcyjnych związanych uczelniami, gdzie niektórzy z podejrzanych, mimo, jak się wydaje, ewidentnych faktów, są traktowani w sposób radykalnie różny od sposobu potraktowania ks. Olszewskiego. Aresztowanie i przetrzymywanie przez 60 godzin bez posiłku, bez wody pitnej to postępowanie noszące znamiona tortur. Jednoznacznie wskazuje na próbę złamania tego człowieka, co pokazuje zarazem system bezprawia i metod zaiste totalitarnych. Uniemożliwianie kontaktu z adwokatem, nieudostępnianie obrońcom aktu oskarżenia – to wszystko dowód na dyktaturę władzy, który ma wyrobić przekonanie o bezsilności i bezsensowności obrony. Jeżeli to jest demokracja i państwo prawa, to chyba wzorowane na doświadczeniach lat 50. ub.w. w „demokracji ludowej” – mówi ks. profesor.

Przywołanie przez Bortkiewicza „demokracji ludowej” jest w pełni uprawnione. Jesteśmy narodem, który doświadczył w swojej historii, jak represyjne reżimy prześladowały księży. Te prześladowania miały jasny cel, który dawno temu określił Prymas Tysiąclecia bł. Stefan Wyszyński: „Jeśli przyjdą zniszczyć ten naród, zaczęła od Kościoła, gdyż Kościół jest siłą tego narodu”.

Czy stwierdzenie, że ponownie znaleźliśmy się w czasach, w których słowa Wyszyńskiego nabierają aktualności, jest przesadzone? Wielu twierdzi, że nie.

PRZYGOTOWANIE DO KOLEJNEGO ATAKU

Nasi kościelni informatorzy uważają, że po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia w Polsce zapanowała atmosfera, w której bycie księdzem wystarczy, aby budzić podejrzliwość lub pogardę. Wielu duchownych czuje się tak, jakby ktoś chciał ich „spacyfikować” i uciszyć.

W takiej atmosferze nasuwa się jedno pytanie – kto będzie kolejnym duchownym na liście koalicji Tuska? Odpowiedzi udzieliła w swoim niedawnym artykule Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl.

„Sprawa ks. Olszewskiego była przez długi czas przygotowywana w mediach. Od dawna pojawiały się ośmieszające go materiały, kpiono z jego posługi, powielając kłamliwe informacje, że egzorcyzmował salcesonem. Jeszcze większa nagonka trwa przeciwko o. Tadeuszowi Rydzykowi. W ostatnim czasie znacząco przybrała na sile”.

Jak dobrze wiemy, kampania przeciwko o. Rydzykowi trwa od lat. Społecznie pozytywne i ważne projekty podejmowane i realizowane przez redemptorystę, jego zaangażowanie w media, edukację i kulturę stale są przedstawiane jako „imperium

Rydzyka”. Jego działalność jest solą w oku liberalno-lewicowych elit. Zwraca na to uwagę również ks. prof. Bortkiewicz.

– Ojciec dyrektor jest obiektem ataków wielu środowisk od wielu lat. Nie mogą mu wybaczyć nie tylko stworzenia źródła obiektywnej informacji, niezależnej od zewnętrznych źródeł finansowania, nie mogą mu wybaczyć także zaangażowania w kwestie edukacji młodzieży, a jest to sprawa jak widać niezwykle ważna w kontekście lobotomii dokonywanej na uczniach i studentach w chwili obecnej. Nie mogą mu wybaczyć dbania o pamięć i tożsamość naszego narodu. Sądzę także, że te ośrodki nie mogą mu wybaczyć podtrzymywania w manipulowanym społeczeństwie poczucia wspólnoty narodowej. Atak na ojca dyrektora jest więc atakiem permanentnym – wyjaśnia ks. prof. i dodaje, że to, co się dzieje z ks. Olszewskim, może być jakimś rodzajem przygotowania opinii publicznej na takie same ataki na dyrektora Radia Maryja.

– Można potraktować sprawę ks. Olszewskiego jako pewnego rodzaju próbę sondowania poziomu tolerancji bezprawia w społeczeństwie. Milczenie i obojętność wobec działań wymiaru niesprawiedliwości może go prowokować do eskalacji haniebnych metod w stosunku do innych osób – zarówno Kościoła, jak i środowisk konserwatywno-patriotycznych – mówi.

Ks. prof. Bortkiewicz zwraca uwagę na jedną rzecz. To, jak daleko zajdzie koalicja 13 grudnia, zależy od tego, na ile pozwoli polska opinia publiczna, i to nie tylko katolicka. Warto zauważyć, że w Kościele, a także społeczeństwie istnieje pewne niezadowolenie ze sposobu, w jaki instytucje kościelne zareagowały na to, co się dzieje w sprawie ks. Olszewskiego. Wielu uważa, że biskupi powinni zareagować bardziej zdecydowanie.

– Sądzę, że trzeba poczynić zastrzeżenie, że nie znam wszystkich spraw

związanych z prześladowaniem i dręczeniem ks. Olszewskiego – mówi ks. profesor. – Niemniej rodzi się poczucie rozgoryczenia w sytuacji, w której kapłan, zakonnik, członek wspólnoty kościelnej zostaje – jak to przynajmniej wynika z ogólnego oglądu – osamotniony. Takie milczenie stanowić może wyraz przekroczenia granicy tolerancji zła. Dlatego jestem przekonany, że wielu z nas, katolików, oczekuje zdecydowanej reakcji. Z jednej strony jest to potrzeba wyrazu solidarności i wspólnoty. Z drugiej – i przede wszystkim – to oczekiwanie wyraźnego stanowiska Kościoła instytucjonalnego w stosunku do postępującego procesu dewastacji państwa prawa w naszej ojczyźnie. Wobec kolejnych aktów, w których dokonuje się destrukcja istniejącego prawa, a usiłuje się stanowić prawa zbrodnicze i niszczyć substancję małżeństwa, a w konsekwencji substancję narodu, nie można milczeć. Słowem niezbędnym do wypowiedzenia staje się „non possumus” – konkluduje ks. prof. Paweł Bortkiewicz.

Kampania przeciwko o. Rydzykowi trwa od lat. Społecznie pozytywne i ważne projekty podejmowane i realizowane przez redemptorystę, jego zaangażowanie w media, edukację i kulturę stale są przedstawiane jako „imperium Rydzyka”. Jego działalność jest solą w oku liberalno-lewicowych elit

Tusk znajduje pieniądze, ale dla esbeków

Aż 3 mld zł może dodatkowo trafić do portfeli byłych funkcjonariuszy służb PRL. Rząd chce rozliczać PiS za wydanie mniej niż 1,5 mld na CPK, a dwa razy więcej lekko przekaże współtwórcom komunistycznego reżimu. Ciekawe czasy



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

24 stycznia 2023 r. Donald Tusk rozmawiał z mieszkańcami Siedlec i wówczas obiecał staremu esbekowi przywrócenie specjalnych przywilejów emerytalnych.

Mężczyzna po siedemdziesiątce, który zadał pytanie szefowi PO, przedstawił się jako Janek: „Reprezentuję środowisko mundurowych emerytów, represjonowanych oczywiście! [...] Jak pan zamie-

rza, zakładając, bardzo w to wierzę i liczę na to, że wygramy te wybory, złagodzić skutki tej ustawy, bo PiS przejechało po nas walcem. Ja w tej chwili jako oficer pracujący w Siedlcach mam 0 proc. za 10 lat pracy w policji politycznej. A taka policja polityczna jest na całym świecie, nie ma państwa, które nie ma policji politycznej. [...] Ja po 54 latach pracy [...] mam 2,1 tys. zł emerytury!” – żalił się wyborca PO. I dopytał wprost: „Jak pan to zamierza złagodzić?”.

W odpowiedzi Tusk nieco kluczył, trochę się jąkał, ale ostatecznie tak skomentował odebranie przywilejów emerytalnych funkcjonariuszom służb PRL przez PiS: „Nie podoba mi się pisowski model, który jest odwetem i który jest nieracjonalny. Ilu ludzi było złych, zwy-

rodniałych, bijących? Ja sam miałem przygody z oficerami Służby Bezpieczeństwa, jeden mnie uderzył, jeden był kulturalny – nie było jednej reguły. Na pewno jest bardzo wielu tych [esbeków], którzy niczego złego nie zrobili”. Tusk stwierdził, że sprawą zajmuje się duet Rozenek-Siemoniak i że „krzywdy [zadane funkcjonariuszom SB] będą naprawione”. Sala biła brawo.

BEZ EMERYTALNYCH PRZYWILEJÓW

W jakiej sprawie konkretnie zabrzmiąły te okłaski?

W pierwszych latach rządów PiS naprawiało Polskę na potęgę, a sprawiedliwość nie ominęła też ochotników

Fot. Shutterstock

komunistycznej policji politycznej. W grudniu 2016 r. większość sejmowa przegłosowała ustawę, w której odebrano specjalne przywileje emerytalne funkcjonariuszom niektórych służb PRL. Według obliczeń rządu Beaty Szydło po zmianach w prawie ponad 32 tys. osób miało otrzymywać emerytury na zwykłym, a nie „mundurowym” poziomie. W myśl ustawy wysokie emerytury odebrano więc pracownikom, którzy od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r. pracowali np. w konkretnych jednostkach organizacyjnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W samej ustawie wymieniono wszystkie departamenty oraz biura UB i SB, w których pracę uznano za „służbę dla totalitarnego państwa”.

Dawni esbecy przez siedem lat musieli się zadowolić emeryturą w wysokości innych, niemundurowych obywateli. To ważne, bo w propagandzie mówiło się o „odbieraniu emerytury”, a to nieprawda. Po prostu z comiesięcznych przelewów na kwoty np. 5 czy 6 tys. zł zrobiła się znana większości emerytów w Polsce kwota 2–3 tys. zł. Dodatkowo przecież nie odebrano esbekom tych pieniędzy, które otrzymali przez całe lata swojej emerytury przed 2016 r.

W obronie funkcjonariuszy komunistycznego reżimu uruchomiono wówczas polskie i zagraniczne siły, także Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich z Adamem Bodnarem na czele. Dzisiejszy minister sprawiedliwości poświęcił dawnym esbekom specjalny panel na I Ogólnopolskim Kongresie Praw Obywatelskich. Z historycznym uniesieniem angażował się tam były szef UOP Andrzej Milczanowski, osobiście zaangażowany w medialne manipulacje, w których Jarosław Kaczyński miałby chodzić na pasku rosyjskich (sic!) służb. Wszystko to świadczyło o wściekłości PRL-owskich mundurowych, którzy po prostu zaczęli domagać się zemsty. Najpierw jednak potrzebowali obalenia rządu PiS i przywrócenia ich specjalnych przywilejów emerytalnych. Po 13 grudnia 2023 r. nadal powinno być to utrudnione, bowiem do zmiany ustawy o emeryturach mundurowych potrzebny jest podpis prezydenta RP, ale władza postanowiła obejść ten wymóg i wypłacać esbekom pieniądze w inny sposób.

LAWINA ODWOŁAŃ

Już w grudniu 2016 r. PiS pozostawiło bowiem możliwość, by w wyjątkowych sytuacjach nie obniżać emerytury pojedynczym osobom – wszak chlubne wyjątki się zdarzają. W art. 8a, pkt 1 ustawy zawarto zastrzeżenie, że „minister właściwy do spraw wewnętrznych w drodze decyzji w szczególnie uzasadnionych przypadkach” może przywrócić podwyższoną mundurową emeryturę np. ze względu na „krótkotrwałą służbę przed dniem 31 lipca 1990 r.”.

Nowa władza bez oporów korzysta z tego rozwiązania. Tak oto minister, który ma stać na straży ustawy dezubekizacyjnej, dziś przywraca przywileje emerytalne pracownikom aparatu represji. Jak ogłosiło MSWiA, od 12 marca br. działa pełnomocnik, który załatwia uchylenia dotyczące przypadków z art. 8a tejże ustawy.

W maju ministerstwo przyznało, że w tej sprawie toczy się aż 12 tys. postępowań sądowych, czyli tylu byłych funkcjonariuszy służb PRL domaga się przywrócenia przywilejów emerytalnych oraz odszkodowań za niewypłacanie ich przez ostatnie lata.

Jak twierdzi proszący o anonimowość urzędnik zajmujący się tą sprawą: – Niektórzy funkcjonariusze są zaliczeni do grona „krótkotrwałej służby” przed lipcem 1990 r., gdy tak naprawdę pracowali w służbach dwa lata!

Chodzi więc o tych, którzy zaczęli pracować dla reżimu np. w 1988 r. Czy esbecy wstępujący do służby pod koniec PRL byli w jakiś sposób lepsi od swoich poprzedników? Przypomnijmy, że w końcówce Polski Ludowej SB na potęgę werbowała tajnych współpracowników. W 1988 r. liczba TW osiągnęła 98 tys. ludzi – to skala iście stalinowska. Ale w tych latach funkcjonariusze SB byli rekrutowani inaczej, bo w czasach narastającej niechęci do komunistów ludzie wstydziли się iść do służb.

– Kończówka lat 80. jest o tyle charakterystyczna, że bezpieczeństwa ma problem z zaciąganiem nowych kadr i stosuje wówczas metody rzadko kiedy stosowane wcześniej – mówi tygodnikowi „Sieci” dr hab. Filip Musiał, historyk zajmujący się m.in. tajnymi służbami PRL. – SB próbuje organizować spotkania na uczelniach i tam proponuje się wstępować do służb. Nowych funkcjonariuszy pozyskuje się więc desperacko, bo ochotników jest niewielu.

NIEWINIĄTKA

To właśnie głównie ci, którzy zgodzili się służyć partii komunistycznej u jej schyłku, oburzają się na odebranie im wysokich emerytur, argumentując, że przecież wtedy już było „luźniej” i „bardziej demokratycznie”. To nieprawda. W czasie transformacji przygotowywano kadry na nowe czasy, poszerzono sieć agentury w społeczeństwie, a w ostatnich miesiącach istnienia SB zamordowano jeszcze księży Stanisława Suchowolca, Sylwestra Zycha i Stefana Niedzielaka. Jednak dawni funkcjonariusze lubią z siebie robić historyczne niewiniątka i ofiary (sic!) reżimu PiS.

Są jeszcze inni pracownicy PRL-owskiego MSW, którzy stroją się w szaty ofiar. Funkcjonariusze dawnego BOR albo pracownicy administracyjni MSW też lubią się w usprawiedliwieniach typu: „Ja tylko chroniłem papieża podczas pielgrzymek” czy „Wstąpiłem do BOR, bo mieli najlepsze samochody”. Od pierwszych miesięcy po przegłosowaniu ustawy dezubekizacyjnej do IPN przychodzili funkcjonariusze zarzekający się, że pełnili jedynie funkcje „archiwistów”, „kierowców” czy „sekretarek”. To fałszywy argument.

Po pierwsze, cały aparat represji opierał się na rozbudowanym systemie, w którym także na jego zapleczu – w archiwach, sekretariatach czy garażach MSW – wspierano komunistyczny reżim zwalczający własny naród. Jeśli przesłuchujący Grzegorza Przemyka czy ks. Jerzego Popiełuszkę mogli swobodnie realizować zbrodnicze działania, to także dlatego, że w biurach i gmachach administracyjnych ktoś opiekował się ich sprawami w teczkach i szafach pancernych.

Po drugie, co to za „sekretarki” czy „archiwiści”, którzy dosłużyli się stopnia majora i pobierali emerytury w pełnym uprzywilejowanym trybie? Last but not least – co to za ludzie, którzy pozostali wierni Jaruzelskiemu i Kiszczakowi nawet wtedy, gdy gołym okiem było widać, jak system się kruszy, rozpada i sypie? Na razie jednak wielu z nich może odetchnąć z ulgą – rząd Donalda Tuska okazał się wyjątkowo życzliwy dla funkcjonariuszy komunistycznych służb PRL.

Chińscy żołnierze na Białorusi

Manewry wojskowe z udziałem chińskich żołnierzy na granicy z państwem należącym do NATO można odczytać jako sygnał strategiczny pod adresem Sojuszu, który w czasie tych ćwiczeń miał swój jubileuszowy szczyt. Nie jest to jednak jedyna interpretacja tego, co się dzieje



MAREK BUDZISZ

Na poligonie pod Brześciem niedaleko granicy Polski rozpoczęły się manewry wojskowe pod kryptonimem „Atakujący sokół”, w których uczestniczą żołnierze specjalnej jednostki z Chin. Z oficjalnego komunikatu białoruskiego resortu obrony wynika, że wspólne białorusko-chińskie ćwiczenia są związane z przygotowaniem „na wypadek zagrożeń terrorystycznych”. Jednak ich scenariusz, przewidujący m.in. nocny desant z powietrza, walki w terenie zabudowanym czy pokonywanie przeszkód wodnych wskazują na zupełnie inne plany. Z czym mamy do czynienia? Możliwych jest kilka interpretacji tego, co się dzieje i zapewne każda z nich w części odpowiada prawdzie.

MANEWRY JAK MANIFESTACJA

Rosyjska prasa przypomina, że manewry, które potrwają do 19 lipca, zostały

zaplanowane już przed rokiem w czasie oficjalnej wizyty ówczesnego chińskiego ministra obrony Li Shangfu, który przybył do Mińska z pierwszą od pięciu lat wizytą na tym szczeblu. Ta interpretacja, choć opisująca prawdziwe wydarzenia, nie wyjaśnia jednak wszystkiego. Choćby z tego powodu, że już przed rokiem było wiadomo, kiedy odbędzie się w Waszyngtonie jubileuszowy szczyt NATO i ćwiczenia wojskowe z udziałem chińskich żołnierzy na granicy z państwem należącym do Sojuszu można potraktować w kategoriach celowo zaplanowanej operacji, której celem było wysłanie sygnału strategicznego pod adresem aliansu. Tym bardziej że stanowisko Sojuszu Północnoatlantyckiego wobec Chin zaostrza się i na szczyt po raz trzeci z rzędu zostali zaproszeni partnerzy Zachodu z Azji, czyli przedstawiciele Korei Płd., Japonii, Australii i Nowej Zelandii.

Komunikat końcowy uzgodniony przez członków Sojuszu też jest znacznie bardziej krytyczny wobec Pekinu niż oświadczenia wydawane po wcześniejszych szczytach. Określa się w nim Chiny mianem „decydującego czynnika” umożliwiającego Rosji kontynuowanie agresywnej wojny przeciw Ukrainie. Chodzi oczywiście



o pogłębiającą się współpracę gospodarczą między obydwojema krajami, autorzy oświadczenia mogli także nawiązywać do pojawiających się informacji świadczących o tym, iż chińskie firmy zaopatrują Moskali w systemy podwójnego przeznaczenia, w tym elektronikę wykorzystywaną w rakietach wystrzeliwanych przeciw ukraińskim celom. W komunikacie znalazło się też zdanie, iż Chiny „nie mogą umożliwiać kontynuowania największej wojny w Europie w najnowszej historii bez negatywnego wpływu na ich interesy i reputację”, które zapowiada zaostrzenie polityki NATO wobec Pekinu. W związku z tą sytuacją białoruskie manewry można odczytywać w kategoriach pokazania zdolności chińskich sił zbrojnych do sięgnięcia granic Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Ale nie jest to jedyna interpretacja tego, co się dzieje. Możliwe są też inne, znacznie mniej niepokojące, a może nawet paradoksalnie o pozytywnym wydźwięku dla sytuacji w naszej części Europy. Warto zwrócić uwagę na



intrygującą sekwencję wydarzeń. Pod koniec czerwca w Pekinie przebywał Aleksandr Łukaszenka. W trakcie spotkania na Uniwersytecie Pekińskim powiedział: „Zgodziliśmy się z Xi Jinpingiem, iż jeśli Chiny tego będą potrzebować, to wykorzystają Białoruś do promowania swoich interesów w Europie”.

To ciekawa deklaracja, zwłaszcza wypowiedziana przez nieuznawanego dyktatora, którego państwo jest obłożone międzynarodowymi sankcjami. O jakiej promocji może być mowa? Wiele wyjaśniło się po mającej miejsce kilka dni później wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Pekinie, podczas której szczegółowo omawiano sytuację na granicy polsko-białoruskiej i zaostrzające się relacje po zabójstwie polskiego żołnierza. Trzy dni przed oświadczeniem Łukaszenki polski minister spraw zagranicznych zagroził nawet, że Warszawa jest gotowa zamknąć ostatnie przejście drogowe z Białorusią, a jeśli sytuacja nie będzie się poprawiać, to wprowadzić również blokadę ruchu kolejowego.

Z perspektywy Pekinu tego rodzaju sytuacja może być groźna, bo 4 proc. chińskiej wymiany towarowej z Unią Europejską przechodzi przez port kolejowy w Małaszewiczach. Strategiczne znaczenie tego połączenia jest jednak istotniejsze, niż wynika to z oficjalnych statystyk. Jeśli bowiem zaostrzą się relacje chińsko-amerykańskie, to należy się spodziewać próby blokady przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników tras żeglugowych do chińskich portów. W takiej sytuacji wzrośnie rola połączeń lądowych, a przez Białoruś i Polskę przechodzi 80 proc. chińskiego transportu kolejowego do Europy.

Pekin od lat, starając się asekurować przed takim scenariuszem, rozwija sieć połączeń lądowych w ramach koncepcji Pasa i Szlaku, ale są one dopiero budowane. Ostatnio doprowadził do zawarcia porozumienia z Kirgizją i Uzbekistanem o budowie linii kolejowej łączącej Chiny z Morzem Kaspijskim i dalej za pośrednictwem zbudowanej kilka lat temu trasy z Azerbejdżanem, Gruzją i Turcją. Negocjacje trwały 30 lat. Ich zakończenie jest dużym sukcesem

Pekinu, a także świadectwem słabnięcia roli Moskwy w Azji Środkowej. Dlaczego?

Otóż Rosjanie, skutecznie przez te lata wykorzystując swoje wpływy, blokowali możliwość zawarcia porozumienia, obawiając się pogłębiającej penetracji chińskiej w regionie i spadku znaczenia Kolei Dalekowschodniej. Oslabiona w związku z wojną i uzależniona gospodarczo od Chin Rosja nie była dłużej w stanie blokować chińskich inwestycji w infrastrukturę transportową państw Azji Środkowej i to właśnie świadczy o nowej sytuacji.

MIŃSK ODCZYTUJE SYGNAŁ

Wracając jednak do kwestii polsko-białoruskich, trzeba zwrócić uwagę na posunięcie, które chińska dyplomacja wykonuje niezwykle rzadko.

Otóż chiński MSZ po wizycie polskiej delegacji w Pekinie wydał specjalne oświadczenie, w którym odniósł się do sytuacji na naszej granicy z Białorusią. Napisano w nim, że „Chiny mają nadzieję, że obie strony będą się wzajemnie szanować i rozwiążą tę kwestię w drodze konsultacji, aby uniknąć eskalacji napięć”. Tego rodzaju sformułowanie, zwłaszcza w przypadku dyplomacji Państwa Środka, która tradycyjnie unika zarówno ingerowania w relacje państw trzecich, jak i używania sformułowań negatywnych, zostało porównane przez wypowiadających się w tej kwestii sinologów do „krzyku”.

W Mińsku prawidłowo odczytali ten sygnał i tamtejszy MSZ zaraz wystąpił pod adresem Polski z pojednawczymi deklaracjami w kwestii możliwości rozpoczęcia negocjacji w sprawie uregulowania kryzysu granicznego. Białorusinom pomogły oczywiście też „przerwy techniczne” związane z wejściem od 1 lipca w życie nowego pakietu unijnych sankcji. Polska administracja celna na kilkanaście godzin wstrzymała obsługę jedyne go czynnego przejścia drogowego i prace na trasie kolejowej, właśnie ze względu na konieczność wdrożenia nowych reguł.

Kryzys graniczny jest jeszcze daleki od rozwiązania, ale władze w Mińsku już wiedzą, iż dalsze zaostrzenie sytuacji

nie wzbudzi przychylności Pekinu. A ta jest dla Łukaszenki, jak się wydaje, kwestią życia i śmierci, może nawet dosłownie.

4 lipca w kazachskiej Astanie odbywało się spotkanie Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Właśnie wtedy Białoruś została oficjalnie przyjęta do tej organizacji, co zdaniem komentatorów poprzedza też akcesję Mińska do grupy BRICKS. W Astanie dużo mówiono o tym, że kształtuje się nowy porządek geostrategiczny świata, już bez hegemonii Zachodu, i Globalne Południe będzie odgrywało znacznie aktywniejszą rolę. Łukaszenka mówił o konieczności stworzenia wspólnego systemu rozliczania transakcji handlowych, który byłby wolny od dolara i gotowości Mińska do tego, aby włączyć się w dzieło „wyżywienia Afryki”. Chodzi oczywiście o eksport białoruskich nawozów mineralnych i próbę wyjścia z gospodarczej pułapki, którą jest zbytne uzależnienie od Rosji.

Ale przyjęcie Białorusi do SZOS ma też inny, znacznie ważniejszy, wymiar. Aleksiej Czigadajew, sinolog, w rozmowie z Radiem Swoboda powiedział (i trudno odmówić mu racji), że Łukaszenka, szukając zbliżenia z Chinami, pragnie w ten sposób zyskać więcej niezależności wobec Moskwy. Szanghajska Organizacja Współpracy, co przypominał Czigadajew, została utworzona po to, aby gwarantować należącym do niej państwom bezpieczeństwo na granicach i choć nie stała się blokiem wojskowym, a z czasem coraz więcej zaczęto w tym gronie mówić o kwestiach ekonomicznych, walka z handlem ludźmi i narkotykami nadal jest jednym z jej celów. Co więcej, nie jest to organizacja sformalizowana, nie posiada statutu i reguł działania, w związku z tym bardziej przypominając choćby format G7.

W ramach SZOS porozumienia mają charakter dwustronny, co oznacza, że chińsko-białoruskie manewry można uznać za jeden z przejawów współpracy w ramach tego właśnie formatu.

Jekatierina Szulman, emigracyjna rosyjska politolog, jest zdania, że Łukaszenka realizuje „politykę obecności”. Jej istotą jest uczestnictwo w wielu

organizacjach międzynarodowych, bo to podkreśla suwerenność Białorusi i nie pozwala traktować Mińska w kategoriach wyłącznie wasala Rosji. Jeden z białoruskich politologów, komentując akces do SZOS, powiedział nawet, że „Putinowi będzie teraz trudniej anektować Białoruś”. A perspektywa inkorporacji jest coraz bardziej aktualna, tym bardziej że Putin właśnie w Astanie w rozmowie z dziennikarzami oświadczył, że przyjęcie jednej waluty i wspólnego parlamentu z Białorusią „jest tylko kwestią czasu”.

W Mińsku prawidłowo odczytali chiński sygnał i białoruski MSZ zaraz wystąpił pod adresem Polski z pojednawczymi deklaracjami w kwestii możliwości rozpoczęcia negocjacji w sprawie uregulowania kryzysu granicznego

Wydaje się, że rozwijając współpracę z Pekinem, Łukaszenka chce, asekurować się na taką ewentualność, tym bardziej że sądzi, iż Rosja wygra wojnę z Ukrainą, a wówczas jej geostrategiczne apetyty wzrosną.

ŁUKASZENKI GRA O SUWERENNOŚĆ

Ćwiczenia białorusko-chińskie mają też związek z sytuacją w zbudowanym przez Rosję bloku wojskowym – Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (ODKB). Po zapowiedziach władz Armenii, że Erywań planuje jej opuszczenie i po tym, jak w związku z wojną Moskwa drastycznie ograniczyła pomoc wojskową dla państw sojuszniczych, organizacja znalazła

się w kryzysie. Można nawet zaryzykować tezę, że Łukaszenka, dostarczając sprzęt wojskowy do Azerbejdżanu, w tym systemy rakietowe, przyczynił się do obecnego stanu rzeczy, ponieważ wspierał wojskowo państwo wrogie wobec jednego z sojuszników. Ten przykład pokazuje zresztą dwuznaczność polityki białoruskiego dyktatora, który retorycznie należy do najżarliwszych zwolenników „ruskiego miru” i współpracy z Moskwą, ale tam, gdzie może, wybiera partykularny interes, starając się maksymalnie wyzyskać sytuację i zwiększyć swe pole manewru. Białoruś jest ważnym producentem i eksporterem broni, m.in. do Chin i świata arabskiego – to również jest jeden z obszarów, do którego w Mińsku przywiązują dużą wagę. Pogłębienie współpracy wojskowej z Pekinem daje Łukaszence zarówno doraźne zyski, jak i poprawia jego strategiczną pozycję.

Białorusko-chińskie ćwiczenia wojskowe przy granicy z Polską można zatem interpretować na wiele sposobów. Jako próbę pokazania przez Pekin Zachodowi, iż wzrost zaangażowania NATO w Azji wywoła reakcję i Chiny mają takie możliwości. Równie uprawniona jest ocena, że to działanie mające skłonić władze Białorusi do zmniejszenia napięcia na granicy z Polską, bo sytuacja staje się groźna dla chińskich interesów. Łukaszenka wielokrotnie mówił w przeszłości, iż reżim czuje się zagrożony rozbudową potencjału wojskowego przez Polskę i z tej perspektywy pogłębiająca się współpraca wojskowa z Pekinem niweluje te obawy, co powinno w konsekwencji rozładować sytuację. Manewry można też uznać za wyraźny sygnał, który Mińsk wysłał pod adresem Moskwy, iż Białoruś może liczyć na chińskiego protektora, zainteresowanego utrzymaniem jej suwerenności. Poszerza to pole manewru Łukaszenki i może też być odczytywane w kategoriach sygnału potwierdzającego zmianę realiów strategicznych na wschód od naszych granic.

Czy w związku z tym białoruski reżim stanie się bardziej cywilizowany i obliczalny? Na to bym szybko nie liczył, ale, jak się wydaje, chińskie wpływy będą nań działać tonizująco.

Manewr Macrona

W czwartek 18 lipca po raz pierwszy zbierze się nowe francuskie Zgromadzenie Narodowe, w którym pierwszy raz w historii V Republiki najliczniejszą partyjną frakcją parlamentarną będą narodowcy pod wodzą Marine Le Pen



JAN ROKITA

Wławach po prawej stronie sali w pałacu Burbonów zasiadzie 126 posłów tej formacji, a trzeba doliczyć jeszcze do tego 17-osobową grupę Érica Ciottiego, który między pierwszą a drugą turą wyborów doprowadził *de facto* do rozłamu w ruchu gaullistowskim. To oznacza, że francuscy endecy zyskali najwięcej, bo aż 54 mandaty w stosunku do swego wyniku z poprzednich wyborów w 2022 r. Blok narodowy również w drugiej turze wyborczej uzyskał największą bezwzględną liczbę głosów – głosowało nań mniej więcej 10 mln Francuzów, podczas gdy na partię lewicy skupione w Nowym Froncie Ludowym (NFP) 7 mln, a na postliberalny blok prezydenta Macrona – 6,5 mln.

W sensie politycznym francuscy endecy przegrali jednak ubiegłotygodniowe wybory, gdyż w rachunku wyborczych jednomandatowych okręgów wyborczych znaleźli się, wbrew wszystkim przedwyborczym sondażom, dopiero na trzecim miejscu. A więc za lewicowym blokiem NFP, który zdobył mandaty aż w 182 okręgach, oraz za blokiem prezydenckim wygrywającym w 168 okręgach.

Jednak sklecony tylko na wybory blok lewicy składa się z kilku skłóconych ze sobą nawzajem partii (Zbuntowanej Francji, czyli ruchu „oburzonych”, a także komunistów, socjalistów i zielonych) i nie planuje utworzenia wspólnej frakcji parlamentarnej.

Bardziej spójna była jak dotąd koalicja prezydencka, w której Odrodzenie (partia stworzona przez Macrona) ma teraz tylko 102 posłów. Ale wobec niezwykle skomplikowanej gry, na którą prezydent jest skazany w nowym parlamencie rozbił się na trzy mniej więcej równe części, a przez to niezdolnym do skutecznego działania, nie ma pewności, czy nawet owa spójność bloku prezydenckiego zostanie utrzymana.

Tak czy owak, wygląda na to, że po raz pierwszy będziemy mieć we Francji do czynienia z taką sytuacją, w której zarówno „głównonurtowy” Macron, jak i Jean-Luc Mélenchon, lider bloku lewicy o *de facto* komunistycznych poglądach, będą się starali utrzymać w izolacji najsilniejszą pravicową frakcję parlamentarną. I stąd właśnie spodziewane przez wszystkich trudności w przyszłym rządzeniu Francją.

UKŁAD PRZECIW PRAWICY

Zepchnięcie prawicy do opozycji stało się możliwe dzięki francuskiemu systemowi wyborczemu, umożliwiającemu przed drugą turą układy pomiędzy słabszymi, aby wspólnie pokonać najsilniejszego.

Taki układ między lewicą i macronistami został zawarty w przeszło 200 okręgach wyborczych, skutku-

jąc wycofaniem ok. 130 kandydatów NFP oraz ok. 80 macronistów. I, co charakterystyczne, w tych stosunkowo nielicznych okręgach, gdzie w drugiej turze rywalizowali ze sobą kandydaci prawicy, lewicy i macroniści, z reguły wygrywał kandydat obozu Marine Le Pen. Ale w większości okręgów, w których prawicowy kandydat zostawał w drugiej turze sam na sam z macronistą albo lewicowcem, z re-

Dzięki cynicznemu manewrowi Macron uzyskał efekt zanarchizowanego parlamentu, a tym samym pozbawił siły wszystkich swoich wrogów, zyskując możliwość prowadzenia gry pomiędzy skłóconymi frakcjami

guly przegrywał, i to nawet wtedy, gdy w pierwszej turze jego wynik był lepszy od rywali.

W ten właśnie sposób, legitymizując sojusz swoich ludzi z lewicą, Macron skutecznie odebrał spodziewane zwycięstwo Le Pen. Co równie ważne, uniemożliwił także powstanie sprawnej większości parlamentarnej zdolnej do rządzenia, ale politycznie wrogiej prezydentowi. Dzięki takiemu manewrowi Macron uzyskał efekt zanarchizowanego parlamentu, a tym samym pozbawił siły wszystkich swoich wrogów, zyskując możliwość prowadzenia gry pomiędzy skłóconymi frakcjami. Przyszłość dopiero pokaże, czy ten cyniczny manewr faktycznie umożliwi prezydentowi choćby jako tako efektywne rządzenie krajem.

Jordan Bardella, nieudany kandydat prawicy na premiera, jeszcze podczas wieczoru wyborczego nazwał sojusz macronistów z lewicą „sojuszem hańby”. Z perspektywy najsilniejszej dziś we Francji partii, która mimo to

paradoksalnie przegrała wybory, taka opinia nie może dziwić. Jednak ciekawsze w tym sojuszu jest to, iż polityczne zamiary obozu Macrona oraz sprzymierzonego z nim *de facto* lewicowego NFP to w zasadzie ogień i woda. Warto zresztą zajrzeć do uzgodnionego przed wyborami wspólnego manifestu programowego „zbuntowanych”, komunistów, socjalistów i zielonych, bo prawdę mówiąc po przełomowym 1989 r. nikt w Europie nie wygrał jeszcze wyborów z programem tak „lewackim” ideologicznie, a populistycznym społecznie. Gdyby sławne „żółte kamizelki”, które przez długi czas podpały ulice francuskich miast, tworzyły swój program wyborczy, byłby on pewnie odzwierciedleniem tego, co chce teraz zrobić zwycięska francuska lewica. A jej lider, skrajny populistą Mélenchon, mówi, iż „woła ludu francuskiego tym razem musi zostać wypełniona”.

PROGRAM, KTÓRY WYGRAŁ WYBORY

Powiedzmy zatem w punktach to, co planują we Francji partie Nowego Frontu Ludowego, czyli obozu Mélenchona. *Primo* – chcą „godnego przyjęcia imigrantów”, uchylecia ograniczeń azylowych i stworzenia rządowej agencji, która będzie ściągać do Francji imigrantów ze szlaków morskich i lądowych. Co więcej, ma zostać otwarta także specjalna ścieżka „przesiedleń klimatycznych” dla ludzi zagrożonych w Azji i Afryce ociepleniem klimatu. *Secundo* – chcą aresztowania premiera Izraela i obłożenia tego kraju sankcjami, oraz przekształcenia dyplomacji francuskiej w „służbę na rzecz feminizmu”. *Tertio* – chcą 14-skalowego podatku dochodowego, podniesienia płac do co najmniej 1,6 tys. euro oraz regulowania przez państwo cen żywności i czynszów. *Quarto* – chcą likwidacji selekcji w dostępie do uniwersytetów, tak by studiować mógł każdy, bez względu na intelekt. Chcą także wielkich wydatków państwowych na sztukę i kulturę, gdyż ta ma być odtąd „w służbie społecznej eman-

cypacji”, oraz nieograniczonego prawa do zmiany płci przez każdego. *Quinto* – chcą ustanowienia 60 lat jako powszechnego wieku emerytalnego. I, co zdało mi się szczególnie ciekawe, partie skupione w NFP planują także wydanie prawa wstrzymującego budowy dużych dróg oraz ograniczającego komunikację samochodową.

Warto pamiętać, iż to ten program wygrał właśnie francuskie wybory. Tymczasem Macron, nazywany we Francji „prezydentem bogaczy”, obniżył podatki dla biznesu, podniósł wiek emerytalny, ograniczył dostęp do zasiłków dla bezrobotnych, niemal zlikwidował dodatki mieszkaniowe dla ubogich i zminimalizował rolę związków zawodowych. Nic dziwnego, że teraz centrale związkowe z tradycyjnie komunistyczną CGT na czele formułują „uroczyste apele” do prezydenta, aby „uszanował wolę ludu francuskiego” i oddał nowy rząd Zbuntowanej Francji. Jest w nich jakaś nadzwyczajna naiwność francuskiej lewicy, która najwyraźniej serio potraktowała sojusz wyborczy z Macronem przeciw Le Pen.

Ale dopiero gdy zestawi się wyrażenie te dwie, tak sprzeczne nawzajem, wizje urzędzenia Francji, wyraźnie widać, jak bardzo cyniczny był to manewr ze strony Macrona. I jak wiele rozczarowań czeka jeszcze teraz Francuzów – zarówno tych, którzy głosowali na obóz Marine Le Pen, jak i na ultrapostępowy front Jean-Luca Mélenchona.

RYZYKOWNA GRA PREZYDENTA

Do czasu zebrania się w czwartek nowego Zgromadzenia Narodowego Macron czeka na to, co nazwał „ustrukturyzowaniem się” parlamentu. Macroniści utracili aż 78 mandatów w stosunku do wyborów 2022 r., arytmetycznie są zatem głównym przegranym. Ale arytmetyka niekoniecznie musi iść w parze z polityką. Pod zawiliwym hasłem „ustrukturyzowania się” parlamentu kryje się rzecz jasna zuchwały plan Macrona, aby rozbić Nowy Front Ludowy, zmarginalizować

Mélenchona i udowodnić, że mimo strat, jakich doznał obóz prezydencki, to nadal on będzie trzymać władzę. Dotychczasowy rząd premiera Gabriela Attala i tak nie miał parlamentarnej większości, więc zapewne również przyszły nowy gabinet nie będzie się istotnie różnił w tej mierze. Faktyczna władza wykonawcza w kluczowych materiach (np. gdy idzie o najważniejsze nominacje na funkcje publiczne)

Zepchnięcie prawicy do opozycji stało się możliwe dzięki francuskiemu systemowi wyborczemu, umożliwiającemu przed drugą turą układy pomiędzy słabszymi, aby wspólnie pokonać najsilniejszego

spoczywa w rękach nieodwoływalnego prezydenta. A już wcześniej Macron używał sławetnego art. 49 ust. 3 gaulistowskiej konstytucji, pozwalającego przyjmować ustawy bez głosowania, o ile nie ma wniosku o wotum nieufności dla rządu.

To chyba najciekawsze dziś w Paryżu pytanie polityczne – czy taka ryzykowna gra uda się Macronowi na dłuższą metę? Wymagałaby ona bowiem nieustannego działania rządu na przekór ogromnej większości Francuzów, którzy *en masse* oddali głosy albo na radykalną populistyczną lewicę, albo na twardą narodową prawicę. Jak również wbrew przygniatającej większości parlamentu, który w tej kadencji może nie mieć już żadnych zahamowań we wspólnym obalaniu przez Le Pen i Mélenchona mianowanych przez Macrona premierów, o ile ci będą próbować stanowić prawa w trybie konstytucyjnego „stanu wyjątkowego” z art. 49 ust. 3. Prezydent, który już dziś jest nienawidzony przez większość

Francuzów, działając w taki sposób, wywołać może tylko uliczną rewoltę na skalę, jakiej Francja od dawna nie widziała. Czy jednak Macron, który sam doprowadził francuską politykę do takiego punktu, ma w ogóle jakąś alternatywę?

Prezydent uznał, że jego prawdziwym i niebezpiecznym wrogiem jest obóz narodowej prawicy. Dlatego zrobił wszystko, aby nie dopuścić do przejścia władzy przez Marine Le Pen i Jordana Bardellę. Skala politycznej hysterii, która opanowała Paryż pomiędzy pierwszą a drugą turą wyborczą, jest trudna do wyobrażenia nawet dla nas w Polsce, a zdążyliśmy się przyzwyczaić do historycznych kampanii pomiędzy PiS i PO. Ale Macron poszedł dalej – obwieścił, iż zwycięstwo prawicy będzie wezwaniem do rzeczywistej wojny domowej we Francji, a przed drugą turą jego rząd zmobilizował potężne siły policyjne i militarne, jak gdyby owa wojna miała wybuchnąć lada dzień.

Paradoks postawy Macrona polega na tym, że w zestawieniu z komunistycznymi fanatykami z NFP francuscy endecy jawią się jako partia racjonalna i umiarkowana, twarda ideologicznie w zasadzie tylko w jednym punkcie: powstrzymania afrozjatyckiej imigracji. Ale zarazem prezydent musiał zdawać sobie sprawę, że rząd w rękach Marine Le Pen i Jordana Bardelli oznacza koniec jego bonapartystycznego stylu panowania i konstrukcję nowej, silnej władzy, spychającej go na margines polityki.

Zuchwały manewr Macrona polega właśnie na tym, że wybrał on brutalną konfrontację z prawicą za wszelką cenę, uznając, że populistyczni goście od Mélenchona są nędznym przeciwnikiem, którego będzie można podzielić i pokonać. W praktyce prezydent zastosował zatem maksymę właściwą nie tylko francuskim postliberałom, wedle której dla zatrzymania prawicy należy się sprzymierzyć z diabłem. Prawicę daje się bowiem powstrzymać tylko siłą, a diabła można potem jakoś ograć.

Francuski caudillo

„Nowy Front Ludowy musi rządzić” – uważa lider Niepokornej Francji Jean-Luc Mélenchon [na fot.] po zwycięstwie lewicowego bloku w drugiej turze wyborów parlamentarnych. Dla Francji rządy skrajnej lewicy i jej charyzmatycznego przywódcy, który uważa się za nadsekwanańską wersję Cháveza i Castro, nie byłyby jednak dobrą wiadomością



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Większość [Francuzów] podjęła inną decyzję w sprawie kraju. Odtąd należy bezwzględnie szanować wolę narodu. Porażka prezydenta republiki i jego koalicji została potwierdzona. Prezydent musi się ugiąć przed tą porażką i przyznać się do niej, nie próbując jej zapobiec jakimikolwiek środkami. Premier Gabriel Attal musi odejść” – tak lider Niepokornej Francji (La France Insoumise – LFI) Jean-Luc Mélenchon skomentował wynik drugiej tury wyborów parlamentarnych nad Sekwaną. Nowy Front Ludowy (NFP) – koalicja partii lewicowych, która wyszła zwycięsko z plebiscytu, jest jego zdaniem „gotowa rządzić”. „Jeszcze tego lata” może zrealizować główne punkty swojego programu: cofnięcie reformy emerytalnej Emmanuela Macrona oraz podwyżkę pensji minimalnej. „Kompromisów w tej sprawie nie będzie” – dodał Mélenchon.

Ta bezkompromisowość to jedna z cech wyróżniających lewicowego populistę i byłego trockistę, który swoje zwycięstwo przy urnach świętował, intonując pieśń komunistycznego piosenkarza lat 60. i 70. Jeana Ferrata.

PRZECIW BOGATYM

Mélenchon chce wreszcie rządzić. Podczas wyborów prezydenckich dwa lata temu wyładował na trzecim miejscu i nie dostał się do drugiej tury, którą rozstrzygnęli między sobą Macron i Marine Le Pen. On autorytarny, demagogiczny, ale kulturalny trybun ludowy, najgłośniejszy krzykacz w narodzie, od pół wieku w polityce, wygłaszający płomienne przemówienia i inspirujący masy wierzy, że zasługuje na coś więcej niż wieczna opozycja.

Według niego NFP jako jedyny przedstawił w wyborach szczegółowy program polityczny zawierający propozycje gospodarczych reform, które zyskały aprobatę większości wyborców, a według szacunków ekonomistów kosztowałyby zadłużone francuskie państwo dodatkowe 289 mld euro. Mélenchon chce sfinansować swoje reformy z „kieszeni bogatych”, bo nimi gardzi. Podczas jednego z wywiadów lata temu zaznaczył, że „akumulacja pieniędzy jest niemoralna”, a „bogaci są odpowiedzialni za nieszczęście biednych”. Fakt, że miliarder Bernard Arnault, właściciel koncernu LVMH, został w kwietniu 2023 r. uznany przez magazyn „Forbes” za najbogatszego człowieka świata, określił jako „największą obrazę”. Dla Francuzów.

On sam nie jest miliarderem. Z deklaracji majątkowej, którą złożył w toku kampanii prezydenckiej dwa lata temu, wynika, że posiada nieruchomości o wartości 1,2 mln euro oraz „nieco ponad 90 tys. euro” oszczędności. W luk-



susowej modzie wytwarzanej przez koncern LVMH też nie gustuje. Były europoseł ma w swojej garderobie praktycznie wyłącznie białe koszule, które kupuje w hurtowni specjalizującej się w obsłudze hoteli. Do nich przypina mały czerwony trójkąt, symbol komunistycznej Résistance w czasie niemieckiej okupacji.

STARY TROCKISTA

Mélenchon urodził się w 1951 r. jako syn nauczycielki i pracownika poczty w Tangerze w kolonialnym Maroku i ma hiszpańskie korzenie. Karierę polityczną rozpoczął w wieku 17 lat w Międzynarodowej Organizacji Komunistycznej (OCI), trockistowskiego ramienia Partii Komunistycznej, który się od niej odłączył w 1952 r...

Uczestniczył w rewolcie studenckiej lat 1968–1969 pod pseudonimem „Santerre” i w przeciwieństwie do wielu towarzyszy, którzy wyładowali później w politycznym mainstreamie, nigdy się nie wyleczył z radykalizmu. W połowie lat 70. wstąpił do Partii Socjalistycznej. Przez lata należał do zwolenników prezydenta Mitterranda, był merem,

senatorem, nawet ministrem, ale jednocześnie stale gardził „miałkami” socjalistami, jego zdaniem zbyt przybliżającymi się do centrum. W 2008 r. z nimi zrywa, po porażce referendum ws. konstytucji europejskiej i nieudanych dla lewicy wyborach prezydenckich 2007 r., w których zwycięża Nicolas Sarkozy. Mélenchon czuje, że ma misję: uratować lewicę. Zakłada więc własną partię (Partia Lewicy), zostaje europoseł i po raz pierwszy kandyduje w 2012 r. na prezydenta, z poparciem komunistów. Ci go jednak rozczarowują – jego zdaniem podobnie jak socjaliści nie mają „nic do zaoferowania” Francuzom.

Tak w 2016 r. powstaje Francja Niepokorna, na wiecach występuje jego hologram i mówi o „obywatelskiej rewolucji”, oddolnym przewrocie, ale także o potędze morskiej Francji, sztucznej inteligencji i podboju kosmosu. Na pytanie, dlaczego zajął się polityką, odpowiada filozoficznie: „Polityka to teatr cieni złożony z karykatur, w którym ja odgrywam rolę czarnego charakteru”.

ULUBIENIEC MUŻULMANÓW

Nie pasuje to do wizerunku polityka, który uważa się za skromnego trybuna ludowego, rewolucjonistę z misją, chcącego obalić „monarchię prezydencką”, czyli obecny system polityczny wynikający z konstytucji napisanej 60 lat temu przez Michela Debrégo dla gen. Charles’a de Gaulle’a i zawarty w nim „elitaryzm i autorytaryzm”. Marzy mu się VI Republika z planową gospodarką, regulacją cen i „bardziej sprawiedliwą” redystrybucją dóbr, legalizacją nielegalnych imigrantów, nacjonalizacją koncernów, kreacją statusu „uchodźcy klimatycznego” oraz wyjściem Francji z NATO na rzecz alternatywnych „sojuszy antyglobalistycznych”.

Mélenchon podziwia południowo-amerykańskich rewolucjonistów. Gdy w 2016 r. umiera Fidel Castro, oddaje mu cześć pod pomnikiem Simóna Bolívara w Paryżu. Podobnie w przypadku Hugo Cháveza, lidera Wenezueli. „Plakałem, gdy umarł” – mówił Mélenchon w jednym z wywiadów. Dla niego Chávez

utożsamiał „nadzieję nowego socjalizmu”. W 2012 r. odwiedził go nawet w Caracas i wrócił zachwycony, bo Chávez uznał jego, Mélenchona, za „inspirację”. Od tego czasu wzmocnił swój antyamerykanizm i zmienił, według ekspert ds. lewicy Elizabeth Burgos, nawet swój sposób mówienia, wzorując się na populizmie latynoskim, co czyni z niego coś w rodzaju „francuskiego caudillo”.

Elity to dla niego „oligarchia” i „kasta”. Wyborców szuka na imigranckich przedmieściach, gdzie mówi o „islamofobii” i „przemocy policyjnej”, przez co zarzuca mu się islamogoszizm i klientelizm. Podczas jednego z wieców w toku kampanii parlamentarnej w marsylskim getcie określił tamtejszych mieszkań-

Mélenchonowi marzy się VI Republika z planową gospodarką, regulacją cen, legalizacją nielegalnych imigrantów czy wyjściem Francji z NATO

ców jako „nową Francję”. Francja Niepokorna jednoznacznie poparła Palestynę w konflikcie z Izraelem, łącznie z dyskursem otwarcie antyizraelskim i antysemitycznym. Jeśli wierzyć badaniom, Mélenchonowi to się opłaca. W 2022 r. w pierwszej turze wyborów prezydenckich 69 proc. mużulmanów głosowało na niego. W wyborach europejskich 9 maja 62 proc. Podczas wyborów parlamentarnych Francuska Rada Kultu Mużulmańskiego (CFCM) otwarcie nawoływała wiernych do głosowania na lewicę.

PUTIN ZŁY, AMERYKA GORSZA

Jedną z większych kontrowersji wokół Mélenchona jest jego stanowisko wobec wojny na Ukrainie. Jeszcze przed rosyjską agresją w 2021 r. mówił

o „braku sensu” sankcji przeciwko Rosji, nazwał wykluczenie Moskwy i Pekinu z Paryskiego Forum dla Pokoju „dziecinny” i przekonywał, że Rosja nie jest wrogiem Francji, ale jej „partnerem”. To Amerykanie mieli oszukać Rosję, rozszerzając NATO na wschód i instalując baterie przeciwrakietowe w Polsce, a teraz prowokują ją perspektywami unijnej i natowskiej akcesji Ukrainy. Dlaczego? „Bo Europejczycy chcą mieć tanią siłę roboczą, podchodząc z kraju, gdzie średnia pensja wynosi 135 euro”. Jeszcze wcześniej popierał aneksję Krymu przez Rosję oraz rosyjskie działania w Syrii, skarżąc się na amerykański imperializm na Bliskim Wschodzie.

Zapytany o ewentualny interes Francji w posiadaniu Rosji jako sojusznika, Mélenchon odpowiedział, że „można go znaleźć w podręcznikach do historii”. „Za każdym razem, gdy się na nich złościliśmy, kończyło się to dla nas bardzo źle, za każdym razem, gdy dobrze się z nimi dogadywaliśmy, szło nam całkiem dobrze” – przekonywał.

Od chwili wybuchu pełnoskalowej wojny Mélenchon nieco zrewidował swoje stanowisko, nazywając Putina „dyktatorem” i nawołując do pokoju. Jednak ta wolta nie jest do końca przekonująca. Jeszcze 24 lutego polityk, krytykując Rosję za „bezprecedensową agresję i naruszenie integralności terytorialnej Ukrainy”, głównie martwił się, że pociągnie to za sobą „aneksję Ukrainy przez NATO”. Później powtórzył, że sankcje przeciwko Rosji są „bez sensu”, a Francja w tym konflikcie powinna pozostać „niezaangażowana”. Putin może i jest zły, ale największymi zagrożeniami dla Francji są NATO i amerykański imperializm.

Mélenchon nawet gdy krytykuje Putina, dalej marzy o świecie wielobiegunowym, postamerykańskim. Wszystko, co potencjalnie może osłabić Waszyngton, jest więc dobre: Rosja, Chiny. Mélenchon raz za razem stawiał po stronie Pekinu wobec Tybetu, Tajwanu i Ujgurów. Powinni o tym pamiętać ci, którzy nad Sekwaną, w Europie i w Polsce zachwycają się jego wyborczym zwycięstwem.

Prawy do lewego

Premier Czech Petr Fiala z ideowego chrześcijańsko-demokratycznego polityka przeistacza się w kolejnego bezobjarwowego konserwatystę



Petr Fiala, premier Czech



GRZEGORZ GÓRNY

Marek Španěl, jeden z najbogatszych ludzi w Czechach, właściciel m.in. tygodnika „Echo” i Radia Prostor, zamieścił niedawno na platformie X (d. Twitter) krótki manifest konserwatywny następującej treści: „Będziemy

walczyć. Tak, czas znów zacząć walczyć. Już nie przeciwko jednemu wrogowi, ale przeciwko tym, którzy zagrażają demokracji przez swoją głupotę, uprzedzenia ideologiczne, interesy finansowe, hipokryzję multikulturalizmu i fałszywą poprawność polityczną. Być może wiele osób nie widzi zagrożeń, może się o nich nawet w mediach nie mówi, a może kogoś interesuje tylko to, co będzie jutro i jak się będzie bawił. Ja jednak widzę niebezpieczeństwo i byłoby nieuczciwe, gdybym o tym nie mówił. Brońmy się przed tymi, którzy w subtelny sposób chcą odebrać naszą wolność życia, zanim będzie za późno. Wciąż jest czas i wciąż mamy w rękach odpowiednią broń: praworządność i demokratyczne decyzje. Nie pozwólmy wyrwać ich z naszych rąk. Jedyne, czego potrzebujemy, to odwaga i determinacja. I mówię poważnie: nawet gdyby była nas tylko garstka, nie poddamy się w tej walce. Ale nie będzie nas niewielu. Milcząca, normalna większość przyzwoitych ludzi w tym kraju prędzej czy później znów stanie za nami. Dość obłudy i głupoty. Podejdźmy do tego jeszcze raz, z pewnością siebie i zdrowym rozsądkiem. Jesteśmy częścią kontrrewolucji normalnych, przyzwoitych i pracowitych ludzi. Jesteśmy tu dla nich”.

Powyższy tekst wywołał liczne ataki w mediach społecznościowych. Wśród krytyków Španěla było szczególnie wielu sympatyków obecnego rządu, premiera Petra Fialy i jego prawicowej partii ODS. Milioner poczekał, aż przewali się największa fala złośliwości i potępień pod jego adresem, po czym ujawnił, że to nie on jest autorem wspomnianego manifestu. Zacytował jedynie fragment przemówienia programowego dzisiejszego premiera Czech, które ten wygłosił w 2014 r. na kongresie ODS.

Reakcja na żart medialnego magnata obnażyła intelektualne niedostatki jego krytyków, którzy, jak się okazało, piszą szybciej, niż myślą. Pokazała jednak przede wszystkim, jak daleką drogę przebył Petr Fiala w ciągu ostatnich 10 lat.

METAMORFOZA PARTII WŁADZY

Kiedy w 2021 r. został premierem, wydawało się, że państwo czeskie zyska wyrażne konserwatywne przywództwo. Pojawiła się też nadzieja na ściślejszą współpracę w ramach Grupy Wyszehradzkiej. A jednak nadeszło rozczarowanie. Jego kulminacją okazało się niedawne głosowanie nad paktem migracyjnym UE. Z solidarnego stanowiska V4 jako jedyna wyłamała się Praga. Dla wielu zagranicznych komentatorów stanowiło to spore zaskoczenie, ponieważ od 2015 r. władze Czech konsekwentnie sprzeciwiały się przymusowemu mechanizmowi kwotowej relokacji uchodźców. Ci, którzy na co dzień obserwują wydarzenia polityczne nad Wełtawą, nie byli jednak zdziwieni wolą Petra Fiali. Widzieli bowiem, jak jego partia stopniowo porzuca swe konserwatywne oblicze.

Oto kilka przykładów na ilustrację powyższej tezy. To ODS przedłożyła do ratyfikacji w parlamencie tzw. konwencję stambulską, która wprowadza do krajowego ustawodawstwa genderową agendę. Dokument udało się odrzucić głównie dzięki zdecydowanej postawie partii ANO Andreja Babiša, która należała wówczas w europarlamencie do międzynarodówki liberalów ALDE.

Ugrupowanie Fiali nie stało też po stronie definicji małżeństwa jako związku jednej kobiety i jednego mężczyzny. Co więcej, wymusiło zmianę kodeksu cywilnego w sposób, który otwiera furtkę nie tylko dla „małżeństw dla wszystkich”, lecz także macierzyństwa zastępczego. Poza tym ODS opowiada się za projektami upraszczającymi procedurę rozwodową, zwiększającymi i zaostrzającymi kontrolę państwa nad rodziną, ułatwiającymi wkraczanie ideologii do systemu oświaty czy promującymi parytety dla kobiet w zarządzaniu prywatnymi przedsiębiorstwami.

CZŁOWIEK PERMANENTNEGO KOMPROMISU

Zwolennicy premiera tłumaczą jego postawę tym, że stoi on na czele niezwykle zróżnicowanego ideowo obozu rządowego. Składają się nań dwie koalicje, złożone łącznie z pięciu ugrupowań. Pierwsza to SPOLU (Razem), do której należą Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS), chadecko-ludowa unia KDU-ČSL oraz liberalno-konserwatywna formacja TOP 09. Drugi blok to PirSTAN, tworzony przez libertariańsko-lewicową Czeską Partię Piratów oraz centrowy i samorządowy ruch Burmistrzowie i Niezależni (STAN). Cała ta pstrokata mozaika, której jedynym spoiwem jest niedopuszczenie do władzy Babiša, dysponuje razem nieznaczną większością 108 mandatów w 200-osobowej Izbie Poselskiej.

Sam Fiala przedstawia się jako zręczny mediator, który jest w stanie godzić odmienne podmioty w jednym organizmie politycznym. Wiadomo, że aby utrzymać jedność tak zróżnicowanej koalicji, konieczne są kompromisy.

Czescy konserwatyści z coraz większym rozgoryczeniem zauważają jednak, że wszystkie kompromisy w ramach obozu władzy dokonują się kosztem prawicowego programu ODS, która legitymizuje projekty lewicy. Właściwie nie było ani jednego sporu światopoglądowego, kulturowego czy obyczajowego, w którym partia Fiali zdecydowanie stanęłaby po stronie konserwatywnych wartości, choć jest największym ugrupowaniem obozu rządowego i ma najlepszą pozycję prze-

targową. Jej koalicyjni partnerzy nie wykazują jednak podobnych skrupułów, forsując zdecydowanie swe postulaty ideowe.

Wydaje się, że Fiala padł ofiarą rozumienia swojej roli jako premiera. Nadrzędnym celem, któremu wszystko podporządkował, stało się istnienie koalicji. Aby go osiągnąć, jest gotów pójść na daleko idące ustępstwa. Zdaje sobie sprawę, że większość, którą dysponuje w parlamencie, jest krucha, dlatego nie może zrazić żadnego z partnerów. Nie chce też, aby odpowiedzialność za ewentualny upadek rządu spadła na niego. Unika więc sytuacji, w których to on mógłby się stać przyczyną wewnętrzkoalicyjnych sporów. Mało tego – daje sprzymierzonym partiom znacznie więcej, niż wynika to z parlamentarnej arytmetyki. Toleruje np. na stanowisku pełnomocnika rządu ds. praw człowieka Klárę Šimáčkovą Laurenčíkovą, która ostatnio wslawiła się tym, że chciała ocenzurować książkę dziennikarki „Wall Street Journal” Abigail Shrier pt. „Nieodwracalna krzywdą” tylko dlatego, że wspomniana publikacja opisuje szkody wyrządzane dzieciom przez operacje zmiany płci. Jedną z twarzy rządu Fiali jest więc lewicowa działaczka biorąca udział w wojnie kulturowej po stronie środowisk LGBT+.

W ostatnim czasie wszyscy tak bardzo przyzwyczaili się do bezobjawowego konserwatyzmu premiera, że gdy Marek Španěl przypomniał jego przemówienie sprzed 10 lat, nikomu nie przyszło do głowy, że takie słowa mogły paść z ust Fiali. Lider ODS stał się więc kolejnym politykiem europejskiej prawicy, który w opozycji demonstrował przywiązanie do chrześcijańskich zasad, by po objęciu rządów porzucić dotychczasowe pryncypia w imię „wyższych celów”.

ZIMNA WOJNA Z ROSJĄ

Jedynym zaskoczeniem in plus obecnego rządu w Pradze jest jego jednoznacznie antyrosyjskie i proukraińskie stanowisko. To zdziwienie można jednak rozciągnąć na zdecydowaną większość czeskiego społeczeństwa. Jeszcze kilkanaście lat temu bardzo żywe były w nim tendencje promoskiewskie, mające swe źródło w XIX-wiecznym panslawizmie. W ostatnim czasie te nastroje całkowicie się jednak odwróciły.

Początek owej zmiany datuje się na 2014 r., gdy doszło do rosyjskiej agresji na Ukrainę. W czeskiej publicystyce pojawiło się wówczas porównanie rewizjonistycznej polityki Putina z rewanżystowską polityką Hitlera, która doprowadziła do zlikwidowania Czechosłowacji.

W tym samym roku doszło do eksplozji dwóch magazynów amunicji w miejscowości Vrbětice na południu Czech. Zginęły wówczas dwie osoby, a sąsiednie wsie trzeba było ewakuować. W kwietniu 2021 r. ogłoszono wyniki dochodzenia w tej sprawie. Według śledczych były to akty terrorystyczne, za którymi stał rosyjski wywiad wojskowy GRU. Czeskim służbom specjalnym BIS udało się zidentyfikować dwóch sprawców, którymi byli agenci posługujący się fałszywymi paszportami z Ukrainy i Tadżykistanu. Okazało się, że byli to ci sami członkowie komanda zabójców, którzy w 2018 r. w Salisbury w Anglii próbowali otruć Siergieja Skripala. Po ujawnieniu tych informacji rząd czeski wydał z Pragi 18 rosyjskich dyplomatów, a między obydwojema krajami nastąpiła dyplomatyczna zima, która trwa do dziś. To już jednak nie jest zasługa Petra Fiali.

Bez zgody będzie gwałt

Sejm uchwalił nową definicję gwałtu. Czy nowe prawo rzeczywiście chroni Polki? A może to jednak lewicowy „populizm karny”, który sprawi, że mężczyźni staną się ofiarami lawiny fałszywych oskarżeń? Przyjrzyjmy się zatem znowelizowanym zapisom



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Nie można pozwolić, aby kolejny niełatwy temat w debacie, tym razem gwałtu i zmiany jego definicji, zawłaszczyły feministki, które wszędzie widzą spiski „heteropatriarchatu” i tropią „maczystowską przemoc” nawet w szarmanckich gestach ostatnich dżentelmenów. Moda na wojujący feminizm i jego szaleń-

stwa przenika do nas z Zachodu jeszcze szybciej niż nielegalni imigranci. Mnie jako konserwatystce zależy na tym, aby różne dziewczuchy i „wściekle macice” nie wypowiadały się w moim imieniu, zwłaszcza gdy temat jest delikatny i bolesny.

Podobnie nie powinniśmy łatwo przystać na to, że na prawicy najgłośniej w sprawie nowej definicji gwałtu od lat wypowiada się redaktor Łukasz Warzecha, i to nawet jeśli jego wyobrażenia w nadzwyczajny sposób potrafi przeczuć rozmiar traumy, którą przeżywa zgwałcona kobieta. Na szczęście dla mnie to nieznane uczucie, ale z całą pewnością wielokrotnie miałam do czynienia z osobnikami, którzy usiło-

wali wymusić na mnie jakiś rodzaj uległości czy poddania się ich „zalotom” (m.in. z tego powodu straciłam pracę w teatrze). Jako kobieta byłam i jestem narażona na nieodpowiednie traktowanie ze strony niektórych mężczyzn, a już zwłaszcza jest to obawa uzasadniona w obliczu tego, co nas czeka: napływu mas imigrantów, którzy nie rozumieją naszych kodów kulturowych i nie zamierzają ich szanować. Jak najlepsza ochrona prawna polskich kobiet nie leży jedynie w interesie ich samych. Każdy, kto kocha żonę, córkę, siostrę, mamę, zwyczajnie powinien zadbać o to, aby litera prawa odstraszala potencjalnych agresorów, a jeśli już dojdzie do tragedii – by winny po-



niósł karę ze skutkiem odstrasżającym dla innych.

Empatii wymaga jednak także druga strona potencjalnego sporu, o czym feministki nie chcą nawet wspominać. Jako mama dwóch dorosłych synów jestem równocześnie ostatnią osobą patrzącą obojętnie na wadliwe zapisy kodeksu karnego, które za sprawą fałszywego oskarżenia, zemsty kobiety, mogłyby złamać ich życie. W końcu wszyscy obserwowaliśmy szaleńczy pochód ruchu #MeToo, uderzający zarówno w winnych, jak i niewinnych mężczyzn. Dlatego mam nadzieję, że jestem właściwą osobą, aby obiektywnie ocenić intencje i konsekwencje wprowadzenia w życie tej ustawy.

ZAPROJEKTOWANA PRZEMOC

Jednak tym, co zadziwia przy okazji debaty o gwałcie, jest cisza wokół największej obawy Polek. Przeraża, iż przemoc seksualna została już niejako zaprojektowana i wpisana przez rząd Donalda Tuska w los Polek pod perfidnymi hasłami UE „uwspólnotowienia wyzwań”. To nie jest „rasizm” zwracać uwagę, że przyjmowanie imigrantów z obszarów obcych nam kulturowo oznacza niemal automatycznie wzrost agresji seksualnej na ulicach miast. To czysta arytmetyka wynikająca z raportów policyjnych Europy Zachodniej, z której należy wyciągać wnioski.

Co ciekawe, gdy Sejm uchwalił nowelizację prawa, wiele osób zwróciło się do mnie z pytaniem, czy to już kopia słynnej hiszpańskiej ustawy „Solo sí es sí” („Tylko tak oznacza tak”) regulującej zbliżenie płciowe z rygiem nieznanym dotąd w praktyce legislacyjnej. W Hiszpanii zgoda na seks nie może być domyślna, a brak sprzeciwu nią nie jest, zatem kontakt seksualny bez wyraźnej zgody uznaje się za przestępstwo. Czy tak będzie w Polsce?

Dotychczasowa definicja gwałtu, którą zastąpiła ta znowelizowana formuła, pochodziła jeszcze z 1932 r., a art. 197 par. 1 kk brzmiał: „Kto przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem doprowadza inną osobę do obcowania płciowego [...] podlega karze pozbawienia wolności od 2 do 12 lat”. Te zapisy sprzed niemal wieku rzeczywiście mogą się wydać niewystarczające, choć największą bolączką dla architektów nowego prawa, czyli Lewicy, wydawał się nie tyle fakt chronienia kobiety, ile potrzeba dostosowania przepisów do treści tzw. konwencji stambulskiej.

IDEOLOGICZNA KONWENCJA STAMBULSKA

Konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet (tzw. konwencja stambulska) powstała w 2011 r., a dokument w założeniu miał wyeliminować przemoc wobec kobiet, w tym dziewcząt poniżej 18. roku życia. Tym samym za przestępstwo zostały uznane m.in. przemoc psychiczna, fizyczna i seksualna, okaleczanie żeń-

skich narządów płciowych, przymusowe małżeństwa, przymusowa aborcja i sterylizacja. Wszystko to godne podziwu, ale jednocześnie konwencja w preambule „uznaje strukturalny charakter przemocy wobec kobiet za przemoc ze względu na płeć oraz fakt, że przemoc wobec kobiet stanowi jeden z podstawowych mechanizmów społecznych, za pomocą którego kobiety są spychane na podległą wobec mężczyzn pozycję”. Owe podkreślanie „przemocy ze względu na płeć” czyni nas, kobiety, z chwilą urodzenia – ofiarami, a mężczyzn – potencjalnymi agresorami przez sam fakt posiadania chromosomu Y, na co żaden rozsądny człowiek nie może przystać.

Ludzie nie popełniają automatycznie przestępstw „ze względu na płeć”, ale ze względu na wolę zadania krzywdy lub brak kontroli nad sobą. Tymczasem mec. Danuta Wawrowska, współautorka projektu nowelizacji kodeksu karnego dotyczącego gwałtu, udziela wywiadów, w których podnosi hasło „przemocy motywowanej płcią”, choć jak jeszcze w 2020 r. wyjaśniał ówczesny Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar, „konwencja zawiera rozwiązania, których Polska brakuje”, a także podtrzymywał, że polskie prawo „zakazuje dyskryminacji ze względu na płeć”.

W krajach takich jak Hiszpania koncept „przemocy maczystowskiej” wpisanej implícite w płeć zrobił prawdziwą karierę, stał się obowiązujący i podyktował słynną już ustawę o „zapobieganiu przemocy maczystowskiej”, która doprowadziła do prawdziwego polowania na mężczyzn i dała nadzwyczajne przywileje kobietom (także tym składającym fałszywe zeznania), a dwa lata temu uchwalono równie wadliwą ustawę „Tylko tak oznacza tak”. U nas też sprawa zmierza w podobnym kierunku, ale w mojej opinii daje lepsze gwarancje obu stronom, choć niestety otwiera drzwi fałszywym oskarżeniom. W jak wielkim stopniu? Przekonamy się wkrótce.

PRZESUNIĘCIE CIĘŻARU DOWODU

Lewica i prawnicy uznali, że dotychczasowe zapisy uniemożliwiały dochodzenie sprawiedliwości wielu kobietom, które padły ofiarą przemocy, ale nie były

w stanie stawić fizycznego oporu agresorowi ani też dowieść potem przed sądem, że faktycznie walczyły o swoją nietykalskość cielesną. Zmuszanie kobiet-ofiar do poniżającej sytuacji, w której to one muszą udowodnić ciężar dowodu, jest jednocześnie zdobyczą zachodniej cywilizacji, która uznaje domniemanie niewinności oskarżonego. Przesunięcie odpowiedzialności udowodnienia gwałtu z kobiety na sprawcę jest tym, o co idzie faktyczny spór.

Muszę zatem przyznać, że zarówno ja, jak i miliony kobiet (także z prawicy) z nadzieją przyglądam się nowym przepisom, ale to dopiero praktyka sądowa pokaże, kto rzeczywiście zyska na tych regulacjach. Owszem, cieszy, że PiS potrafi wznieść się ponad „plemienne konflikty” i głosować za ustawą, która w założeniu ma lepiej chronić kobiety.

Zazwyczaj do gwałtu dochodzi w miejscu odosobnionym, pozostaje więc słowo przeciwko słowu, świadectwo kobiety przeciwko świadectwu mężczyzny. Niby więc udoskonalono instrument do penalizowania winnych, ale znów trzeba pamiętać, że w rękach zideologizowanej lewicy i przy dzisiejszych przemianach społecznych nowy przepis może się okazać bombą z opóźnionym zapłonem, która tak jak w Hiszpanii doprowadzi do wojny damsko-męskiej. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Znowelizowany przepis art. 197 Kodeksu karnego będzie brzmiał: „Kto doprowadza inną osobę do obcowania płciowego przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub w inny sposób mimo braku jej zgody, podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 15”.

POCZĄTEK POLOWANIA NA MĘŻCZYZN?

Mec. Wawrowska zachwala zmianę przepisu, przekonując: „w tej chwili wszystkie osoby, wobec których dotychczasowe postępowania były umarzane z powodu braku cech przestępstwa z art. 197 (bo nie dochodziło do zgwałcenia przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem) zostaną objęte penalizacją i to jest najważniejsze”, a jednocześnie

ciągle powtarza o priorytecie konwencji stambulskiej podpisanej przez prezydenta Bronisława Komorowskiego w 2014 r. wcielającej w życie koncept „przemocy ze względu na płeć”.

Mecenas dodaje: „W projekcie, którego jestem autorką, są cztery istotne elementy. Po pierwsze – znosi się domniemanie zgody, po drugie – wprowadza się świadomą i dobrowolną zgodę na seks, podnosi się dolną granicę kary z 2 do 3 lat [w efekcie w nowelizacji podniesiono nie dolną, ale górną granicę kary z 12 do 15 lat – red.], tym samym gwałt przestaje być występkiem, a staje się zbrodnią gwałtu”. Możemy więc uznać, że ta sama Lewica,

Architekci polskiego prawa mówią o „nadmiarowym lęku” mężczyzn obawiających się zemsty kobiet. Mylą się jednak, bo tak się może stać. Jak w Hiszpanii, gdzie kobieca wersja zdarzeń zawsze ma prymat. Wywołuje to z kolei mój protest – nie tylko jako

która zaprasza nielegalnych imigrantów, aby obniżyć poziom bezpieczeństwa, jednocześnie ostrzy literę prawa przeciwko potencjalnym gwałciicielom. Nie rozumiem więc, dlaczego redaktor Warzecha tak natrętnie przywołuje statystyki gwałtu sprzed lat lub przedstawia je jako zmanipulowane, gdy trzeba wziąć pod uwagę, że „idzie nowe”. Tak samo jak na Półwyspie Iberyjskim. To nie wychowany w tradycji chrześcijańskiej Hiszpan jest sprawcą gwałtów we własnym kraju, ale przede wszystkim imigrant z Maghrebu lub z Ameryki Łacińskiej. U nas będzie podobnie.

Niestety pułapką dla mężczyzn jest „zniesienie domniemanej zgody”, która w akcie intymnym nie jest i nie może być sformalizowana, bo dzieje się zazwyczaj

w splocie gestów spojrzeń i sferze całkowicie pozawerbalnej. Jest oczywiście przejawem schizofrenii, że Lewica wspiera „kulturę gwałtu”, legitymizuje absolutny permisywizm i emancypację od tradycyjnego kodu kulturowego i wartości chrześcijańskich, a jednocześnie usiłuje zakontraktować nawet akt miłosny między dwojgiem kochanków. Ten wspólny punkt ustawy polskiej i hiszpańskiej najlepiej wykpiła Cayetana Álvarez de Toledo (z Partii Ludowców), która podczas telewizyjnej debaty zwróciła się do współautorki projektu o koniecznej zgodzie z pytaniem: „A panie naprawdę wypowiadają zgodę: tak, tak, tak aż do końca stosunku?”. Spadły na nią za to gromy, choć jest polityczką mainstreamu.

Architekci polskiego prawa mówią o „nadmiarowym lęku” mężczyzn obawiających się zemsty kobiet. Mylą się jednak, bo tak się może stać. Jak w Hiszpanii, gdzie kobieca wersja zdarzeń zawsze ma prymat. Wywołuje to z kolei mój protest – nie tylko jako matki dwóch synów, lecz także jako kobiety doskonale świadomej mocy, w którą wyposażyla nas natura. Nie zgadzam się z przypisaną mi przez konwencję stambulską rolę ofiary. Mężczyzna jest silniejszy fizycznie, ale co do inteligencji emocjonalnej, to już my, kobiety, wiemy, jak precyzyjnie zadać ból słowem i upokorzyć. Tak, potrafimy snuć intrygi, wbijać szpilę w czuły punkt i nokautować samca

nawet bez użycia pazurków. Znamienne, że nawet Magdalena Czyż w ostatnim felietonie dla „Wyborczej” pt. „Współczesne kobiety o liberalno-lewicowych poglądach zapędzają same siebie w kozi róg” przyznaje, że motywem wielu kobiet jest chęć zemsty na mężczyznach i przypominają sobie one o gwałtach po latach.

Owszem, intryga to nie gwałt, który rujnuje ciało i psychikę, ale gdy kończy się więzieniem niewinnego, jest takim samym ludzkim dramatem. Jednak w obliczu nieszczęść związanych z nielegalną imigracją cieszę się, że PiS zagłosowało za znowelizowanymi przepisami, choć nie do końca znamy ich skutki. Będę się przypatrywać wszystkim ich konsekwencjom dla dobra nas, kobiet, i naszych mężczyzn.



Liczą się także miasta

Wybory samorządowe z kwietnia oraz unijne z czerwca 2024 r. potwierdzają dwie tezy – o tym, że PiS ma niskie poparcie w miastach i nie ma pomysłu, jak to zmienić. W rezultacie partia wygrała wybory europejskie tylko w jednym mieście wojewódzkim, czyli w Kielcach

W 1992 r. Bill Clinton wygrał kampanię wyborczą pod hasłem „Liczy się gospodarka”. Dziś można je zmodyfikować pod adresem PiS. Jeżeli partia chce wygrywać, powinna zrozumieć, że teraz w wyborach „Liczą się także miasta”. Zwłaszcza w stolicy trzeba mieć jedynkę, która potrafi być twarzą całej kampanii. Tymczasem tegoroczna warszawska lista PiS w wyborach europejskich osiągnęła wyniki dramatycznie gorsze niż pięć lat temu. Różnica w tym okręgu była tak duża, że przesądziła o spadku Prawa i Sprawiedliwości na drugie miejsce.

* * *

Podczas kampanii samorządowej i unijnej PiS słusznie postawiło na bezpośrednie spotkanie z elektoratem. Jednak żaden główny polityk tej partii nie próbował uczestniczyć w powszechnie dostępnych spotkaniach w miastach średnich i dużych. Wygląda na to, że Prawo i Sprawiedliwość nie ma pomysłu na to, jak odwojować miasta, jak rozmawiać z ich mieszkańcami. Właściwie politycy tej partii pogodzili się z tym, że w miastach mają dwadzieścia parę procent poparcia tzw. żelaznego elektoratu. Ignorując, zachowują się tak, jakby obrazili się na ich mieszkańców. A większość mieszkańców miast ignoruje PiS, bo język i hasła tego ugrupowania dotyczące rozwoju Polski uważają za obce lub nieaktualne.

Są dwie przyczyny, które powodują, że PiS utraciło wpływy w miastach – pozytywny od lat stereotyp Europy jako uosobienia dobrego świata zachodu oraz duża



JAN PARYS

ruchliwość społeczna, co wiąże się z nowymi postawami politycznymi. To bardzo złe wróży, bo ze względu na nieuchronny proces postępującej urbanizacji oznacza, że elektorat Platformy będzie ilościowo wzrastał, a Prawa i Sprawiedliwości się kurczył. Trzeba zdefiniować przyczyny tego zjawiska, czyli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego mieszkańcy miast w większości myślą tak, jak myślą. Za esencję tej nowej mentalności elektoratu miejskiego można uznać słowa Kidawy-Błońskiej wypowiedziane parę lat temu o Jarosławie Kaczyńskim. Powiedziała ona – i miał to być wielki zarzut – że prezes Prawa i Sprawiedliwości myśli tylko o Polsce, a świat i Europa go nie obchodzą. Te słowa pokazują, jak bardzo rozeszły się drogi PiS i nowego, bardzo licznego elektoratu ze średnich i dużych miast. W Polsce przez wiele lat wszystko, co zachodnie, kojarzyło się pozytywnie. Bo Zachód od pokoleń był symbolem wolności i bogactwa. Nic zatem dziwnego, że dziś wiele osób, zwłaszcza w miastach, czuje się bardziej częścią świata zachodniego niż polskiego. Tym samym odrzucają one program dotyczący jedynie własnego kraju. Bo postrzegają go jako ograniczenie ich własnych aspiracji do lepszego życia.

* * *

Ta sytuacja każe się zastanowić nad przyczynami słabych wyników PiS w miastach wojewódzkich i prezydenckich oraz wśród młodzieży. Konieczna jest pogłębiona diagnoza dotycząca uwarunkowań świadomości politycznej mieszkańców miast, określenie przyczyn ewolucji postaw elektoratu miejskiego.

Proces postępującej urbanizacji nie wyjaśnia w pełni przyczyn zmiany postaw politycznych. Uważam, że trzeba brać pod uwagę procesy transformacji gospodarczej, które wywołują ruchliwość społeczną i polegają na zmianie pozycji społecznej wielu ludzi, głównie w miastach. Ostatnie kilkanaście lat, a zwłaszcza ostatnie osiem władzy PiS, to czas wielkiego awansu społecznego milionów ludzi. U części z nich było to związane ze zmianami wykształcenia i zawodu, co z kolei umożliwiło im migrację przestrzenną, czyli przechodzenie ze wsi do miast powiatowych, z powiatowych do wojewódzkich, a z wojewódzkich do metropolii.

Oprócz tego wiele milionów ludzi zyskało awans finansowy, czyli radykalnie poprawiła się ich stopa życiowa – m.in. ze względu na nowe kwalifikacje lub staż pracy. Ważnym czynnikiem, który to umożliwiał, była dobra koniunktura gospodarcza. Wszystkie te osoby mieszkają tam, gdzie dawniej, lecz awansowały społecznie. Ostatnie lata to wielki sukces PiS prowadzącego politykę inicjującą procesy społeczne, dzięki którym miliony ludzi odniosło życiowy sukces i ma słusznie poczucie awansu. Jak wiemy, sukcesy

indywidualne nie przekładają się na postawy polityczne w takim sensie, by ludzie głosowali na ugrupowania, dzięki którym awansowali. Jest przeciwnie. Politycy inicjujący zmiany na rzecz awansu często tracą poparcie.

Uważam, że trzeba odróżniać znaczenie awansu w sensie socjologicznym od tego, czym jest na płaszczyźnie psychologicznej. Ktoś, kto awansuje, odrywa się od środowiska, w którym się urodził, wychowywał i przez jakiś czas żył. Staje się człowiekiem wykorzenionym psychologicznie i społecznie. Ze względu na awans szuka przynależności do grupy społecznej, w której jest nowy i obcy. Gwałtownie szuka wzorów zachowań właściwych dla nowej grupy, w której szuka uznania. Ten czas awansu to zatem życiowy sukces i jednocześnie, w sensie psychologicznym, czas niepewności, psychologicznego napięcia. Jednym słowem – wykorzenienie społeczne jest trudne dla wielu. Te kłopoty psychologiczne dotyczą u nas wielu milionów ludzi, których jako politycy spotykamy w miastach. To są głównie ludzie, którzy podlegali procesowi awansu.

* * *

Podstawową cechą mieszkańców miast jest odrzucenie dotychczasowych wzorów zachowań z rodzinnego domu i szukanie nowych. To oznacza również odrzucenie dotychczasowych postaw politycznych, które były typowe dla polskiego domu. Wynikały z przywiązania do patriotyzmu, polskości i wiary. Teraz są one negowane. Osoby, które awansowały, uważają wartości typowe dla pokolenia rodziców za nienowoczesne, za dowód zacofania.

Młodzi ludzie nagle chcą zmienić w swoim życiu wszystko – nie jedzą już żurku z kielbasą, lecz krewetki, na urlop nie chcą jeździć do Zakopanego, lecz w Alpy włoskie, nie wywieszają sztandarów biało-czerwonych, lecz flagi UE. I oczywiście nie zamierzają głosować tak jak ich rodzice. Nie chcą popierać ugrupowania, które stawia na wzmacnianie polskiej gospodarki, bo to były postawy ich rodziców, a oni dziś na siłę chcą być inni i czują się lepsi. Nie chcą być jak rodzice – związani z polskością i z wiarą.

Mieszkańcy miast czują się dziś Europejczykami, interesują ich globalne problemy, takie jak ochrona klimatu, pełna



wolność czy dobro ludzkości. Polska to dla nich lokalny, zacofany zaścianek, z którego z trudem udało im się wyrwać. Nie czują się Polakami, bo Polska to dla nich mały, biedny kraj, który na dodatek jest świadkiem ich kłopotów z tożsamością. Mają problem z adaptacją psychologiczną, gdyż awansowali i nie czują się pewnie w nowej grupie. Dla nich wzorcem i ideałem są postawy mieszkańców dzielnicy Wilanów w Warszawie, których aspiracje kształtują kolorowe miesięczniki popularyzujące nowe wzory konsumpcji, takie jak „Viva” czy „Gala”. Dlatego każde ugrupowanie odwołujące się tylko do interesu Polski, dobra kraju, spraw polskiej gospodarki jest przez nich odrzucane. Aby potwierdzić swój awans, chcą odrzucić przywiązanie do tego, co polskie i narodowe. Czują się już inni i lepsi niż środowisko, z którego wyszli.

Tak więc sytuacja PiS w miastach polega na tym, że jest ono ofiarą swojej skutecznej polityki społeczno-gospodarczej, która zapewniła milionom ludzi awans. To paradoksalne, ale proces ruchliwości społecznej zredukował pisowski elektorat w miastach. To już nie te czasy, kiedy prezydentem Warszawy został Lech Kaczyński.

Problem PiS z miastami, podobnie jak z elektoratem młodzieżowym, bierze się z tego, że partia nie potrafi odpowiadać na oczekiwania tych milionów osób. I nie

chodzi tu o ich potrzeby materialne, czyli np. o kwestie mieszkań czy komunikacji. Nie potrafimy zaspokoić ich potrzeb psychologicznych, tzn. akceptacji w nowych rolach, oraz ich politycznych aspiracji, nie zapewniamy im prestiżu, jakiego oczekują w związku z awansem.

Jaki prestiż zapewnia PiS, skoro walczy tylko o Polskę i jej interesy? Co Prawo i Sprawiedliwość zapewnia ludziom, których interesuje Europa i świat? Program wzmacniania polskiego państwa i polskiej gospodarki nie trafia już do tych milionów ludzi. Oni mają inne ambicje, są europejscy, postępowi. Co PiS proponuje młodzieży, którą cechuje głód wielkich idei i chęć naprawy świata? Partia słusznie krytykuje Unię Europejską, lecz nie potrafi przekonać, że ma pomysł na lepszą Europę i ważną w niej rolę Polski. Niestety PiS zmarnowało okazję, którą było przemówienie Mateusza Morawieckiego w Heidelbergu na temat przyszłości Unii Europejskiej. To były tezy, którymi można było trafić do zwolenników Unii.

* * *

Młode pokolenie żyjące w miastach jest wychowane w duchu skrajnego indywidualizmu. W związku z tym nie rozumie, że ich awans byłbyby niemożliwy, gdyby nie sprawna polityka polskiego państwa, które kreowało koniunkturę gospodarczą. Nie pojmuję tego, że indywidualna praco-



witość nie wystarczy, by nastąpił awans. PiS nie może się ustawiać w roli kogoś, kto neguje aspiracje milionów Polaków. Młodzieży trzeba wytłumaczyć, że jej aspiracje europejskie i globalne są dla nas ważne, że potrafimy je realizować. Prawo i Sprawiedliwość nie może się zatem kocarzyć z odrzucaniem UE czy polityki klimatycznej. Naszym krajowym problemom trzeba nadać europejski wymiar. Problemy globalne należy docenić i pokazać ich znaczenie dla Polski. Oczywiście to lider PiS powinien dać znak swoim wystąpieniem, że ugrupowanie zaczyna prowadzić nową politykę wobec Unii Europejskiej, bo partia nie może się kocarzyć z negacją UE.

Np. trzeba tłumaczyć, że:

- dla PiS wolność osobista i wolność w internecie to największy klejnot Europy,
- chcemy reformować Unię Europejską, bo to dobry projekt, lecz wymaga doskonalenia,
- będziemy zabiegać o silną pozycję Polski w strukturach demokratycznej Unii,
- Unia Europejska należy do obywateli, a to oznacza, że bez ich zgody w Unii nie wolno podejmować żadnych decyzji,
- jesteśmy za ochroną klimatu, dekarbonizacją energetyki, ale w sposób, który nie zmienia obecnego poziomu życia mieszkańców Europy,

- zdrowie kobiet jest dla nas najważniejsze i dlatego dopuszczamy aborcję tylko w określonych przypadkach,
- jesteśmy za migracją pod warunkiem, że jest legalna, bo każdy kraj członkowski Unii Europejskiej został zobowiązany traktatem o UE do tego, by chronić zewnętrzne granice Unii,
- jesteśmy demokratami i dlatego wspieramy decentralizację podejmowania decyzji w Unii,
- popieramy ekologiczne rolnictwo i rodzinne gospodarstwa rolne,
- jesteśmy za praworządnością i w związku z tym przestrzeganie konstytucji i orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego oraz traktatu o Unii Europejskiej uważamy za podstawowy obowiązek Komisji Europejskiej oraz obowiązek każdego Sejmu i każdego rządu.

Jednym słowem, trzeba odebrać Platformie Obywatelskiej monopol na reprezentowanie aspiracji milionów mieszkańców miast i milionów osób z młodego pokolenia, ludzi o nowych, europejskich aspiracjach, które wykraczają poza tradycyjny system polskich wartości. Młode pokolenie myśli bardziej globalnie, polskość i wiara nie są dla niego podstawowymi wartościami. Nie wystarczy się upierać, że PiS ma rację. Nie można negować aspiracji milionów ludzi. Trzeba przejąć reprezentowanie ich aspiracji, lecz nadać im nasz sens. Żadna siła polityczna nie wygrała, stojąc na stanowisku odrzucania postępu, czyli jedynie konserwowania tego, co jest. Musimy się zidentyfikować z tym, co miliony ludzi uważają za nowoczesne i konieczne.

Oczywiście nie można dokonać tego dosłownie, bo wówczas zaczęlibyśmy postępować jak mieszkańcy Wilanowa, których wybory polityczne są podobne do postaw lokatorów zakładu karnego w Białoleścu. Sztuka polega na tym, by przejąć hasła pokolenia buntowników przeciw polskość i skierować w takim kierunku, który nam odpowiada. Trzeba się uczyć elastyczności, bo to zapewnia sukces w trudnych sytuacjach.

Konieczny jest zróżnicowany przekaz Prawa i Sprawiedliwości, inny do żelaznego elektoratu, a inny do pokolenia, które odrzuciło polskość. Z tym że elektorat pisowski już mamy, a głosy mieszkańców miast i młodzieży, czyli

zwolenników UE, trzeba zdobyć. Hasło, że Tusk jest agentem, nie trafia do ludzi, dla których państwo polskie przestało być istotną wartością. Debaty o tym, komu bardziej służy premier – Rosji czy Niemcom – w ogóle ich nie interesują. Nie ma co mówić o podmiotowości Polski do tych, którzy uważają Unię Europejską za dobro wyższe niż własny kraj. Można z nimi rozmawiać o kierunku modernizacji, o tym, czy chcemy rozwoju kraju, czy nie, czy tylko imitujemy inne kraje jako państwo peryferyjne, czy w pewnych kwestiach chcemy być wzorem dla innych. Czy źródłem rozwoju jest nasz program i nasza praca, czy dotacje z UE.

Reasumując, PiS musi na nowo zdefiniować priorytety dla Polski. To ono ma być instancją, która dystrybuuje prestiż i definiuje, co jest postępek i nowoczesnością. Dziś potrzebujemy manifestacji na rzecz silnej Polski w realnie demokratycznej Europie. Mimo popełnianych ostatnio błędów, Tusk jest symbolem europejskości, czyli tego, co dobre i najważniejsze, dla milionów ludzi. Dziś potrzebujemy manifestacji na rzecz lepszej Europy, czyli takiej, która szanuje aspiracje każdego narodu.

Głosowanie na PiS ma zapewnić milionom mieszkańców polskich miast i młodemu pokoleniu poczucie udziału w wielkim projekcie naprawy Europy i świata. Zamiast konferencji „Polska wielki projekt” potrzebna jest konferencja „Europa to świetny projekt, lecz wymaga naprawy”. Nie warto tracić czasu na krytykę błędów Tuska i Platformy. Program na najbliższe lata można streścić krótko: tylko reformy Unii w kierunku większej wolności, proponowane przez PiS, są w stanie ukształtować bardziej demokratyczną Europę i zapewnić lepszą przyszłość każdemu z nas.

W polityce rację ma ten, kto prowadzi lepszą narrację, czyli taką, która przekonuje większą liczbę ludzi. PiS ma do wyboru albo czekać, aż błędy rządu Tuska staną się dla elektoratu w miastach bardziej znaczące niż niechęć do Prawa i Sprawiedliwości, albo dopasować program do oczekiwań mieszkańców miast i młodzieży. Wariant pierwszy to bierne i długie oczekiwanie na błędy politycznego przeciwnika. Wariant drugi wymaga elastyczności politycznej i polega na przejęciu inicjatywy przez PiS w ramach nowoczesnego chrześcijańskiego konserwatyzmu.

Opowiedz mi o Solidarności

Wydaliśmy mnóstwo zakazanych książek i czasopism, zlikwidowaliśmy wszystkie kłamstwa, które wmawiano dzieciom albo rozpowszechniano w radiu i telewizji. Żądaliśmy, żeby w radiu w niedzielę rano była msza święta i jest ona do dzisiaj. Po prostu poczuliśmy się nareszcie wolni

Kiedy i dlaczego powstała Solidarność? Jak najkrócej można ją opisać?

Solidarność to był wielki ruch narodowy w Polsce, który miał dużo wątków socjalistycznych, takich dawnych, bo pragnął równości ludzi, sprawiedliwości, szacunku dla każdego człowieka oraz wolności. Chodziło przede wszystkim o to, byśmy mogli być wolnym, niepodlegającym Związkowi Radzieckiemu państwem. To był ruch zarówno robotników, jak i pracowników, uczniów oraz studentów. Uczestniczyło w nim wiele milionów ludzi. Wydano 10 mln legitymacji, a liczyliśmy, że jest w nim łącznie ok. 30 mln osób, co było ogromną liczbą, zważywszy na to, że w tamtych czasach w Polsce żyło 35–36 mln ludzi. Było to dla nas 16 miesięcy wolności, kiedy czuliśmy się niepodległym krajem. Dobre określenie na ten ruch to: „Solidarność to była taka mała niepodległość”. Wymyślił to cudowny Boguś Studziński, adwokat. W dużej mierze odmówiliśmy współpracy z komunistyczną władzą i robiliśmy to, co chcieliśmy.

Jakie były zasługi i zdobycze Solidarności?

W moim środowisku zmieniliśmy wszystkie podręczniki szkolne, programy obowiązujące w szkołach, wiele rozwiązań prawnych, bardzo podwyższono pensje. Żądaliśmy wielu rzeczy, które w normalnym kraju ludzie robią sami, ale w Polsce wtedy wszystko to robiło państwo. Do tego wysyłano większość żywności do Związku Radzieckiego, przez co u nas ciągle jej brakowało. Do ZSRS wysyłano również inne rzeczy, bo najważniejsze było to, żeby oni mieli wszystko. Chcieliśmy mieć również takie święta, ja-

Pewna, dość już duża, dziewczynka w wieku szkolnym (ale z podstawówki) zapytała mnie ostatnio, czy byłam w Solidarności. Uczniowie mają wystawione stopnie na koniec roku, ale lekcje trwają i pani zadała im pracę – zrób wywiad z dziadkiem, babcią lub kimś starszym z rodziny, kto był w Solidarności. Pani opowiedziała dzieciom o tym trochę i razem układali pytania do wywiadu. Dziewczynka przyniosła mi te pytania. Nawet nie wie, co to znaczy magnetofon i po co on jest, skoro teraz nagrywa się na telefon. Usiadłyśmy sobie z konfiturką i opowiedziałam jej o Solidarności.

I wyszło nam to tak:



TERESA BOCHWIC

kie chcemy, bo wprawdzie w tamtych czasach wiara katolicka nie była zabroniona, ale wyśmiewano ją, a w szkołach uczono „nauko-

wego” sposobu postrzegania świata, który nie dopuszczał Boga. Dzięki Solidarności wprowadzono ograniczony czas pracy i większe wynagrodzenia, prawo do urlopu. Na początku to wszystko było w Polsce, ale potem coraz bardziej to ograniczano. Wydaliśmy mnóstwo zakazanych książek i czasopism, zlikwidowaliśmy wszystkie kłamstwa, które wmawiano dzieciom albo rozpowszechniano w radiu i telewizji. Żądaliśmy, żeby w radiu była msza święta w niedzielę rano i jest ona do dzisiaj. Po prostu poczuliśmy się nareszcie wolni.

A co było dla ciebie najważniejsze w Solidarności?

Dla mnie najważniejsze było poczucie wolności i tego, że mogę się zajmować tym, co najbardziej słuszne. Pisałam wiele artykułów, jeździłam w różne miejsca w naszym kraju i opisywałam, jak wygląda tam sytuacja, żeby ludzie wiedzieli, gdzie trzeba poprawić życie mieszkańców. Bardzo dużo ludzi się wtedy poznawało i wszyscy oni chcieli dobrej Polski dla wszystkich, takiej, w której nie musimy słuchać rozkazów z ZSRS.

Jakie jest twoje pierwsze skojarzenie, gdy słyszysz słowo „solidarność”?



Nasz papież Jan Paweł II bardzo pięknie powiedział: „Solidarność to jeden drugiego brzemiona noście”, tzn. solidarność oznacza, że ludzie sobie pomagają. Wszyscy ludzie się cieszą szacunkiem, mogą oczekiwać wzajemnej i bezinteresownej pomocy.

A jaka była twoja rola w Solidarności?

Razem ze znajomymi od razu utworzyłam Solidarność Oświaty i Wychowania, ułożyliśmy cały nowy plan szkolnictwa, zmieniliśmy bardzo dużo podręczników, np. do historii, które strasznie kłamały. Wreszcie zaczęto pisać w nich prawdę. Stworzyliśmy cały program wychowawczy, w którym dzieci były szanowane, mogły chodzić do szkoły z życzliwymi nauczycielami. Wszystkie te dobre rzeczy, które teraz są w szkole, to właśnie efekty naszych działań w Solidarności.

Jak wspominasz Solidarność?

Wspominam ją jako najlepszy okres w moim życiu, jedyny do 1989 r., kiedy czułam się naprawdę wolna. Nie czuliśmy się jednak bezpiecznie, wszyscy spodziewaliśmy się, że zaraz zostaniemy aresztowani lub zamknięci w więzieniu. Tak się zresztą stało – pewnego dnia ok. 11 tys. ludzi zostało internowanych, czyli wsadzonych do więzienia bez procesu. Następni mieli już procesy, zastrzelono kilkanaście osób, a potem w ciągu całego stanu wojennego zginęło ok. 100 ludzi znanych z imienia i nazwiska, bo oczywiście zginęło o wiele więcej.

Dobre określenie na ten ruch to: „Solidarność to była taka mała niepodległość”. Wymyślił to cudowny Boguś Studziński, adwokat. W dużej mierze odmówiliśmy współpracy z komunistyczną władzą i robiliśmy to, co chcieliśmy

Jaki miała wpływ na twoje życie?

Poznałam mnóstwo wspaniałych osób, których znam do dzisiaj i na których zawsze mogłam liczyć. Bardzo dobrym przykładem tego, że ludzie chcieli takiej wspólnoty, że czuli się jej częścią, jest taka historia. Gdy ogłoszono stan wojenny, po ulicach chodziły grupy ośmiu żołnierzy. Wszystkich zatrzymywali, rewidowali i sprawdzali, czy nie mają naklejek z napisami: „Wrona orla nie pokona!” lub „Solidarność”, które przyklejaliśmy na przystankach. Kiedyś miałam przy sobie całą siatkę pełną gazo-

tek Solidarności – w czasach stanu wojennego były takie podziemne gazetki, bibuła. Byłam akurat na Krakowskim Przedmieściu i zobaczyłam, że idzie patrol wojskowy, ośmiu żołnierzy, i bardzo się przestraszyłam. Podeszłam do kiosku Ruchu. Patrząc na książki, które są tam wyłożone, i pani w kiosku mówi do mnie: „Słucham panią”. A ja na to: „Proszę pani, mam ze sobą torbę pełną bibuły (gazetek podziemnych), czy mogę ją tutaj postawić?”. Kioskarka stanęła na wysokości zadania: „Będziemy udawać, że pani tu kupuje książkę, a pani postawi torbę z tej strony, jak oni się odwrócą, to wezmę ją od razu do środka”. I tak zrobiła. Zupełnie obca mi osoba.

* * *

Wszystko to się nagrało, dziewczynka przepisała do zeszytu, bo ich pani uważa (słusznie), że trzeba ćwiczyć umysł ręcznym pisaniem, i przeczytała w szkole.

A pani postawiła jej za to ósemkę, chociaż tak wysoka ocena nawet nie istnieje.

KOP przeciwko wojnie hybrydowej Związku Sowieckiego

W dwudziestoleciu międzywojennym na straży wschodniej granicy Polski stał Korpus Ochrony Pogranicza. Wojna hybrydowa, która trwała wówczas ze Związkiem Sowieckim, była o wiele brutalniejsza niż obecna, kierowana przez Łukaszenkę i Putina. I trzeba pamiętać, że KOP bezapelacyjnie wygrał ten konflikt



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Traktat ryski podpisany w 1921 r. kończył wojnę polsko-bolszewicką i ustalał przebieg nowej granicy wschodniej II RP. Sygnatariusze zobowiązywali się do nawiązania stosunków dyplomatycznych, zawarcia umowy handlowej, a przede wszystkim akceptowali prawa drugiej strony do spokojnego administrowania swoim terytorium. Ale w rzeczywistości Sowiet nie uznawali postanowień pokojowych i wszelkimi sposobami dążyli do destabilizacji sytuacji w Polsce.

Już latem tego roku Moskwa rozpoczęła formowanie i przetrzymywanie na wschodnie tereny II Rzeczypospolitej oddziałów dywersyjnych. Miały one m.in. prowadzić działalność agitacyjną wśród miejscowej ludności (przede wszystkim nastawiać

rewolucyjnie i antypolsko Białorusinów i Ukraińców). Głównym zadaniem było atakowanie tworzącego się aparatu państwowego II RP, a w dalszej perspektywie oderwanie ziem kresowych od Polski i przyłączenie ich do Rosji Sowieckiej.

Uzbrojone grupy niszczyły polskie posterunki graniczne, urzędy i prywatne majątki, mordowały urzędników państwowych, policjantów, strażników granicznych czy zwykłych cywilów.

POLICJA NIE WYSTARCZYŁA

Odrodzona Polska, wyczerpana stratami I wojny światowej i wysiłkiem odparcia bolszewickiej inwazji, nie miała środków na ustabilizowanie regionu. Sowieckie bandy zapuszczały się nawet kilkadziesiąt kilometrów w głąb kraju. Na płdrowanych terenach szerzyło się bezprawie, kwitł przemyt. Bezkarność sowieckiej dywersji stawała duży znak zapytania nad polskim stanem posiadania na Kresach Wschodnich i ukazywała niestabilność miejscowej administracji państwowej.

Sytuacji nie zmieniło przejęcie w 1923 r. ochrony granicy przez policję. Nie była ona w stanie zatamować narastającej

fali przestępczości. Tylko 1924 r. łącznie ok. 1 tys. bandytów wzięło udział w ponad 200 antypolskich napadach, w trakcie których zginęły co najmniej 54 osoby. Wobec bezsilności stale zwiększanych sił policyjnych polskie władze uznały, że konieczne jest zaangażowanie jednostek wojskowych.

SPALONE MIASTECZKA

Początkowo wojsko miało jedynie wspierać działania policji. Jednak to, co się stało latem 1924 r., zmusiło władze do bardziej radykalnych zmian. Na decyzję o utworzeniu KOP wpłynęły zwłaszcza dwa straszne wydarzenia z Nowogródzczyzny. W nocy z 18 na 19 lipca 1924 r. banda w sile 20 osób opanowała i obrabowała miasteczko Wiszniew. Po zajęciu miejscowego posterunku policji przestępcy obsadzili główne drogi wjazdowe i zaczęli rabować bezbronnych mieszkańców. Policjanci ruszyli w pościg w kierunku granicy i w okolicy wsi Bartenicha nad Berezyną wpadli w pułapkę. W walce zginął miejscowy komendant powiatowy policji. Jak wykazało śledztwo, przed atakiem policjanci zostali celowo wywabieni z miasteczka. Napad został świetnie zaplanowany.





Dwa tygodnie później, w nocy z 3 na 4 sierpnia 1924 r., dywersanci opanowali miasteczko powiatowe Stolpce. 100-osobowa banda zaatakowała najważniejsze urzędy, m.in. starostwo, komendę i posterunek policji oraz areszt miejski. Policji i urzędnikom udało się obronić starostwo, kasę skarbową oraz miejski posterunek, ale napastnicy opanowali i obrabowali budynki poczty, tartaku i zakładu rzemieślniczego, zdemolowali komendę policji, a także wypuścili z miejscowego aresztu zatrzymanych. Zginął wówczas urzędnik starostwa oraz siedmiu policjantów.

GWALT I TERROR

Wobec tego polskie władze zdecydowały, że należy utworzyć osobną strukturę, która opanuje sytuację na płonącym pograniczu. 12 września 1924 r. minister spraw wojskowych gen. Władysław Sikorski wydał rozkaz o sformowaniu Korpusu Ochrony Pogranicza do zabezpieczenia granic ze Związkiem Sowieckim, Litwą oraz Łotwą, „wydzielając specjalne jednostki do walki z bandami na pograniczu wschodnim”. Na tej podstawie 17 września ukazała się instrukcja okre-

ślająca strukturę organizacyjną, etaty dowództw i jednostek KOP oraz ich zadania.

Pierwszy dowódca Korpusu gen. Henryk Minkiewicz tak pisał do żołnierzy wstępujących do nowej formacji: „Powołani zostaliście do szeregów Korpusu, aby pełnić ciężką i odpowiedzialną służbę ochrony wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Czeka Was zadanie trudne, wymagające żołnierskiego poświęcenia, hartu woli i siły charakteru. Oto zbrojne najemne bandy wkraczają w granice Państwa Polskiego, aby palić dobytek spokojnym mieszkańcom, grabić ich mienie, mordować opornych, a następnie ratować się ucieczką, zostawiając za sobą zgłiszczą i ruiny”.

Jednocześnie generał wytyczał jasne cele Korpusu: „Na ziemiach umęczonych długoletnią wojną zapanował znowuż gwałt i terror. Cichy, pracujący w pocie czoła mieszkańiec wsi i miast nie jest pewny dnia ani godziny. W tych warunkach cała ludność Województw Kresowych spogląda na żołnierzy KOP jako na swoich właścicieli broni. Żołnierze, nie możecie tego zaufania stracić. Musicie stać się naprawdę obrońcami biednej, żyjącej w ciągłej obawie o swoje życie i mienie ludności. Musicie wierną i wytrwałą służbą zapewnić

ludności ład i spokój, zagwarantować bezpieczeństwo. Imię wasze, imię żołnierza Korpusu powołanego do ochrony granic musi być z ufnością i szacunkiem wymawiane przez całą ludność, a jednocześnie być postrachem dla bandytów”.

W 1924 r. struktura KOP jako specjalnej formacji granicznej została oparta na zasadach wojskowych, czyli na batalionach piechoty, szwadronach kawalerii i brygadach. Dowództwo przystąpiło do tworzenia jednostek kierowanych na kolejne odcinki granicy. Do kwietnia 1925 r. udało się zabezpieczyć całą linię graniczną ze Związkiem Sowieckim. Zaczęto budować strażnice i posterunki przejściowe, a nowa formacja przystąpiła do walki z dywersantami.

WOJNA PODJAZDOWA

Mimo to nadal dochodziło do ataków i napadów grup dywersyjnych. Najbardziej spektakularny i bodaj najbardziej upokarzający dla polskiej administracji stał się napad z 25 września 1924 r. pod Łunińcem. Uzbrojona grupa zatrzymała pociąg, następnie obrabowała i wybatożyła wojewodę podolskiego Stanisława Downarowicza i bp. mińskiego Zygmunta Łozińskiego.

Sowieci cały czas dokonywali zbrojnych napadów na polskie posterunki, ostrzeliwali patrole i żołnierzy, dewastowali znaczniki graniczne, a także uprowadzali żołnierzy. Służba w trudnych warunkach, oparta na systemie strażnic i rozproszonych kompanii granicznych, wymagała od kadry podoficerskiej dużej samodzielności i zaradności. KOP przystąpił do zdecydowanej walki z sowieckimi dywersantami. Zaczęto wyłapywać bandytów, a dzięki aktywnemu wywiadowi i kontrwywiadowi przygranicznemu udawało się namierzać zarówno oddziały, jak i ich bazy. Korpus przystąpił także do ścigania sowieckiej agentury, skrywającej się głównie w rejonach zamieszkałych przez liczne na wschodzie mniejszości narodowe (Ukraińców, Białorusinów i Litwinów).

AKCJA KONTRYMA

Na początku listopada 1924 r. 35-osobowy oddział terrorystyczny napadł na pociąg Brześć–Baranowice. Poległ jeden policjant, a dwóch oficerów WP zostało rannych. Natychmiastowa reakcja pozwoliła

osaczyć napastników i w ciągu kilku dni ująć połowę z nich. Polski sąd skazał na karę śmierci czterech bandytów. Wydano też listy gończe za najważniejszymi dowódcami dywersantów, oferując wysoką nagrodę za ich głowy.

W nocy z 7 na 8 stycznia 1925 r. kolejna banda w umundurowaniu Wojska Polskiego przekroczyła granicę z zamiarem zaatakowania miejscowości Jampol na Wołyniu. Traf chciał, że dywersanci podjęli akcję w pobliżu siedziby dowództwa najwcześniej sformowanej 1. Brygady KOP „Wołyń”. Pierwsze strzały napastników uruchomiły system alarmowy Korpusu i nim agresorzy się zorientowali, mieli na karku grupę pościgową. Wiedząc już, co oznacza ich ujęcie, zaczęli odwrót do własnej granicy. Niepoinformowany o akcji sowiecki posterunek graniczny na widok goniących się jednostek otworzył ogień do dywersantów. W rezultacie banda wystrzelała pograniczników i uciekła w głąb kraju. Posterunek zdążył jeszcze wysłać wiadomość do Moskwy, że Wojsko Polskie zaatakowało ZSRR, co na chwilę wywołało panikę na najwyższych szczeblach władzy.

KOP zdecydowanie odpowiadał na działania Sowietów, a wobec porwań stosował także prawo odwetu. Idealnym przykładem jest historia por. Bolesława Kontryma. Kiedy w Rubieżowiczach w powiecie Stołpcie jego podwładny został porwany przez NKWD, dowódca długo się nie zastanawiał. Pod osłoną nocy wraz z kilkuosobowym oddziałem wypuścił się kilka kilometrów w głąb Rosji, zaskoczenia zaatakował sowiecki posterunek, aresztował całą jego załogę i z workami na głowach przeprowadził na polską stronę. Tu oficjalnie ich aresztował. Następnie zawiadomił swoich przełożonych o zatrzymaniu po polskiej stronie sowieckiego patrolu i zaproponował ich wymianę na uwięzionego Polaka. Aresztowany wrócił do Polski.

KLĘSKA SOWIETÓW

Wspólne działania KOP, Policji Państwowej i regularnych jednostek Wojska Polskiego doprowadziły do osaczenia i ujęcia większości zakonspirowanych na terenie

Polski oddziałów dywersyjnych. W rezultacie już w 1925 r. Sowieci podjęli decyzję o zakończeniu operacji na wschodnich rubieżach II RP i rozformowaniu istniejących jeszcze grup. Część dywersantów powróciła do Rosji Sowieckiej, część pozostała w ukryciu w Polsce. Granica wciąż była naruszana, ale teraz już nie przez liczne oddziały, a przez kurierów i agitatorów, wywiadowców i zwykłych przemytników. Sytuację udało się opanować, a mieszkańcy pogranicza i żołnierze KOP mogli odetchnąć.

Wspólne działania KOP, Policji Państwowej i regularnych jednostek Wojska Polskiego doprowadziły do osaczenia i ujęcia większości zakonspirowanych na terenie Polski grup dywersyjnych. W rezultacie już w 1925 r. Sowieci podjęli decyzję o zakończeniu operacji na wschodnich rubieżach II RP i rozformowaniu istniejących jeszcze grup

Po uspokojeniu sytuacji formacja zaczęła realizować dodatkowe zadania o charakterze charytatywnym i społecznym na rzecz miejscowej ludności. Głównym celem miało być umacnianie polskiej państwowości oraz przekonywanie mieszkańców województw wschodnich do II RP. Kuchnie wojskowe dożywiały wiejskie dzieci, lekarze udzielali niezbędnej pomocy chorym, a weterynarze KOP badali zwierzęta gospodarskie. Organizowano święta państwowe i kościelne, imprezy sportowe i kulturalne. Załogi strażnic granicznych pomagały także mieszkańcom podczas klęsk żywiołowych, takich jak pożary czy powodzie.

OSTATNIA WALKA

Korpus Ochrony Pogranicza pilnował porządku na Kresach aż do 1939 r. We wrześniu osamotnione jednostki KOP stawily czoło sowieckiemu agresorowi. Żołnierze toczyli boje z oddziałami sowieckimi m.in. na linii strażnic granicznych, w schronach Tynnego, w obronie Wilna i Grodna, w bitwach zgrupowania Korpusu gen. bryg. Wilhelma Orlika-Rückemanna pod Szackiem i Wytycznem, gdzie odnosili zwycięstwa, ale nie byli w stanie pokonać wroga.

1 października 1939 r. po całodziennych walkach pod Wytycznem wobec przewagi wroga, braku amunicji i sprzętu dowódca KOP zwolnił żołnierzy z przysięgi i rozwiązał liczące ok. 3 tys. żołnierzy zgrupowanie. Część kopistów dołączyła do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” i walczyła z Niemcami do 6 października.

W Wytycznem i innych miejscach polskiej obrony Sowieci rozstrzelali jeńców na miejscu bądź wywozili do łagrów. Wielu żołnierzy KOP (w tym pierwszy dowódca gen. Henryk Minkiewicz) zostało zamordowanych przez NKWD w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Ci, którzy uniknęli aresztowania, zaangażowali się w konspirację i w ten sposób kontynuowali swoją służbę na rzecz Polski. Bitwa pod Wytycznem została upamiętniona na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie (po 1990 r.).

DZISIEJSZY KOP

Opanowanie sytuacji na wschodniej granicy II Rzeczypospolitej wymagało zdecydowanych i często brutalnych działań Korpusu Ochrony Pogranicza. Dzisiaj spadkobiercami tych bohaterów są funkcjonariusze Straży Granicznej i żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, którzy próbują powstrzymać nielegalnych imigrantów przetrzucanych do Polski w ramach wojny hybrydowej z terytorium Białorusi. W dwudziestolecie międzywojennym KOP dostał narzędzia do walki z wrogiem, dzięki czemu był w stanie opanować krytyczną wówczas sytuację. Bez zdecydowanych decyzji obecnych władz Straż Graniczna i Wojska Obrony Terytorialnej nie będą mieć szansy powtórzenia sukcesu swoich poprzedników.

K

ULTURY

*21 lat temu zagrała w obsypanej nagrodami „Warszawie”
– filmie podążającym śladami powstania 1944 r.
W 80. rocznicę godziny W Agnieszka Grochowska
wystąpi w osadzonym w miejskiej przestrzeni
artystycznym wydarzeniu – operze „D’Arc”*

Wizja
większa niż
życie



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W „Warszawie”, wielowarstwowym, pełnometrażowym debiucie Dariusza Gajewskiego, w ciągu jednego zimowego dnia przecinały się historie i drogi kilkorga bohaterów. Młodych ludzi (którzy przyjechali do stolicy, by szukać w niej lepszych perspektyw w niełatwym czasie gospodarczego przełomu) i zagubionego we współczesności powstańca z 1944 r. (w godzinie W). Przybyszów osławiających przestrzeń metropolii naznaczoną śladami przeszłości i człowieka, dla którego ulice, budynki czy place wciąż żyją wspomnieniami. Dla niego nie są one jednak tylko miejscami pamięci, które w codziennym pędzie przestają zauważać młodszy rocznikowo warszawiacy, a przyszli mieszkańcy stolicy często nie dostrzegają ich w natłoku innych bodźców.

AGNIESZKA TU MIESZKA

„Warszawa” z 2003 r. została obsypana nagrodami na festiwalu w Gdyni (zbierając najważniejsze statuetki, m.in. dla najlepszego filmu, za reżyserię i scenariusz). Stała się też początkiem związku reżysera (i zarazem współscenarzysty) oraz – wtedy – niezwykle obiecującej młodej aktorki. Agnieszka Grochowska, wciąż zawodowo intrygująca, w ub.r. zaskoczyła m.in. brawurową rolą w netfliksowym „Dniu matki”; delikatnością, lecz także niezależnością unieruchomionej na wózku bohaterki w „Skołowanych” oraz rewelacyjną, nagrodzoną Orłem rolą w filmie „Kos”. W spektaklu przygotowanym na 80. rocznicę powstania warszawskiego zagra jedną z trzech wiodących kobiecych postaci.

WYJĄTKOWE OBCHODY

„80. rocznica wybuchu powstania warszawskiego to ostatnia okrągła rocznica, w której weźmie udział tyłu uczestników i uczestniczek powstania. Tegoroczne



obchody musiały być więc wyjątkowe. Projekt opery powstał po to, by uczcić naszych przodków, a także Warszawę. »D'Arc« to efekt wielomiesięcznej pracy blisko 100 osób, z których aż 40 występuje na scenie” – podkreśla Jan Ołdakowski, dyrektor muzeum powstania warszawskiego, które w br. obchodzi 20-lecie działalności.

Spektakl ma być szczególnie także dlatego, że scenę, na której będzie się toczyć akcja, stworzy teren muzeum oraz jego okolice. Jedną z bohaterek widzowie zobaczą m.in. na balkonie pobliskiej kamienicy. „Publiczność będzie chodziła »od stacji do stacji« i w ramach tej podróży składała puzzle naszej historii” – zapowiada reżyser Krystian Lada.

Na potrzeby projektu nowe utwory na orkiestrę kameralną i solistów stworzyli młodzi muzycy: Dobrawa Czocher i Teoniki Rożynek oraz Wojciech Błażejczyk i Rafał Rytelski. W spektaklu pojawia się również kompozycje artysty i powstańca Romana Padlewskiego (m.in. jego ostatnie duże dzieło „Stabat Mater”). Utwór „Objawienie Joanny d'Arc” Juliusa Eastmana wykona zespół 10 wiolonczelistek w wieku od 10 do 70 lat. Będzie też scenacjat z opery „Joanna d'Arc” Giuseppe Verdiego.

PORTALE DO HISTORII I SZTUKI

Spektakl realizowany we współpracy z Teatrem Wielkim – Operą Narodową powstaje jako tzw. opera site-specific – został stworzony z myślą o konkretnym miejscu i wykorzystuje jego specyfikę (tu warszawska Wola staje się „portalem do przeszłości i przyszłości”). Czerpie też z różnych form sztuki – łączy teatr, operę, performance i współczesną rzeźbę.

„»D'Arc« to nie tylko hołd złożony powstańcom” – podkreślają realizatorzy. „To także podróż przez muzyczne i teatralne konwencje, w ramach której twórcy eksperymentują z formą i przestrzenią”.

W koncepcji i reżyserii Krystiana Lady spektakl został rozpisany na „trzy plany czasowe oraz sny, w których spotykają się bohaterki tej opowieści”. Joan (Agnieszka Grochowska) to współczesna fotografka z Paryża, córka polskich emigrantów. Joanna (w tej roli wiolonczelistka Dobrawa Czocher) jest uczestniczką powstania, a Giovanna – francuską bohaterką narodową (grają sopranistka Gabriela Legun). Jest jeszcze Anioł Historii (baryton Szymon Komasa). „Tym, co łączy te postacie, jest gotowość poddania się wizji większej niż życie” – czytamy w zapowiedzi.

WAŻNA PAMIĘĆ

Libretto autorstwa dramatopisarki Anki Herbut i pisarza Łukasza Barysa nawiązuje do pamiętników artystów uczestniczących w powstaniu warszawskim oraz symbolicznej historii Joanny d'Arc.

Realizatorzy podkreślają, że w projekt zaangażowali się wybitni artyści, którzy na co dzień występują na deskach teatrów na całym świecie. „Skala tego przedsięwzięcia pokazuje, jak ważna jest dla nas pamięć o powstaniu warszawskim i złożenie hołdu tym, którzy 80 lat temu oddali życie za wolność, którą możemy się cieszyć dzisiaj” – konkluduje Jan Ołdakowski.

Premiera opery odbędzie się 1 sierpnia. Od 1 października spektakl „D'Arc” będzie można obejrzeć na międzynarodowej platformie streamingowej opera-vision.eu.

„Stracone złudzenia” - o zwodniczym uroku cynizmu

Lipiec to czas wyrównywania zaległości. Dla mnie była nią w Canal+ francuska adaptacja powieści Honoriusza Balzaka „Stracone złudzenia”. Film Xaviera Giannolego był chwalony, obsypany we Francji nagrodami, a jednak w 2021 r. go nie obejrzałem.

Może dlatego, że kino francuskie budzi mój średni entuzjazm. Akurat tu nie miałem racji. O ile ich filmy o współczesnej tematyce obyczajowej często ulegają manierze przesadnej „artystyczności”, o tyle co kilka lat miewają celne trafienia w obrazach kostiumowych. „Śmieszność” Patrice’a Leconte’a z 1996 r., kręcony z dawną francuską finezją portret dworu Ludwika XVI, to jeden z moich ukochanych filmów.

Balzak niby wciąż jest ceniony, ale kojarzony z XIX-wieczną rozwlekłością i moralizowaniem. Kto nie pamięta „Ojca Goriot” jako szkolnej lektury? A jednak ten film to popis, jak ożywić dawną literaturę, nadając jej tempo i filmową drapieżność, nie gubiąc ducha epoki.

Z trzyczęściowej, powolnie rozwijającej się powieści wykrojono, ile trzeba, żebyśmy byli oszołomieni tempem akcji. Zrezygnowano z wielu wątków i postaci. Oglądamy dylematy Lucjana, młodego człowieka, który udaje się do Paryża z idealistycznym marzeniem o uprawianiu wysokiej sztuki, a wpada w świat dziennikarstwa z lat 30. XIX w., gdzie artykuły sprzedaje się jak towar, i ulega permanentnemu przekupstwu.

Temat demoralizacji, utraty ideałów to jeden z najtrwalszych archetypów literatury i kina. Ale jak to jest opowiedziane! Ileż dostajemy smaczków z epoki. Jaką wyborną galerię postaci, jaką rewiew miejsc do efektownego sportretowania! Więcej tu kpiny niż moralizatorstwa, a jednak cynizm zbiorowego portretu w którymś momencie musi się załamać w namiastce tragedii.

Ale nim się to stanie, obserwujemy z ciekawością Lucjana, świetnie zagrane przez Benjamina Voisina. Nie jest przecież zły, jego miłość aktorka Coralie interesuje się na początku jego „uczciwym spojrzeniem”. Łatwość popadnięcia w relatywizm jest

zderzana z dobrymi rzeczami, które chłopak od czasu do czasu robi. Z kolei radość z rozmaitych gierek odczuwamy wraz z nim. To jest także o zwodniczym uroku cynizmu. Jak uroczo odkrywa Lucjan logikę sprzedajnego krytyka literackiego, służącą zdeprecjonowaniu każdej, nawet najlepszej książki! W wielu wypadkach wygrywa ze zdemoralizowanymi do szpiku kości starszymi graczami. Ta galeria jest wyborna, łącznie z wydawcą Dauriatem, którego kreuje Gérard Depardieu.

Sympatyzujemy z nim także dlatego, że walczy o swoje, na początku nie mając nic. Ciekawy jest zarazem jeszcze inny wątek: balansowania między różnymi światami. Karierę zapewniają Lucjanowi kompletnie amoralni dziennikarze liberalnych gazet. Gubi go jednak również aspirowanie do świata arystokracji, z którego pochodziła jego matka. W efekcie pada ofiarą obu stron – dwór Ludwika Filipa to również dżungla, choć inna.

Ofiarą daleko tragiczniejszą jest jego ukochana aktorka, po-deptana i upokorzona po to, żeby zrobić krzywdę jemu. Beztroska amoralność wesółych cyników nagle zmienia się w coś bardzo



brzydkiego, okrutnego. Myślmy o tym, jak łatwo jest bawić się cudzym losem i jesteśmy przerażeni. A wszystko w filmie, gdzie postaci noszą stroje z epoki, tłem jest wspaniała XIX-wieczna muzyka, żaden aktor nie jest zaś czarnoskóry.

W 1983 r. powstał węgierski film „Stracone złudzenia” Gyuli Gazdaga. Cenzura socjalistycznych Węgier pozwoliła, aby odpowiednik Lucjana robił karierę w prasie i wśród elit epoki komunizmu. Jedną z głównych ról zagrał Bogusław

Linda. Dawno temu, jeszcze w peerelowskiej telewizji, ten film zrobił na mnie duże wrażenie.

Piotr Zaremba

Mitteleuropejskość Jerzego Stuhra

Jerzy Stuhr miał pewne wspomnienie, które, jak twierdził, zaważyło na całym jego życiu. Podczas szkolnej akademii wyrecytował „Murzynka Bambo” Tuwima. Trudno się więc dziwić, że ukończył wydział aktorski krakowskiej PWST oraz polonistykę na UJ. W 1977 r. na scenie opolskiego festiwalu wcielił się w rolę estradowego nuworysza w satyrycznej piosence „Śpiewać każdy może” Jonasza Kofty. Powstała przypadkiem, ale bezczelna wręcz melorecytacja i pewność siebie natychmiast zostały kupione przez publiczność, która w lot podchwyciła szyderczy wydźwięk fraz „Stoję przy mikrofonie / Niech mnie który przegoni [...] / Ja nikogo nie straszę / Ja talentem niestety go gaszę”. Aktor był już wówczas rozpoznawalny jako współprowadzący programy telewizyjne z cyklu „Spotkanie z balladą”, do których pisał także scenariusze. W tym samym roku miała również miejsce premiera słynnego „Wodzireja” Feliksa Falka.

AKTOR GENIALNY

Nie ma sensu wyliczać nagród, wyróżnień czy odznaczeń, którymi został uhonorowany Stuhr. To artysta wybitny, bez którego nie sposób wyobrazić sobie historii polskiego kina i współczesnego teatru.

Równolegle pracował także we Włoszech, gdzie wyjechał na początku lat 80., grając w teatrze i prowadząc wykłady w Bolonii. Bo Stuhr to także pedagog, związany z kilkoma ośrodkami akademickimi w kraju i za granicą. Dla szerokiej publiczności to jednak głównie aktor i na pewno jeden z najciekawszych odtwórców ról filmowych lat 70. i 80. Charakteryzujący się pewnym intymnym sposobem wypowiedzi, a także zdolnością

*Odszedł Jerzy Stuhr
– znakomity aktor, reżyser
i pedagog. W latach 70.
i 80. XX w. kreował
postacie, w których Polacy
rozpoznawali PRL-owską
rzeczywistość. Niestety,
w III RP nadużywał
pretensjonalnej moralistyki
i kiepskiej publicystyki.
Typowy inteligent
z koszmarnymi wadami*

do wykreowania zwiezłych, filmowych bon motów, które weszły nawet do codziennego użycia. „Widzę ciemność, ciemność widzę” – wołał wybudzony z hibernacji Maksymilian Paradyś w „Seksmisji”. „Pomyłka? Moja żona miała na drugie pomyłka!” – oponował poirytowany komisarz Ryba w „Kilerze”. „Serio, serio” – zapewniał bezwzględnie gadający Osiół w „Shreku”. Jego filmowe wcielenia to bowiem ciekawa galeria postaci, które ludzie natychmiast rozpoznawali w otaczającej ich rzeczywistości. A więc Lutek Danielak, bezwzględny karierowicz i dorobkiewicz z wspomnianego „Wodzireja”, targany moralnymi dylematami naturszczyk-filmowiec Filip Mosz z „Amatora”, Jasiu – ujmująca nieporadnością ofiara po marksistowsku rozumianej Historii z „Obywatela Piszczyka”, cwany i rezolutny Maksymilian Paradyś z „Seksmisji”, władający totalitarną Szuflandią nadszyszkownik Kilkujadek z „Kingsajzu”.

To też wybitne role w spektaklach, reżyserowanych przez m.in. Konrada Swinarskiego („Dziady”), Jerzego Jarockiego („Matka”) i Andrzeja Wajdę, w których Stuhr stworzył kilka wybitnych kreacji, m.in. Sekretarza w „Życiorysie”, Piotra Wierchowienieńskiego w „Biesach”, Piotra Wysockiego w „Nocy listopadowej”, AA w „Emigrantach”, Horodniczego w „Rewizorze”, Porfirego Pietrowicza w „Zbrodni i karze” czy odegraną kilkaset razy tytułową rolę w znakomitym monodramie „Kontrabasista”, którego jednocześnie był reżyserem. Od lat 90. coraz częściej stawał również za kamerą. Debiutował adaptacją „Spisu cudzołóżnic”, książki Jerzego Pilcha, zarazem ówczesnego felietonisty „Tygodnika Powszechnego”, a potem wyreżyserował „Historie miłosne” i „Tydzień z życia mężczyzny”.

ODBITKA PUBLICYSTYKI „GW”

Niestety, w tym momencie z wyżyn sztuki filmowej i teatralnej jesteśmy zmuszeni zanurzyć się w mętnej wodzie politycznej quasi-publicystyki, której Stuhr z kiepskim skutkiem nieustannie próbował. Będąc przekonany i przekonany, że jest w tym wiarygodny i uczciwy. To niestety pokłosie sytuacji, w której jako odbiorcy wciąż jesteśmy zafascynowani aktorami. Najpierw uwodzą nas rolami, w które się wcielają, a potem obsadzają w roli autorytetów, podszywają pod moralistów, komentatorów czy nawet polityków i przegrywają z samymi sobą.

W 2007 r. na ekranach pojawił się film „Korowód”, w którym przewodził się temat lustracji, a wobec tego winy i ceny, którą należy zapłacić za jej zamazanie. Wypadł raczej nieprzekonująco, jako próba relatywizacji współpracy z bezpieczeństwem i jej usprawiedliwiania

okolicznościami historycznymi. O ile Stuhr rozgrzeszał polskiego (może krakowskiego) inteligenta z łajdactw popełnionych w PRL, o tyle już w „Obywatelu” skupił się na drobiazgowym wyliczaniu grzechów przeciętnego Polaka. Ale nie uniwersalnego „człowieka”, bo kreowaniem ciekawych postaci obciążonych różnymi, czasem dodającymi im uroku słabościami, zajmował się w latach 70. i 80.

Niestety w nowej, demokratycznej rzeczywistości Stuhr stał się pretenjonalnym moralistą. Jego związki z „Gazetą Wyborczą” wprost definiowały jego poglądy oraz to, w jaki sposób komentował i interpretował życie publiczne. „Obywatel” jest bowiem rodzajem podróży w czasie, którą odbywa główny bohater po najnowszej historii. Był to wyłącznie pretekst, by napiętnować fałszywą religijność, demaskować zakłamanie księży, ujawniać polski antysemityzm, egoizm oraz różne ludzkie wady, m.in. konformizm. Film, rzekomo uniwersalny, okazał się nużący, powielający propagandowe schematy walkowane na co dzień w mediach. Celujący wyłącznie w jedną grupę ludzi, których Stuhr otwarcie nie znosił. Gdyby odważył się demaskować także słabości własnego środowiska, a więc „liberalnej inteligencji”, show-biznesu, ludzi wpływów i pieniądza, których raczej otoczył szczerym kordonom nietykalności, z pewnością lokowałby się poza sporem. „Ja artystom więcej wybaczam” – mówił otwarcie. Ten fałsz był nieznosny.

W „Kajmanie” Nanniego Morettiego, w którym zagrał producenta telewizyjnego, zaangażował się w ostrą krytykę ówczesnego włoskiego premiera i potentata medialnego Silvia Berlusconi. Ale już na krajowym gruncie zupełnie niedawno można było zobaczyć spektakl pt. „Waleśa w Kolonos” ze Stuhrem w roli tytułowej. By nie było wątpliwości – nie jest to prowadząca do przewartościowania antyczna trage-

dia, ale kolejne podejście do ulepiania Waleśie pomnika, dręczącej nas od lat nieznośnej mistyfikacji, dodatkowo za pomocą dzieła Sofoklesa.

MORALISTA ZDEMASKOWAŁ SIĘ SAM

Jak wiadomo, komunizm starał się wykorzystywać aktorów w roli wychowawców i niestety mimo upadku dawnego systemu część z nich przywykła do odgrywania takiej roli. Również Jerzy Stuhr, komentując życie polityczne, próbując demaskować Polaków jako życiowych maruderów i kombinatorów, robił to tonem arbitralnym i apodyktycznym. Puentę do tej kiepskiej moralistyki dopisało życie, układając scenariusz do niemal teatralnego studium przypadku.

Dwa lata temu znany aktor potrafił 44-letniego motocyklistę. Jak informowała policja, miał w tym momencie 0,7 promila alkoholu we krwi. Twierdził, że wypił trzy lampki wina do obiadu. Po

kolizji próbował jednak nerwowo zbiec z miejsca zdarzenia. Nagranie z kamery motocyklisty pokazywało, że poszkodowany gonił wręcz samochód aktora, zatrzymał go i poinformował, że został potrącony. Ten jednak znów odjechał, nie reagując na jego słowa i dopiero po zajęciu mu drogi motocykl uniemożliwił mu dalszą jazdę.

Co ciekawe, tuż po zdarzeniu Jerzy Stuhr wydawał aktorskie w tonie oświadczenia, w których zapewniał, że „wbrew doniesieniom medialnym” nie zbiegł z miejsca zdarzenia, lecz zatrzymał się na życzenie jego uczestnika. Potem znów, że wypadku nie zauważył, a innym razem, że uciekał, bo motocyklista wydał mu się niebezpieczny. Czemu zresztą próbował dawać wiarę prokurator. Ale na tym nie koniec, bo po zasądzeniu grzywny Stuhr oświadczył, że co prawda żałuje jazdy na trzech winkach, ale tak naprawdę nic nie zrobił i jest „wewnętrznie kompletnie czysty”.

W wydanej kilkanaście lat temu książce na temat swojej rodziny Jerzy Stuhr, który niegdyś określił wyborców prawicy jako mszczących się za dawne krzywdy „potomków chłopów folwarcznych”, sam siebie identyfikował raczej jako mieszkańca Galicji, którego przodkowie przybyli do Krakowa z Austrii. „Gdy przekraczałem austriacką granicę, zawsze czułem się jak u siebie. Na słowiańską fantazję jestem zbyt porządnym” – oświadczał, podkreślając swoją „mitteleuropejską” identyfikację i wyjaśniając, skąd czerpie „bogactwo swojej osobowości”. „Ja jestem z tej krainy pomiędzy Dniestrem, Wiedniem, Pragą i Krakowem” – dodawał. Co ciekawe, jego dziadek Oskar Stuhr był krakowskim adwokatem, przed wojną należał do Stronnictwa Narodowego. Bronił nawet przed sądem oskarżonych o udział w wyprawie myślenickiej Doboszyńskiego i antyżydowskich zajściach w Przytyku. Był dokładnie jednym z tych licznych Niemców z pochodzenia, którzy identyfikowali się jako Polacy. Pan Jerzy był więc chyba trochę takim ambitnym Lutkiem Danielakiem, choć z Mitteleuropy. 

Maciej Walaszczyk

Jak wiatr czy skała

Tarot kojarzy się z wiedzą wyższą, tajemną, nawet z rodzajem duchowości. Nie zapomnę rozmowy dwóch dziewczyn w autobusie, które z zachwytem komentowały uduchowienie koleżanki wróżącej z kart tarota. Wydawałoby się, że okultystyczny charakter tego typu wróżbiarstwa jest dla ludzi wykształconych czymś oczywistym. Dziś jednak tak już (?) nie jest i tarot bywa ukazany w pozytywnym świetle nawet w szanowanych tygodnikach opinii. Spróbuję więc wyjaśnić, dlaczego medytacyjno-transowe otwarcie się na symbolikę kart tarota jest niebezpieczne. Szczególnie dla osób, do których te karty od pierwszej chwili „mówią”, przed którymi „pływają”.

Wchodzenie w odmienny stan świadomości – bo tym jest medytacja – przy zanurzeniu wyobraźni w symbolikę tarota prowadzi do duchowego otwarcia na toksyczny świat duchowy. Różne ezoteryczne interpretacje, które sprowadzają się do zaprzeczenia spirytnalnego charakterowi medytacji symboli tarota, są albo przejawem ignorancji, albo próbą ukrycia ich okultystycznej istoty. Tak samo jest z próbami ograniczania „mechaniki” symboliki i archetypów zawartych w kartach tarota jedynie do poziomu psychologii głębi.

Najprawdopodobniej od XVIII w., a na pewno od powstania w XIX w. Hermetycznego Zakonu Złotego Brzasku, istnieje nieprzerwana linia tradycji wykorzystywania tarota przez okultystów do komunikowania się ze światem demonicznym, co sprawia, że mamy do czynienia z żywym kultem i co za tym idzie – z realnym zagrożeniem duchowym dla każdego, kto będzie medytował symbolikę tarota.

Znam kilkanaście wiarygodnych świadectw osób, dla których przygoda z tarotem zakończyła się dramatycznym kryzysem. Od śp. Jana Witolda Suligi do Lecha Korzenieckiego, dziś pastora. Niektóre zrelacjonowałem szczegółowo w swoich książkach, m.in. w „Zmanipuluję cię, kochanie”, inne są dostępne w sieci, w tym na kanale TekieliTV na YouTube. Dziś przywołam świadectwo Beaty.

Jest ona osobą twardo chodzącą po ziemi, więc kiedy w swoim mieszkaniu zaczęła widzieć dwie bezcielesne postacie, doszła do wniosku, że po prostu zwariowała.

Zaczęło się „normalnie”. Beata jako 15-latką dostała niezwykle prezent od chrzestnej: wizytę u wróżki. Ta na koniec wypowiedziała zdanie, które zmieniło życie dziewczyny: „Masz talent do wróżenia”. Rzeczywiście, Beata miała talent. W liceum po jej wróżby przychodziły nie tylko koleżanki, również nauczycielki. Gdy przeprowadziła się na studia do Warszawy, zaczęła wróżyc kartami tarota. W krótkim czasie zarobiła wróżbami na własne mieszkanie. Ale zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Najpierw okazało się, że niektórym ludziom w ogóle nie musiała stawiać kart. Cała historia, którą miała opowiedzieć danej osobie pojawiała się w umyśle Beaty w parę sekund po tym, jak klient przekraczał próg jej mieszkania. Burzy to wiarygodność ideologii stojącej za wróżbiarstwem. Wróżący z ręki mówią bowiem, że przyszłość człowieka jest zapisana w liniach papilarnych jego dłoni. Wróżący z horoskopów twierdzą, że los jest zapisany w układzie planet w chwili urodzenia. Kartomanci utrzymują, że interpretują zestaw kart, które losowo wyciąga ich klient. Beata zaś wcale nie musiała ich rozkładać kart, a całą opowieść dla niego miała w głowie. Jednak fakt, że doświadczyła całkowitej fałszywości ideologii stojącej za wróżbiarstwem, nie zniechęcił jej do niego.

Potem było jeszcze dziwniej. Otóż Beata rozkładała przed klientem karty, zaczynała mówić i budziła się po pół godzinie, dalej mówiąc. Nie miała pojęcia, co opowiadała przez ten czas, ale, jak relacjonowała w programie „Jarmark cudów”: „Najczęściej widziałam naprzeciwko siebie przerażone oczy. Głupio mi było zapytać, co takiego ci naopowiadałam, że się tak boisz, więc szybko kończyłam wróżbę, kasowałam pieniądze i żegnałam się z człowiekiem”.



ROBERT TEKIELI

Przez te nieświadome pół godziny Beata nie mówiła od rzeczy, bo ludzie by po prostu wyszli. Przekazywała rzeczy inteligentne. Jednak nawet fakt, że jakaś zewnętrzna wobec niej inteligencja przejmowała władzę nad jej ciałem i głosem, nie doprowadził do zerwania Beaty z tarotem. Kluczowy okazał się dopiero następny etap tej historii, w który zły duch stojący za wróżbiarstwem wciągnął już całą jej rodzinę.

Otóż po powrocie do domu Beata zaczęła widzieć dwie postacie. Mężczyznę i kobietę. Byli bezcielesni, bezgłośni, ale, jak wspomina, bardzo ofensywni. Starali się uprzykrzyć jej życie, jak tylko mogli to zrobić zjawy. Przekonawszy się, że nikt poza nią nie widzi tych dziwnych i nieproszonych gości, Beata doszła do wniosku, że zwariowała. I nie opowiedziała o tym nikomu. Nawet mężowi. Pewnie do dziś wróżyłaby dalej, gdyby nie to, że te postacie zaczęły widzieć jej małe dzieci. Budziły się w nocy z krzykiem. Z płaczem przychodziły do rodziców, skarżąc się na niemłą panią i brzydkiego pana. Dopiero wtedy Beata przyznała się mężowi, że ona również widzi w domu mężczyznę i kobietę. Tego samego wieczora potargała i spaliła karty, połamane akcesoria wróżbiarskie mąż nad ranem wrzucił do Wisły. Nad Beatą miała miejsce modlitwa o uwolnienie, a mimo że od tego czasu minęło już wiele lat, kobieta dalej nie jest właścicielką całej swej woli i wyobraźni. Medytowanie satanicznych symboli umieszczonych na kartach tarota doprowadziło ją bowiem do

głębokiego opętania. Proces zdrowienia i powrotu do normalności trwa w takich przypadkach latami.

W tej historii mamy do czynienia z rzeczywistością obiektywną. Małe dzieci nie bałyby się wytworów wyobraźni swojej mamy. Demoniczna rzeczywistość stojąca za fenomenem wróżbiarstwa jest równie realna co wiatr, prąd elektryczny czy kamień.

Jakie są najczęstsze konsekwencje wejścia w relację z prawdziwym wróżem

lub jasnowidzem? Rozpad relacji i nieprzerwane pasmo klęsk życiowych. Egzorcysty mówią o dziesiątkach małżeństw, które się rozpadły, gdy żona zaczynała radzić się wróżów w najważniejszych sprawach życiowych. I nie chodzi tu tylko o stawiających karty tarota czy jasnowidzów. Dziś coraz większą popularnością cieszą się wróżby kartami „anielskimi”, I Ching czy numerologia.

XXI w. miał być wiekiem religii albo miało go już nie być wcale. Okazało się, że

żyjemy w świecie zabobonnym, podporządkowywani absurdalnym ideologiom, które m.in. obaliły naukowe spojrzenie na pleć i klimat. Ludzie odchodzą od sprawdzonych przez wieki ujęć religijnych na rzecz religii zrób to sam. I wierzą, że po śmierci każdy z nich będzie żyć w świecie, który sobie wymyślił za życia: „W co wierzysz, to ci się stanie”. Nie ma chyba większego tryumfu szatana niż takie słabomyślne wierzenia. Na szczęście świat ducha jest obiektywny jak wiatr czy skała. 

WOJNA / CYWILIZACJI

POP KULTURA

Warte W masie mniej lub bardziej zorganizowanych obrazów spływających z setek migocących ekranów staram się tutaj wylawiać rzeczy warte uwagi lub ostrzegać przed nagłośnionym barachlem. „**Green Book**” to film sprzed sześciu lat, nie pamiętam, czy nie miałem okazji go obejrzeć, czy tylko głębiej przeżyć. A dotyka emocji współcześnie bardzo żywej na Zachodzie. Rasizm i imperialna wina to tematy do dziś nieprzepracowane przez wiele społeczeństw i narodów. Bestialstwo i ludobójstwo w belgijskich koloniach, rasistowska polityka brytyjska czy niemiecka, amerykański rasizm – gdyby ktoś rozsądny stosował w tych przypadkach pedagogikę wstydu, byłbym za. W rządowych budynkach w USA jeszcze w erze lotów na Księżyc było dwukrotnie za dużo toalet – drugi zestaw był dla kolorowych.

Fabula „Green Book” jest zanurzona w takich właśnie rasistowskich realiach. W 1962 r. w USA prawo i obyczaj w niewyobrażalny sposób dyskryminuje Murzynów. Trwa walka o zmianę tej sytuacji.

Genialny czarnoskóry pianista Don Shirley jedzie w ośmiotygodniową trasę po południu Stanów ze swym świeżo zatrudnionym kierowcą i ochroniarzem. Frank „Tony” Vallelonga, włoski cwaniak, chwilowo pozbawiony pracy bramkarz w jednym z prowadzonych przez mafię nocnych klubów, dla bezpieczeństwa korzysta z „The Negro Motorist Green Book”, poradnika będącego spisem miejsc przyjaznych czarnoskórym autorstwa Victora Hugona Greena. Resztę nietrudno sobie wyobrazić. Historia jest oparta na faktach.

Film jest świetny. Został wyróżniony Oscarem dla najlepszej fabuły w 2018 r. To niezwykle doświadczenie, kiedy obrazy następują po sobie dokładnie w takim rytmie, jaki jest potrzebny tej właśnie konkretnej opowieści, kiedy widzisz, że reżyser absolutnie panuje nad filmową materią i bezbłędnie prowadzi nas od refleksji do zdziwienia, od emocji ku zachwytowi.

Doskonały jest grający Tony’ego Viggo Mortensen, choć to Mahershala Ali otrzymał Oscara za rolę jego koncertującego



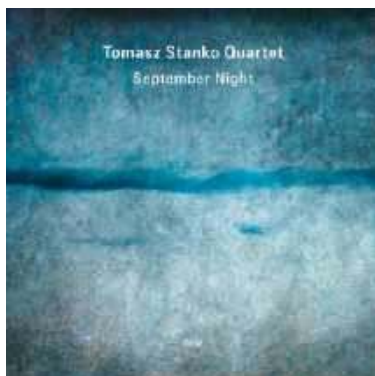
szefa. Mnie nie przekonał do końca, ale jego kreacja jest spójna, a duet głównych bohaterów to jeden z głównych walorów tej fabuły. Film został też nagrodzony Oscarem za najlepszy scenariusz oryginalny. I słusznie. Scenarzyści byli w stanie obronić nawet motywy tak zgrane jak „normalna włoska rodzina” czy „normalny czarny bar z murzyńską muzyką”. Wyciskają natomiast lży historię trudnej miłości pomiędzy dwoma mężczyznami. Miłości przyjacielskiej, przez Greków zwanej filia. Bez cienia seksualności, za to z rodzącymi się szacunkiem, akceptacją, zaufaniem, wreszcie – zdrową bliskością.

Film o wzrastaniu. Pełnia człowieczeństwa. Nie ma już Greka ni Żyda, bogacza ni biednego, kobiety ni mężczyzny, niewolnika ni wolnego. Ludzie są stworzeni do relacji. To grzech oddziela ich od siebie. Ale przy pomocy z góry można pokonać zakusy tego, który dzieli.

Robert Tekieli, Polskie Radio

Wrześniowa noc

To niemal godzinny występ nagrany w monachijskiej Muffathalle we wrześniu 2004 r. Smaczku dodaje fakt, że za jego produkcją stał znakomity Manfred Eicher, postać nietuzinkowa w świecie muzyki, odpowiedzialny za nagranie setek płyt (m.in. Garbarka, Jarretta, Arvo Pärta), którego wizja muzyki w charakterystyczny sposób odcisnęła się na europejskim jazzie. Słychać to zresztą i w tych nagraniach, eksponujących kameralną grę kwartetu Stańki wraz z pełnymi intensywnością liryczną, wirtuozerią, a nawet dramatyzmu popisami zmarłego w 2018 r. trębacza. Pianista Marcin Wasilewski, basista Sławek Kurkiewicz i Michał Miśkiewicz za perkusją zostali uwiecznieni wraz z nim w szczytowej formie. Stańko był zresztą dla nich kimś w rodzaju mentora. Gra absolutnie skoncentrowany, wydobywał dźwięki z pełnej palety swoich możliwości technicznych i brzmieniowych – od klasycznych tonacji do wyrafinowanych, a w końcu wręcz krzyczących glissand, wciągając słuchacza w huśtawkę emocji, ale zachowując transcendentną płynność melodii i formy. Większość z tych utworów to kompozycje pełne dramatyzmu, melancholii, czasem również smutku. „Hermento's Mood”, „Song For Sarah” czy „Elegant Piece” z majestatycznym motywem głównym dowodzą, że gra Stańki rzeczywiście była unikalna, tzn. rozpoznawalna w całym morzu brzmień, które w ciągu dziesięcioleci pojawiły na scenie jazzowej, uzupełniana w tym



Tomasz Stańko Quartet, „September Night”,
ECM Records 2024

miejsu równie znakomitą grą Wasilewskiego. Zresztą dziś to jeden z naszych najlepszych pianistów. Może nieco lżejsza z odrobiną salsy, ale równie pełna napięcia (to fragment muzyki z filmu „Matka Joanna od Aniołów”) jest wyraźnie swingująca „Celina”. To kompozycja trwająca ponad 10 min. w której duch Milesa Davisa, obecny zresztą na całej płycie, ujawnia się najmocniej. Znajdujemy tu też improwizacje bardziej wymagające („Euforila”), cofające nieco do lat 60. i doświadczeń z okresu Komedy. Ich kompozycyjne ramy są na różne sposoby rozsadzane przez świetnie rozumiejących się muzyków, wytrzymując improwizacyjny rozmach. Kwartet nie rozprasza się ani na moment, przez cały czas utrzymując bardzo wysoko podniesioną temperaturę. Bo to nie był zwyczajny koncert, ale z pewnością piękna i elektryzująca wrześniowa noc 2004 r.



Maciej Walaszczyk

Goethe to postać wielobarwna, wielowymiarowa, wykraczająca daleko poza literaturę. Nie przypadkiem powstało więc dzieło, w którym słynny weimarski za pomocą słowa przywdziewa w swych muzycznych wierszach przeróżne maski, aranżuje wręcz aktorskie inscenizacje. Raz jest perskim kupcem czy beduinem, w innym miejscu poetą Hafizem, a nawet Mahometem, Napoleonem, Timurem i Aleksandrem. Bawi się znaczeniami, sensem i obrazami, naśladuje żarty i powagę. To rzeczywiście piękny (również edytorsko) barwny i obszerny dywan, na którym został wpleciony w swojej różnorodności jeden spójny obraz. Poeta często podróżował, zwiedził niemal całą Europę, by w końcu wybrać się daleko poza jej granice geograficzne i kulturowe. Najpierw do Chin i Indii, a chwilę potem do świata Orientu – „krainy wiary, objawień, prorocstw i obietnic”.

Polski czytelnik otrzymuje dzieło, które jest owocem owej intelektualnej podróży odbytej na przełomie 1814 i 1815 r. do Persji i Arabii, wydane teraz w nowym przekładzie prof. Wojciecha Kunickiego oraz Julianny Redlich, uzupełnionym o „Noty i rozprawy dla lepszego zrozumienia” będące komentarzem do wierszy z tego cyklu. Tym, co doprowadziło do powstania „Dywanu”, było zapoznanie się z twórczością XIV-wiecznego perskiego poety Hafiza. Zbiór inspirował z kolei np. Mickiewicza do stworzenia „Sonetów krymskich”

Latający dywan Goethego

dziły w niej bowiem procesy, których Niemcy się wypierali w XX w. To dywan tkany tematyką miłosną, filozoficzną, religijną. Goethe prowadzi tu również swoje liryczne gry polityczne odwołujące się do imperialnych podbojów Tamerlana, Aleksandra Wielkiego i Napoleona, który „rozpalał w ognistej pieczęci Niemca serce” (pożar Moskwy z 1812 r.). Bonaparte imponował Goethemu, czego wyrazem są zaszyfrowane komunikaty zawarte w wierszach. Jednak by je wyłowić i zrozumieć, koniecznie trzeba się wspierać nieocenionymi uwagami prof. Kunickiego. „Wolność jest cichym mottem spiskowców, ale i hasłem przewodnim samego despotyzmu” – ostrzega Goethe. Nie miejmy więc „oślich uszu” i słuchajmy śpiewu tej liry.

i przywdziania w nich orientalnej maski. Jak więc podkreśla tłumacz, ów cykl jest więc jednym z dowodów na zdolność, którą wypracowała niemiecka kultura, wchodząc w głębokie relacje z innymi, by w efekcie je absorbować i stapiać w sobie. Zach-



Johann Wolfgang von Goethe,
„Dywan Wschodu i Zachodu”,
Eiviva L'arte 2023

Żeby Polska była Polska

Broszury prof. Stojanowskiego przypominają, że nawet w najczarniejszych dniach okupacji zastanawiano się, czego potrzebujemy, by przetrwać między Niemcami a Rosją. Jeśli chcemy pozostać Polakami

Dziś to wydawnictwo staje się interesujące z kilku powodów. Po pierwsze, zostało wydane przez nieistniejący od kilku tygodni Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, który z powodów politycznych zlikwidowała liberalno-lewicowa władza. Po drugie, dotyczy autora. Prof. Karol Stojanowski początkowo należał do POW, a w czasie I wojny już od sierpnia 1914 r. walczył w I Brygadzie Legionów. Jednak w niepodległej Polsce opowiedział się po stronie endecji, stając się działaczem Stronnictwa Narodowego. Do polityki wprowadził go prof. Jan Czekanowski, wcześniej członek Ligii Narodowej i ekspert na konferencji pokojowej w Paryżu, pod którego okiem rozwijała się także kariera naukowa Stojanowskiego na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Na nim też kontynuował działalność instruktora harcerskiego, z której zrezygnował w czasie sanacyjnych czystek z 1931 r. Jako antropolog stał się wybitnym ekspertem od problematyki rasowej, stając w opozycji do antysłowiańskiego dyskursu, lansowanego wtedy w nazistowskich Niemczech. Już na początku okupacji opracował koncepcję budowy podziemnej organizacji wojskowej i politycznej, która stała się zrębem utworzonej na początku wojny Narodowo-Ludowej Organizacji Walki; ta, opierając się scaleniu z AK, w 1942 r. została przekształcona w NSZ.

Wydane w podziemiu broszury (w okładkach książek Sienkiewicza) dokumentują jego działalność koncepcyjną, wtedy także wykładowcy Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich oraz Zachodniosłowiańskiego Instytutu Europy Środkowej przy Delegaturze Rządu na Kraj kierowanego przez Jerzego Brauna. Pisane w latach 1940–1943 są świadectwem przekonania o konieczności odzyskania Ziemi Zachodnich i ich pilnej polonizacji. Stojanowski jako jeden z pierwszych ogłosił bowiem postulat powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką. Lektura jego tekstów może niekiedy szokować, bo nie sposób ich zrozumieć bez świadomości kontekstu politycznego, w którym powstały. Zawarł w nich przekonanie o nieuchronnej klęsce Niemiec oraz niedocenianiu potęgi politycznej Sowietów i naiwną wiarę w podmio-

towość narodów słowiańskich po wojnie. Bo poza koniecznością budowy państwa narodowego, emigracją Żydów i polonizacją mniejszości, Stojanowski postulował budowę federacji między Niemcami a Rosją, a nawet reslawizację wschodnich Niemiec. Poruszał też kwestie znów aktualne współcześnie. W połowie

wojny dostrzegał, że choć oficjalnie część krajowych polityków będzie wspierać zachodnie nabytki terytorialne, to najważniejsza będzie dla nich realizacja programu wschodniego oraz budowa Ukrainy i Białorusi kosztem polskich interesów.

Tymczasem Stojanowski uważał, że jedyną drogą dla Polski jest rozwój środkowo-europejskiej federacji Słowian Zachodnich i Południowych, która byłaby przeciwieństwem porządku powersalskiego, „mrowiska wszystkich wpływów”. Tak rozumiane „międzymorze” mogłoby się stać instrumentem oporu wobec zagrażającego mu imperializmu niemieckiego (w dzisiejszych realiach to UE) i rosyjskiego. Postulował syntezę idei narodowej i słowiańskiego uniwersalizmu, mając świadomość, że taki organizm musiałby być elastyczny od wewnątrz, by „poszczególne jego części nie tworzyły zbyt wielu ognisk odśrodkowych”.

Stojanowski podnosił również zagrożenie demografii, analizował statystyki

dotyczące przyrostu naturalnego, zwracał uwagę na to, że małe rodziny z jedynakami wychowują „wygodnisiów” i egoistów, zmniejszają siły twórcze i możliwości obronne, prowadząc w konsekwencji do starzenia się narodu. Przesadny dobrobyt, którego dziś doświadczają przeciwieństwa Zachodu, prowadzi do depopulacji, któremu – co może zaskakiwać – przeciwstawiał skromne warunki i wychowawczy wpływ rodzeństwa. Był wizjonerem, starał się też być realistą, a świadomość rozstrzygnięć konferencji w Teheranie skłoniła go do porzucenia antysowieckiego oporu i próby legalizacji SN po wojnie. Stojanowski starł się prawdopodobnie na tym tle z przybyłym z tajną misją do Polski Adamem Doboszyńskim. Nazajutrz po rozmowie z nim zmarł na zawał serca. Dwa dni później bezpieka aresztowała wszystkich, z którymi spotkał się emisariusz. ▀



Karol Stojanowski, „Broszury programowe (1940–1943)”, IDMN 2023

Raj na wulkanie

Jest piękna, tajemnicza i niebezpieczna, jak każdy czynny wulkan. O jej niezwyklej urodzie świadczy fakt, że większość zdjęć reklamujących całą Grecję pochodzi właśnie stamtąd – z wyspy Santorini (Santoryn)



PIOTR OSTROWSKI

W Kamari na końcu nadmorskiego deptaku u podnóża góry Mésa Vounó stoi niewielki Irini's Hotel z tawerną. Czyli „U Ireny”. Brzmi i jest swojsko, a gospodyni, wiekowa Irenka, jowialnie wita przy wejściu gości po grecku i łamanym angielskim. – Polos, Polos! – krzyczy radośnie i potwierdza, że ma rezerwację dla Polaków. Jakbyśmy przyjechali do babci na wakacje.

– Mam na imię Irini, tak jak nazwa wyspy Santorini, bo to moja wyspa – śmieje się i ściska nas Irena, która zbudowała swój hotelik 50 lat temu w miejsce rybackiej chaty rodziców. Pokoje jeszcze niegotowe, ale gospodyni nakrywa dośniadania w tawernie nad samym morzem. Gęsty jogurt, miód, oliwki, pomidory, ser halloumi, bułka i dzbanek chłodnego białego wina – a jakże. Plażowicze właśnie rozkładają się na czarnej żwirowej plaży, powietrze pachnie tymiankiem i rozmarynem, nadchodzi upał. Raj na ziemi.

Mityczna kraina sprzed kilku tysięcy lat, którą jako pierwszy opisał Platon, miała być ośrodkiem wysoko rozwiniętej cywilizacji, ziemią płynącą miodem i mlekiem, zasobną w bogactwa naturalne, gdzie ludzie żyli dostatnio i szczęśliwie. Do czasu, gdy wielkie trzęsienie ziemi wywołało potop, a wyspa zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła. A wraz z nią raj na ziemi. Zdaniem wielu opowieść Platona o Atlantydzie to historia położonej w archipelagu Cyklad wyspy Santorini. Prawie wszystko się zgadza, poza usytuowaniem. Niestety, Santorini nie jest Atlantyda. Ale trzeba



pamiętać, że oprócz Krety to centrum niezwykle zaawansowanej kultury minojskiej.

3651 lat temu, w 1627 r. p.n.e. nastąpił jeden z największych wybuchów wulkanu w historii Ziemi. Siła erupcji była tak wielka, że środkowa część wyspy zapadła się ponad 300 m pod powierzchnię morza, tworząc tym samym kalderę o średnicy 10 km, jedną z największych na świecie. Eksplozja wywołała olbrzymią, wysoką na 200 m falę tsunami, która zalała i zniszczyła oddaloną o 110 km północną część Krety.

Poprzedzające wybuch wulkanu kilkunastomiesięczne silne trzęsienie ziemi zadziało niczym alarm i większość mieszkańców zdążyła opuścić wyspę przed erupcją. Tym samym atlantycka cywilizacja i jej spuścizna rozprzeczła się po całej Europie.

– Minojczycy najpewniej przekroczyli też Atlantyk, a być może nawet stworzyli zręby przyszłych cywilizacji Ameryki Łacińskiej – mówi Kostas, poznany w muzeum grecki przewodnik. – Bo jak wytłumaczyć znaleziony w Meksyku, w starożytnym mieście Majów Palenque, wizerunek kobiety do złudzenia przypominającej Kleopatry oraz skarabeusza, chrabąszcza, który nie występuje w Ameryce? – pyta, przytaczając znany od lat argument.

TAJEMNICA ZAGINIONEJ CYWILIZACJI

Z krateru na Santorini wytrysnęło tak wiele popiołu i pumeksu wulkanicznego, że pokrył on wyspę warstwą o grubości

kilkudziesięciu metrów. Paradoksalnie zadziałał jak konserwant tej spuścizny, dzięki czemu zachowało się wiele śladów kultury minojskiej.

Największym z nich jest znajdujące się na południu wyspy miasto Akrotiri, zwane greckimi Pompejami. Odkrył je w 1967 r. prof. Spiridon Marinatos, który przez lata próbował dociec przyczyn tak nagłego upadku wysoko rozwiniętej cywilizacji.



To, co odkopał wraz ze swoją ekipą w Akrotiri, przeszło jego najśmielsze teorie o stopniu rozwoju królestwa Minosa: świetnie zachowane kilkupiętrowe (!), skanalizowane domy z systemem doprowadzania bieżącej ciepłej i zimnej wody oraz z wykutymi z kamienia muszlami klozetowymi. W domach usytuowanych wzdłuż wyraźnie wytyczonych ulic i placów archeolodzy odnaleźli meble, naczynia, amfory, przedmioty codziennego użytku. Nie było żadnych kosztowności ani ludzkich szczątków, co potwierdziło tezę, że poprzedzające wybuch wulkanu trzęsienie ziemi spowodowało masowy exodus mieszkańców, którzy spakowali najcenniejsze rzeczy i w porę opuścili wyspę.



Jednak najważniejszym dowodem świadczącym o wysoko rozwiniętej kulturze są malowidła naścienne, kolorowe freski. Przedstawiają one m.in. białe kobiety z pomalowanymi paznokciami, chłopców uprawiających boks, okręty, ciemnoskórego rybaka, zwierzęta, w tym antylopy, lwy i małpy, co może świadczyć o morskich wyprawach nie tylko do wybrzeży pobliskiej Krety, lecz także Afryki czy Azji Mniejszej. Co ciekawe, freski były malowane techniką profilową, z której słynęli Egipcjanie. Jednak pod względem artystycznym dzieła z Akrotiri znacznie przewyższają egipskie malowidła. Okazały się one tak cenne, że przeniesiono je na fragmentach zdjętych ścian do muzeum narodowego w Atenach. W stolicy Santorini można jednak obejrzeć ich kopie.

Do dzisiaj na kilku hektarach odsłonięto w Akrotiri ponad 40 domów. Jednak całe starożytne miasto zajmuje prawdopodobnie obszar o powierzchni 20 ha, dlatego trwają tam prace archeologiczne. Kieruje nimi Nanno, córka prof. Marinatosa, który odkrył Akrotiri i po wielu latach badań w 1974 r. zginął tam, przygnieciony ścianą jednego z odsłanianych domów. Gdy przyjechaliśmy do tego miasta po raz pierwszy ponad 20 lat temu, odkryte wykopiska zajmowały niewielki obszar. Artefaktów można było nawet dotknąć. Dziś znajdują się w nowoczesnej gigantycznej hali, a jest to tylko niewielki fragment dużego, ponad 20-tys. miasta. Ekspozycja robi jednak oszałamiające wrażenie.

NAJSŁYNNIEJSZY I NAJDROŻSZY ZACHÓD SŁOŃCA

Turystów wabi niezwykle malowniczy krajobraz Santorini, ukształtowany przez niszczycielski żywioł. Nie ma chyba nikogo, kto oparłby się urokowi białych miasteczek zawieszonych na kilkusetmetrowych klifach z widokiem na kalderę i okoliczne wyspy. Dwa najśłynniejsze miasta – stolica wyspy Thira (Fira) i leżąca na północy Oia – spełnią nasze wyobrażenie o Grecji: białe

domy i cerkwie z okrągłymi, niebieskimi kopułami, wiatraki, dzwonnice. Płatanina wąskich uliczek, którymi przeciskają się obok siebie ludzie i osły. Na pobielanych i nagrzwanych słońcem murkach wygrzewają się koty, a na zawieszonych na zboczach klifu tarasach urokliwych knajpek turyści popijają wino lub ouzo, anyżową wódkę, która zmieszana z odrobiną wody nabiera mlecznego koloru. Wieczorem w Oia ouzo ustępuje prosecco, a miejsce kotów na murkach zajmują ludzie. Masy ciał pokrywają każdy skrawek przestrzeni po zachodniej stronie miasta.

Wszystko przez legendarne zachody słońca, wypromowane jako najpiękniejsze na świecie. Aby je zobaczyć, zjeżdżają się turyści z całej wyspy – autobusami i taksówkami, bo tu nie ma praktycznie miejsc parkingowych. Jednak podróż z Kamari czy Thiry do osławionej Oia może kosztować majątek.

– Apo Thira pros Oia: 40 euro – mówi bez ogródek Dimitri, wiecznie uśmiechnięty taksówkarz. – A z powrotem? – 55 euro. Podróż trwa 12 minut. Z naszego hotelu w Kamari trzeba by zapłacić jeszcze więcej: 150 euro w obie strony. Pozostaje zatem autobus.

Ludzie zajmują miejsca godzinę, dwie przed zachodem. Ci bardziej zamożni biorą stolik w knajpce, za który restauratorzy życzą sobie o tej porze dnia 100 euro, dorzucając do tego oczywiście butelkę musującego wina. A kiedy pomarańczowa kula topi się w morzu, rozbrzmiewa burza oklasków i strzelają korki od szampanów. Zaczynają grać uliczni grajkowie, z restauracji rozchodzą się zapachy przyrządzanych potraw i rozpoczyna się fiesta. I tak co wieczór miasteczko przeżywa magiczny zachód słońca.

KOLORY WULKANEM MALOWANE

Choć tarasowo położona Oia wydaje się dość swojska, nie wolno dać się zwieść. Z pobielanych domów, między którymi przeciskają się osły, nie wyjdzie raczej stary Grek z długą brodą ani odziana na



czarno staruszką, lecz elegancko i światowo ubrani ludzie. Bo większość tych częściowo wykutych w skale domów to luksusowe apartamenty i hotele, w których doba kosztuje nawet kilkaset euro.

Leżąc w basenach i na tarasach tych domów, popijając prawdziwego szampana z kryształowych kieliszków, goście przeżywają swoje prywatne zachody słońca. Przez pewien czas robili to Angelina Jolie i Brad Pitt, którzy podobnie jak inni sławni i bogaci mieli lub nadal mają tam swoje nieruchomości. Bo choć Santorini jest niewielką wyspą, jej wulkaniczny urok działa na wszystkich.

To kraina kolorów namalowanych erupcją wulkanu: biało-niebieskie miasteczka usytuowane na szczytach czarnych skalistych klifów, w których przebiegają czerwone warstwy złóż rud żelaza odkryte przez wybuch. W dole lazurowe morze kołysze niebieskimi rybackimi kutrami, a w oddali dostojnie suną wielkie, białe cruisery, zostawiając za sobą na morzu spienione ślady.

Santorini słynie również z kolorowych plaż. Czarna, kamienista jest w Kamari, czerwona w pobliżu Akrotiri, zaś położona nieopodal Oii – biała z pumekсовym żwirem. Kolor żółty przebija na wysepce pośrodku kaldery, która została utworzona z siarkowych skał wyrzucanych przez krater czynnego wulkanu zatopionego w morzu. To Nea Kameni, buzujące gorące źródło siarkowodoru, do którego na kąpiele wożą turystów wodne taksówki.

JEDYNE TAKIE WINO NA ŚWIECIE

Wulkanicznemu pochodzeniu zawdzięcza swój niezwykły smak endemiczne wino ze szczepu asertico. Santoryńskie winnice w niczym jednak nie przypominają tych



Fot. Shutterstock

znanych nam z innych części Europy. Nie są tak malownicze jak włoskie czy hiszpańskie. To niskie, sięgające kolan krzewy, prowadzone na kształt spiral po ziemi, tak aby w naturalny sposób wchłaniały rosę z wulkanicznego pachu. Nie są w żaden sposób palikowane ani podtrzymywane, lecz związane w „kok”. Dzięki temu roślina wyciąga z ziemi minerały, które nadają charakterystyczny smak asertico.

Kiedy otwieramy butelkę, uderza od razu zapach ziemi i cytrusów. Schłodzone smakuje wysmienicie, a jeszcze bardziej, gdy pije się je ze świadomością, że można się nim rozkoszować praktycznie tylko na Santorini. Powierzchnia wyspy jest bowiem tak mała, że na uprawę win nie pozostaje wiele miejsca. To wpływa na jego dość wysoką cenę i ograniczone możliwości eksportu. W Polsce dostępne jest m.in. Atlantis. Większość win z Santorini to wina białe. Oczywiście czerwone, w tym słodkie i półsłodkie, też są tam produkowane.

GRECKIE SMAKI

Tajemnica greckiej kuchni tkwi w prostocie i najwyższej jakości produktów. Weźmy za przykład dobrze nam znaną sałatkę grecką. Pomidory, papryka, ogórek i cebula, często zerwane z przydomowego ogródka, są na-

siąknięte słońcem. Dojrzałe, słodkie i pachnące. Do tego dorodne oliwki, gęsta oliwa tłoczona na miejscu, aromatyczne zioła prosto z ogrodu i grubo połamana feta z owczego mleka. Jeśli zamówimy do tego ciepłą pitę i tzatziki, czyli gęsty jogurt ze startym ogórkiem i czosnkiem, najemy się do syta.

Tzatziki i pita są dodawane głównie do mięs, przede wszystkim jagnięciny i baraniny, choćby w słynnych souvlakach i kebabach. Te ostatnie nie przypominają jednak popularnych u nas tureckich dań, do których opiekane na ruszcie mięso tknie się na cienkie plastry. Greckie kebaby to zrobione z mielonego, mocno doprawionego ziołami mięsa grillowane kielbaski, jak bałkańskie kebabczety. Ten sam gęsty jogurt, będący podstawą dodawanego do mięs sosu tzatziki, polany miodem i posypyany orzechami to z kolei klasyk greckiego śniadania.

Czym dla Włochów lasagne, tym dla Greków musaka. Tu warstwy układają się plastry ziemniaków, bakłażanów, pomidorów i mielone mięso, a wszystko zalane beszamelem, posypane serem i doprawione odrobiną cynamonu i mięty trafia do piekarnika.

Nie byłoby greckiej kuchni bez świeżych ryb i owoców morza, wylawianych każdego dnia z oblewających wyspę wód Morza Egejskiego. Grillowane, smażone, gotowane są tak dobre, że poza dodaniem soli, ziół i cytryny nie wymagają wy rafinowanych sposobów przyrządzania. Intrygujące są też dolmades, czyli gołąbki, które wypełnia ryż z wołowym lub jagnięcym mięsem w ziołach, ale tu są one zawijane w liście winogron.

Santorini, choć niewielka, ma wszystko, co potrzebne najbardziej kapryśnemu przybyszowi. Zapierające dech w piersiach widoki gwarantują, że nawet amator zrobi tam wspaniałe zdjęcia. Miłośnicy historii i poszukiwacze śladów króla Minosa lub mitycznej Atlantydy też powrócą do domu z wrażeniami. I ten dreszczyk emocji, który daje nam ciągle czynny wulkan.



Fot. Archiwum prywatne

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii
w formie e-booków



Nieznane strony historii Polski

10 pasjonujących opowieści
o wybitnych Polakach
i odkłamanych faktach | 106 stron



Powstanie Styczniowe 1863 r.

13 historii o najważniejszych
ludziach powstania | 130 stron



Gdzie diabeł nie mógł

25 opowieści o niesamowitych
kobietach | 178 stron



Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach

12 lekcji historii, które pomagają
zrozumieć przeszłość | 121 stron



Pupile historii

30 nietypowych lekcji historii
| nie tylko dla wielbicieli psów
| 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową
prenumeratę tygodnika Sieci
już **od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent
znajdzie e-booki w zakładce
Moje wydania/Sieci Extra



CZESŁAW CZAPLIŃSKI*

Nowy Jork przyciąga najważniejszych

Nowy Jork, świętujący w tym roku 400-lecie [w 1624 r. holenderscy koloniści założyli faktorię handlową, nazwaną nieco później Nowym Amsterdamem – przyp. red.], pojawił się w moim życiu 45 lat temu.

Wyjechałem, a właściwie uciekłem, z Polski w 1979 r. W kraju kończył się komunizm, a ja kończyłem studiowanie biologii ze specjalizacją entomologia; fotografowałem ważki. Na zaproszenie znajomego wyleciałem, niby do Kanady, z przesiadką w Nowym Jorku i tam już zostałem.

Miałem plan, że przez rok będę fotografował miasto, zrobię album i wrócę. Nie zdawałem sobie sprawy, jak niebezpieczny potrafi być Nowy Jork. Z bardzo dobrym aparatem Canon chodziłem po 42 Ulicy i nagle poczułem nóż na szyi. Uszedłem z życiem, ale zdjęć nie miałem już czym robić. Następnego dnia za prawie wszystkie środki przeznaczone na utrzymanie kupiłem nowy sprzęt i poszedłem do najlepszego studia fotograficznego, by się tam zatrudnić. W myśl zasady: „Jak spaść, to z wysokiego konia”.

Kiedy powiedziałem właścicielowi, że w fotografii umiem wszystko, mało nie pękł ze śmiechu. Zaproponowałem, że mogę popracować tydzień, dwa za darmo. Jeśli mu się spodoba to, co robię, zatrudni mnie. Potygodniu zostałem przyjęty, po roku znałem już miasto, a przede wszystkim Jerzego Kosińskiego, który na telefon załatwiał mi do zdjęć wszystkich naj-

ważniejszych ludzi w Nowym Jorku. Zaczęłem pracować na własny rachunek.

Dzielić życie między Nowym Jorkiem a Warszawą. W ostatnich latach przyjeżdżam do Polski po Wielkanocy i przed Bożym Narodzeniem wracam do Stanów. W wakacje dołączają do mnie żona i syn.

Moje szlaki w Wielkim Jabłku? Zaczynijmy od tego, że ulicą, która przecina cały Nowy Jork, jest Piąta Aleja, koło niej leży Broadway, gdzie są teatry. Uwielbiałem też dół miasta, gdzie były wieże World Trade Center, zniszczone 11 września 2001 r. Każdemu, kto odwiedzał Nowy Jork, pokazywałem panoramę miasta ze 102. czy 110. piętra. Wjeżdżałem też na Empire State Building (wybudowany w 1931 r.). Niewiele osób wie, że przybijały do niego wielkie sterowce.

Ogólnie Nowy Jork jest pionowy, wymusza ciągle zadzieranie głowy, ale mnie od początku interesowali ludzie, ponieważ to miejsce przyciąga najważniejszych.



Fotografowałem ich (nadal to robię), ale miasto też.

Moja pierwsza wystawa związana z Nowym Jorkiem odbyła w 1991 r. w warszawskiej galerii Zachęta. Była zatytułowana „Nowy Jork. Od realizmu do abstrakcji”. Rok temu w Galerii Plenerowej Muzeum Łazienki Królewskie pokazałem, jak zmienia się to miasto. Dziś warszawskie metro w porównaniu z nowojorskim, stuletnim, robi niezwykle pozytywne wrażenie. Tamto strasznie się zapuściło – szczury, brud... Ale na zewnątrz wciąż powstają nowe inwestycje. Choćby na Green Point, gdzie mieszkają Polacy. Kiedyś wyśmiewane, dziś stało się jednym z najdroższych miejsc, z widokiem na Manhattan. Przenosi się też sztuka.

Kiedyś galerie były przy Madison Avenue i 57 Ulicy, potem na Soho, teraz najwięcej jest na Brooklynie. Co 10–15 lat, gdy miejsce nabierze prestiżu, a wraz z nim stanie się dużo droższe, artyści przenoszą się do kolejnej, bardziej ekonomicznej lokalizacji.

Miejsce, które kojarzy mi się dziś z Nowym Jorkiem? Niezmiennie Central Park. Lubię do niego chodzić, bo dużo się tam dzieje. Times Square i Broadway też są bardzo interesujące. Zaglądam tam z wielką przyjemnością, patrzę, słucham, piję kawę...

W ciągu tych czterdziestu kilku lat w wielu miejscach wydarzyło się wiele rzeczy. Np. w 1983 r. powstał Trump Tower. Robiłem wtedy zdjęcia człowiekowi, który umacniał swoje biznesowe imperium, m.in. wybierając na siedzibę tzw. punkt zero. W Nowym Jorku jest on przy skrzyżowaniu 56 Ulicy i 5 Alei, pod numerem 725. Stał tam kilkupiętrowy budynek Bonwit Teller. Dziś Trump ma tu 72 piętra.

Nie mam wielu portretów z Nowym Jorkiem w tle. Zdjęcie, które przesłałem, zrobił mi mój syn na Times Square.

Notowała Jolanta Gajda-Zadzorna

**Polsko-amerykański artysta fotograf, dokumentalista, autor ponad 40 książek*

SŁODKO-SŁONY



Lawendowe lato

ANNA MONICKA

Klimat się zmienia i nie chodzi tylko o to, że połowa kraju przypomina step. Ani nawet o to, że już nie tylko łowcy burz, lecz także wyposażeni w telefony komórkowe „zwykli” obywatele łapią na zdjęciach trąby powietrzne.

W Polsce mamy coraz więcej winnic. Przenoszą się do nas nawet Francuzi, bo w wielu regionach ich kraju jest tak sucho, że winorośl nie daje sobie rady. Idealne warunki znalazła natomiast już nie tylko pod Zieloną Górą, gdzie rośnie od dawna (w skansenie w Ochli urządzone są nawet winiarskie dożynki i można wtedy pooglądać, jak tłoczono sok przed wiekami oraz popróbować lokalnych win), lecz także np. w okolicach Łodzi.

Bardzo się cieszę, że zaczynamy słynąć nie tylko z napojów wysokokowych pędzonych na kartoflach czy życie, zwłaszcza że w ślad za winoroślą pojawiają się u nas także inne rośliny, z których jeszcze niedawno słynęły regiony śródziemnomorskie. To tam trzeba było jechać, żeby poodychać przecudnie pachnącym powietrzem na plantacjach lawendy. Teraz coraz więcej jest ich u nas.

Moje wakacje na Dolnym Śląsku zakończyłam właśnie w takim miejscu – w Kamieńcu koło Kłodzka. Udało nam się wstrzelić w dwugodzinne okienko pogodowe między burzami. I była to doskonała decyzja. Olejki eteryczne rzeczywiście dobrze robią na nerwy; dzięki nim ze stoickim spokojem zniosłam podróż upiornie niebezpieczną trasą Kudowa–Wrocław, a potem dzikie slalomy różnych durniów na autostradzie pod Warszawą. Kupiłam worek lawendowego suszu, z którego zrobiłam sobie i córce pachnące poduszeczki, a część zostawiłam, żeby zaparzać sobie jesienią. Kupiłam też kilka buteleczek olejku – dodaję go do kąpieli i prania. Jest również nieocenionym remedium na ukąszenia komarów.

Ale absolutnym odkryciem okazała się kawa lawendowa z odrobiną syropu. Nie spodziewałam się, że kwiatowy, kojarzący się z kosmetykami smak będzie tak wspaniale pasował do latte. Jeśli macie w ogródku lawendę, zróbcie go koniecznie – wystarczy zagotować litr wody z kilogramem cukru, żeby powstał syrop, wsypać szklankę samych kwiatów, doprawić sokiem z cytryny i pogotować kilkanaście minut, a potem ostudzić, przecedzić, przelać do słoiczków i zapasteryzować (albo jeszcze raz zagotować i przelać na gorąco).

WILCZYM OKIEM

„Madonna pod jodłami”?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czasem jedno pytanie potrafi sprawić, że na znaną rzecz spojrzymy świeżymi, zadziwionymi oczami. Obraz „Madonna pod jodłami” Lucasa Cranacha zasłynął jako najcenniejsze zrabowane dzieło, które udało się odzyskać. Ponad dekadę temu jego historia zainteresowała wielu wielbicieli sztuki. Ale nie tylko. Było o nim głośno, więc niezwykłą opowieść o fałszerstwie, zuchwalej kradzieży, odkriuciu oszustwa i spektakularnym powrocie usłyszały rzesze Polaków.



Po krótkie historia wygląda tak: w 1510 r. Cranach namalował na lipowej desce Madonnę o intrygującym pięknie. Dzieło od początku było związane z Wrocławiem. Jego tułaczka rozpoczęła się podczas wojny, kiedy hitlerowcy przenosili je wraz z innymi dziełami do różnych kryjówek. Ostatecznie po wojnie znów znalazło się we Wrocławiu. Tym, co w jego historii jest wyjątkowe, to fakt, że zostało skradzione nie podczas wojny, lecz niedługo po niej. Niemiecki ksiądz, który dokonywał renowacji na zlecenie Muzeum Archidiecezjalnego, zamiast restaurować obraz, potajemnie zlecił sporządzenie jego kopii, po czym z oryginałem czmychnął do NRD.

We Wrocławiu kopia funkcjonowała jako oryginał. Dopiero w latach 60. konserwator Daniela Stankiewicz odkryła fałszerstwo. Księżuło szybko sprzedał obraz Cranacha i dzieło zaczęło krążyć po Europie, raz po raz wpływając na różnych aukcjach. Władze PRL nie kwapiły się do rewindykacji. Dopiero w 2012 r. dzieło wróciło do Polski i zostało przekazane archidiecezji wrocławskiej.

Piękno Madonny jest nie do opisanego. Migdałowe oczy, delikatne rysy, świeże rumieńce i łagodne spojrzenie to tylko część atrybutów, którymi niezrównany Cranach obdarzył Matkę Boską.

Pytanie, które ma sprawić, że na nowo spojrzymy na „Madonnę pod jodłami”, brzmi – czy tytuł obrazu ma sens? Gdzie znajdują się tytułowe jodły? Po lewej stronie widzimy brzoze, a po prawej dwa drzewa. Jedno z nich jest liściaste – to prawdopodobnie dąb. A drugie iglaste – z pewnością nie jest to jodła. Czy może to być cedr, wymieniany już w XV-wiecznych godzinkach w celu opisanego przymiotów Maryi? „Ucieczko nasza w życia doczesności, / O cedrze czystości!”

OGNIEM NA WPROST

F-16 i Maryśka Zacharowa


Andrzej Rafał Potocki

Tzw. majowa ofensywa na północy obwodu charkowskiego, która miała na celu utworzenie granicznej strefy buforowej i szybkie zajęcie przez Kacapów miasta Wołczańsk, leżącego zaledwie 5 km od granicy Ukrainy z Federacją Moskiewską, w zasadzie zakończyła się fiaskiem. Portal Defence24 zastanawiał się nad powodami kolejnego blamażu armii Kremla. Oto one. Słabe rozpoznanie pozycji Tryzubów. Dobrze okopane pod Wołczańskiem siły 57. Brygady Zmotoryzowanej z artyleryjskim wsparciem (dwie baterie polskich haubic 2S1 Goździk wystrzeliwały po 50–60 pocisków na dobę) oraz chmary dronów FPV (widok z kamery bezzałogowca na ekranie operatora) dały pierwszy i zdecydowany odpór słabo skoordynowanym atakom. Ruski bał się nawet używać czołgów, gdy pierwsze dwa zostały namierzone i zniszczone przez drony. Atakowali w małych grupach szturmowych, usiłując w Wołczańsku zdobywać dom po domu. Ukraińcy jednak szybko podciągnęli rezerwy w postaci „straży pożarnej”, czyli oddziałów specjalnych wywiadu wojskowego (HUR) – jednostka Timur (grupy bojowe batalionów Bratstwo i Stugna) oraz Rosyjskiego, a także Białoruskiego Korpusu Ochotniczego. Ci biją się jak wściekli, bo w swoich słownikach nie mają pojęcia „oddanie się do niewoli”. Przykładowo w maju jeden z komandosów batalionu Bratstwo wysadził się granatem, żeby uniknąć niewoli. Stosunkowo sporo szkód w szeregach wojska zaporoskiego wyrządziły ruskie szybujące bomby precyzyjne UMPK i owiane złą sławą drony atakujące sprzęt opancerzony Lancet.

21 maja „Fortuna”, szef sztabu Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego, stwierdził, że „dynamika działań bojowych przeciwnika w Wołczańsku spadła, natarcie utknęło w mieście, a siły ruskiego agresora starały się okopać na zajmowanych pozycjach”. Linia frontu biegła wówczas mniej więcej przez środek miasta i tak pozostało do dzisiaj. Według zeznań jeńca z moskiewskiej 25. Brygady Zmechanizowanej, Wołczańsk zamierzano zająć w dwa dni. Minęły już dwa miesiące „ofensywy” i Kacapy stanęły w miejscu, a część terenów Ukraińcy odbili już w kontratakach. Czyli plany były ambitne, a skończyło się, jak zwykle.

Odezwała się już jakiś czas niesłyszana rzeczniczka kremłowskiego MSZ Maryśka Zacharowa. Widać ze dwa dni musiała sobie dać na wstrzymanie z alkoholem, bo nawet nie wyglądała na skacowaną, czego nie można powiedzieć o Dmitriju Miedwiediewie, drugiej osobie tego pijackiego tandemu. Zacharowa stwierdziła, że przekazanie Ukrainie myśliwców F-16 „to dowód na to, że Waszyngton przewodzi gangowi wojennemu”. Moskale dostają szału, jak słyszą o F-16 na Ukrainie. Tym bardziej że, jak zapowiedziała minister obrony Niderlandów Kajsa Ollongren, jej kraj udzieli Ukrainie pozwolenia na wykorzystanie przekazanych przez nią myśliwców F-16 do ataków na cele na terytorium Rosji. Kacap się boi i słusznie, bo według części ekspertów 60 F-16 plus francuskie myśliwce Mirage mogą

w miesiąc przegonić ruski latający złom znad ukraińskiego nieba i wysłać ich pilotów na bezrobocie. Nie przejmuj się Maryśka, z „liotczykami” dobrze się pije. Stalowe gardła.

Pan Łukasz udał się na urlop do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Zwrócił uwagę na tłumy ruskich wygrzewających się na plażach, kiedy ich pobratymcy od dwóch lat są przepuszczani przez ukraińską maszynkę do mielenia mięsa. Swoje wrażenia po bliskich spotkaniach trzeciego stopnia opisał w liście do redakcji jednego z portali: „Okropnie było już od samego rana. Kiedy zszedłem na śniadanie, byłem zaskoczony tym, co zobaczyłem. Rosjanie przepychali się łokciami przy stołach z jedzeniem i nabierali sobie wszystko, co mogli. Jakby nigdy nie widzieli tyle jedzenia. [...] Gdy udało mi się wziąć cokolwiek, co zostało na stołach szwedzkich, usiadłem do stołu i zacząłem się rozglądać. Zapamiętałem jedną parę: on przy kości i łysy z masywnym złotym łańcuchem na szyi, ona również z tęgą budową ciała, ubrana w obcisłą sukienkę, mocno wymalowana. Na rękach i szyi miała dużą liczbę złotych ozdób [...]. Pewnego wieczoru, gdy wracałem do hotelu, Rosjanie urządzili sobie imprezę w lobby. Słuchali głośno muzyki. «Ja Ruskij» – śpiewał zmęczonym głosem piosenkarz, a oni to powtarzali”. I czas na pointę: „W ostatni dzień założyłem swoją przepiękną czerwoną koszulkę z białą-czerwonym orłem i napisem »Polska«. Widziałem złowrogie spojrzenia Rosjan...”

Michał Korsun prezentuje: *Szklana pogoda*



Wycinki z przeszłości

Nieżywkła historia wydarzyła się w Wiśniowcu na Wołyniu – informował „Przewodnik Katolicki” w lipcu 1934 r. „Pewien zamożny mieszkaniec wsi Gnidawa, wioząc z Wiśniowca najętych murarzy, pozwolił sobie na głupi żart, podając siedzącemu koło cmentarza przy wyjeździe z miasta niewidomemu żebrakowi kawałek kamienia zamiast chleba. Niewidomy, poczuwszy w dłoni kamień, rzucił za nim przekleństwo: »Obyś tak samo nie zobaczył swego domu, jak ja nie widzę twojej podłej twarzy«.

Zakpiwszy sobie z przekleństwa ślepca, pojechał dalej, lecz w pobliżu wsi jadący na furze murarze usłyszeli jego przejmujący krzyk: »Ratujcie, nic nie widzę! Spełniło się

przekleństwo ślepca!«. Przypuszczając, że żartuje, murarze odpowiedzieli śmiechem na jego wołanie, lecz niebawem z przerażeniem przekonali się, że nie żartuje, bo rzeczywiście nagle utracił wzrok. Nieżywkła ta historia wywołała olbrzymie wrażenie w Wiśniowcu i okolicy”.

Na ilustracji grafika zatytułowana „Żebrzący starowina” z tego samego numeru „Przewodnika Katolickiego”.

(mk)



Z WOLEJA

Angielski futbol, niemiecki bałagan

Synowie Albionu grali taki futbol, że bolały zęby – ale to Anglia zagra w finale Euro 2024. Kiedyś angielski napastnik Gary Lineker mówił, że piłka nożna to taka gra, że wszyscy biegają przez 90 minut, a potem i tak wygrywają Niemcy. Dziś słowa owego kata reprezentacji Polski (niestety!) można uznać za szyderstwo, bo Teutoni nie wychodzili z grupy na paru ostatnich turniejach, ale na rozgrywanych u siebie mistrzostwach Europy dopiełzli do ćwierćfinału, aby polec z Hiszpanią.

Kiedyś piłkarz, a teraz wzięty komentator telewizyjny Lineker mógłby powiedzieć, że piłkarskie ME to taki turniej, w którym gra wiele reprezentacji, ale w finale zawsze gra Anglia.

Rzeczywiście, w finałach Euro 2020 i Euro 2024 występowali tylko Anglicy. Ich gra nie porywała, delikatnie mówiąc, ale była skuteczna. Na pewno dużo lepiej zabezpieczali bramkę przed strzałami rywali, niż dach stadionu w Dortmundzie chronił przed deszczem. To zresztą recydywa ze strony Signal Iduna Park, bo ściana deszczu oblewała kibiców nie tylko w czasie półfinału tych ME, lecz także podczas meczów Gruzja–Turcja i Niemcy–Dania.

Ta fuszerka była jedną z wielu podczas futbolowych mistrzostw Starego Kontynentu. Pociągi się spóźniały albo je odwoływano (dotyczyło to również podróży Holendrów przed półfinałem). Niemcy zarobiły na Euro 2024 bardzo dużo kasy, ale straciły rzecz bezcenną: reputację. Legendarne „niemiecki porządek” i „niemiecka organizacja” okazały się fikcją. Kibice i dziennikarze byli wściekli na organizatorów obozów, ale Berlin niespecjalnie się tym przejął.

Historia futbolu jest historią wiecznego gdybania. Nasz południowy sąsiad – Słowacja – mógłby zmienić losy piłkarskiej Europy, ale nie dotrwał z prowadzeniem w meczu z Albionem. Zabrakło niewiele, ale i tak dużo.

Tegoroczne futbolowe ME dostarczyły bardzo wielu hitów i sporo niespodzianek. Szkoda, że nie były one udziałem Białych-Czerwonych, choć należy docenić remis z aktualnym wice-mistrzem świata, czyli Francją, która ukończyła Euro 2024 na półfinale.

I jeszcze jedno: nigdy dotąd nie było futbolowych mistrzostw Europy w tak intensywnym kontekście politycznym. I nigdy też miecz Damoklesa w postaci multi-kulti nie wisiał nad wielką imprezą sportową tak jak tym razem.



Ryszard Czarnecki

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika			
CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przeliczeń w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Przykazania na widoku

*„Umieszczenie Dekalogu w miejscach publicznych może przypominać ludziom o fundamentalnych wartościach”
– zgadza się pytana przeze mnie AI*

do współczesnego świata”. Pytam zatem, dlaczego tak uważają.

ODDZIELENIE OD WSPÓLNOTY

„Istnieje kilka powodów, dla których niektórzy ludzie mogą odrzucać wartość moralną zawartą w Dekalogu” – mówi Copilot, a jako pierwsze podaje sekularyzację i indywidualizm. Interpretacje Dekalogu mogą być sporne. Przykładem są „dyskusje wokół zakazu zabijania”. Poza tym komuś może się nie podobać „zbyt surowe podejście do niektórych zagadnień”.

Pytam: co z wartościami, jak szacunek czy uczciwość zawartymi w Dekalogu? Czy one też są sporne i przestarzałe? Pada odpowiedź: „Wręcz przeciwnie, to właśnie te wartości stanowią podstawę współzycia społecznego i budowania zdrowych relacji między ludźmi”. Po czym Copilot wymienia i charakteryzuje cztery uniwersalne wartości, dzięki którym niezależnie od kultury, czasu czy kontekstu „społeczeństwa mogą funkcjonować w sposób zrównoważony i harmonijny”. A te wartości to szacunek, uczciwość, miłość bliźniego, odpowiedzialność. Zatem dlaczego niektórzy je odrzucają? – znowu dopytuje.

ZŁE WZORCE

AI wskazuje możliwe przyczyny: „Współczesny świat często promuje indywidualizm i egoizm”; „Zmęczenie i stres” – walka z codziennymi wyzwaniami może prowadzić do zaniedbywania np. miłości bliźniego; „Niektórzy ludzie nie mieli wystarczających wzorców moralnych w swoim życiu”; „Kultura konsumpcji prowadząca do zaniedbywania wartości duchowych”; „Relatywizm moralny”, czyli „przekonanie, że nie ma absolutnych norm moralnych”.

Ja na to: „To może fajnym pomysłem byłoby umieszczenie w przestrzeni publicznej Dekalogu jako naszego dziedzictwa kulturowego oraz jako przypomnienie, co w życiu ludzi jest najważniejsze – miłość i szacunek wobec bliźniego?”

WSPARCIE I POKRZEPIENIE

„To świetny pomysł!” – reaguje AI. „Umieszczenie Dekalogu w miejscach publicznych może przypominać ludziom o fundamentalnych wartościach”, o „miłości i szacunku”, będzie „wsparciem dla ludzi w obliczu depresji i zagubienia”.

To nie wszystko. Copilot sugeruje, gdzie można umieścić Dekalog:

1. Szkoły: Umieszczenie Dekalogu w szkołach byłoby doskonałym sposobem na edukowanie młodych ludzi o etyce, szacunku i miłości bliźniego.
2. Biblioteki: Biblioteki są miejscami, gdzie ludzie szukają wiedzy i inspiracji. Umieszczenie Dekalogu w bibliotekach byłoby symbolicznym przypomnieniem o wartościach moralnych.
3. Miejsca kultu: Kościoły, synagogi, meczety i inne miejsca kultu to naturalne miejsca dla Dekalogu. Można by go wyeksponować w widocznym miejscu, aby przypominał wiernym o ich duchowych zobowiązaniach.
4. Place publiczne: Parki, ronda, place czy inne miejsca publiczne mogą być odpowiednie. Tablice z zasadami Dekalogu mogą stać się inspiracją dla przechodniów”.

Idźmy za przykładem Luizjany, bo nawet AI mówi: „Wprowadzenie Dekalogu do przestrzeni publicznej jako dziedzictwa kulturowego byłoby pięknym przypomnieniem o wartościach, które łączą nas jako ludzi”.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | x2



Dekalog, znany również jako dziesięć przykazań Bożych, stanowi fundamentalną podstawę moralną i duchową w judaizmie i chrześcijaństwie”. Tak odpowiedział mi Copilot, sztuczna inteligencja Microsoftu oparta na Chacie GPT4, gdy poprosiłam o definicję.

Do rozmowy z AI o Dekalogu zainspirował mnie „Gość Niedzielny” (20 czerwca 2024 r.) podając, że na południu USA, w stanie Luizjana, w placówkach edukacyjnych mają zawisnąć plakaty z dziesięcioma przykazaniami.

INSPIRACJA DO DOBREGO ŻYCIA

Zapytana o znaczenie kulturotwórcze Dekalogu w świecie Zachodu, AI odpowiada, że Dekalog „to nie tylko kodeks postępowania, ale także przewodnik moralny, który od wieków kształtuje ludzkie sumienia i wpływa na kształtowanie społeczeństw”. Ze wielu ludzi „nadal traktuje go jako inspirację do życia w zgodzie z moralnością i etyką, zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym”. I wymienia takie wartości, jak szacunek, sprawiedliwość i miłość bliźniego, podkreślając ich ponadczasową wartość moralną.

Jednocześnie zastrzega jednak, że „są krytycy uważający Dziesięć Przykazań za zasady przestarzałe i nieprzystające

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER



CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują
dla Państwa znani i lubiani:

- Dorota Łosiewicz
- Krzysztof Feusette
- Stanisław Janecki

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192



NA POZYCJI

32

vectra

NA POZYCJI

825

PLAY
dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 7d9b0b87da



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

